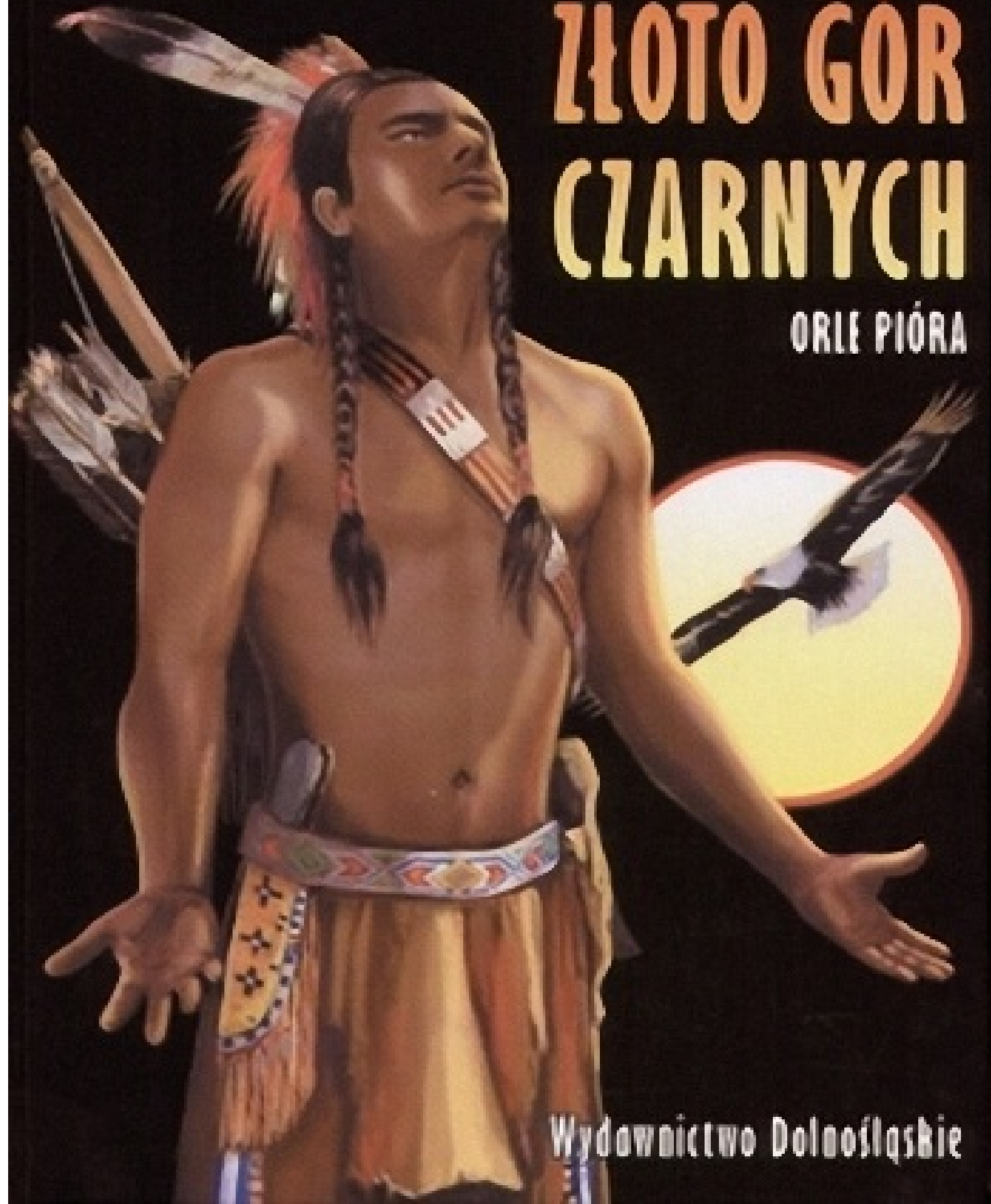


Krystyno i Alfred Sisklorscy

ZŁOTO GÓR CZARNYCH

ORLE PIÓRA



Wydawnictwo Dolnośląskie

Orle Pióra

Pierwsz część trylogii Złoto Gór Czarnych

* * *

Tom pierwszy opisuje przygody chłopca indiańskiego z plemienia Dakotów - Tehawanki m.in.

jego niewolę u Czipewejów, ucieczkę z branką Mem'en gwą, pierwsze łowy Tehawanki na bizona, a także obrzęd „Tańca Słońca” dzięki któremu został wojownikiem.

* * *

Spis treści

Kilka słów wyjaśnień

Tehawanka

Duch opiekuńczy

Pieśń śmierci

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter
<http://www.processtext.com/abclit.html> W niewoli u Czipewejów

Mem'en gwa

Rozstajne drogi

Indiańskie zaloty

Jeńcy z plemienia Lisów

Bitwa na jeziorze

Ucieczka

Na prerii

Powrót do domu

Przybądź bizonie!

Awantura w obozie

Łowy na bizona

Niespodziewany napad

Wyprawa przeciwko Paunisom

Przeszpiegi w osadzie wroga

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter
<http://www.processtext.com/abclit.html> Krwawa ofiara

Taniec Słońca

Kilka słów wyjaśnień

Tak popularne powieści przygodowe o tematyce indiańskiej oraz filmowe westerny, przez długie lata kształtowały w naszej wyobraźni wzorcowy obraz Indianina Ameryki Północnej.

Toteż, gdy mowa o Indianach, wyobrażamy sobie bezkresne prerie tętniące stadami bizonów, za którymi uganiają się na mustangach miedzianoskórzy wojownicy, przyozdobieni w malownicze, trzepoczące na wietrze stroje głowy z orlich piór oraz uzbrojeni w lance, stalowe tomahawki i szybkostrzelne winchestery. Widzimy obozy pełne wigwamów, jak to często zwie się mylnie indiańskie namioty tipi, słyszymy mrozące krew w żyłach okrzyki wojenne Indian.

Wzorcowy obraz Indianina pozostał taki sam na przestrzeni wieków, lecz opinie o Indianach, jako ludziach, kształtowały się różnie w różnych okresach czasu. Były one odpowiednikiem niezmiennych, surowych praw kresowych, które wszędzie towarzyszyły Europejczykom w odkrywaniu i podboju nowych kontynentów. Stwierdził to przeszło sto lat temu najwybitniejszy polski badacz świata i podróżnik, człowiek o wielkim umyśle i sercu - Paweł Edmund Strzelecki, który napisał:

„Gdziekolwiek Europejczyk postawił swą stopę w Nowym Świecie, gdziekolwiek napotkał w swej agresji na opór krajowców broniących swych praw, zawsze piętnował ich jako dzikich i nieprzejednanych wrogów Chrystusa i cywilizacji...”

...Im bardziej zagłębiamy się w historię tej części świata, tym bardziej wstydzimy się Indianina i pragnęlibyśmy w jego oczach uchodzić za czarnego...” Prawa rządzące ekspansją białego człowieka kształtowały jego stosunek do Indian. Problem nabrał szczególnej ostrości w połowie i u schyłku XIX wieku, kiedy to różne ludy indiańskie, zepchnięte brutalnie z obszarów wschodnich za rzekę Missisipi, zaczęły zbrojnie przeciwstawiać się zachłannym osadnikom w ich dalszym parciu na zachód. Osadnicy, hodowcy bydła i poszukiwacze złota okrzyknęli wtedy Indian dzikimi bestiami żądnymi krwi ludzkiej, które raz na zawsze należy wytępić na amerykańskiej ziemi. Nieliczne głosy humanitarnych obrońców utonęły w potężnej fali nagonki.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter
<http://www.processtext.com/abclit.html> Później, gdy Europejczycy zdobyli już cały kontynent, a ocalałe resztki Indian zostały osadzone w rezerwach, problem indiański stopniowo tracił na ostrości i zaczął budzić refleksje.

Koloniści europejscy, którzy zdobyli Nowy Świat i utworzyli nową narodowość amerykańską, zrozumieli, że można było brutalną siłą wydziedziczyć Indian z ojcowizny, lecz nie można wymazać ich z historii Ameryki. Toteż w ostatnich dziesiątkach lat amerykańscy uczeni -

historycy, etnografowie i archeolodzy - czynią wiele wysiłków, aby przywrócić Ameryce obraz prawdziwych Indian, pierwotnych mieszkańców kontynentu.

Jacy naprawdę byli Indianie?

Najwięcej słyszeliśmy o ich wojennych wyczynach, ponieważ drogi białego człowieka krzyżowały się z drogami Indian przeważnie na wojennych ścieżkach. Stąd też walka i wojenne prawa, tak odmienne u Indian, wysunęły się na pierwszy plan. Zapomniano, bądź też nie chciano pamiętać, że Indianie byli takimi samymi ludźmi jak Europejczycy, że posiadali własne zwyczaje i obyczaje, własne wierzenia z bogatym i niezrozumiałym dla nas życiem duchowym, że rządzą się od wieków swoimi prawami społecznymi i politycznymi, że wreszcie posiadali również radości i smutki, a wyprawy wojenne były tylko częścią i konsekwencją ich twardego, surowego życia. Psychika Indianina różniła się krańcowo od psychiki Europejczyka i kto jej nie zrozumie, nigdy nie pojmie przyczyn ich ostatecznej klęski.

Indianie fascynowali mnie niemal od dzieciństwa, bowiem w czasach mego pobytu w Stanach Zjednoczonych nie zapomniano jeszcze o klęsce poniesionej w bitwie nad Little Big Horn.

Bohaterskiego Sitting Bulla przedstawiano wówczas na ilustracjach jako czerwonoskórego diabła z rogami i ogonem, a powieści i filmy powielały obraz Indian według wzorów ukazanych w

„Duchu puszczy”. Jednak w moim rodzinnym domu inaczej zapatrywano się na sprawę indiańską. Ojciec, jako uciekinier polityczny w 1905 roku z zaboru rosyjskiego, nade wszystko cenił prawdziwą wolność i przeciwny był przemocy towarzyszącej wszelkim podbojom.

Współczuliśmy więc także niedoli Indian.

* * *

Tematyka indiańska wciąż budzi zaciekawienie. Powstają nowe powieści, do tematyki indiańskiej sięga film, prasa, radio i telewizja. O Indianach mówi się teraz przeważnie dobrze i ze współczuciem, ale ich stary, stereotypowy obraz niewielkim uległ zmianom. Postanowiłem więc napisać książkę, w której Indianie byłiby po prostu zwykłymi ludźmi, a nie tylko wojownikami.

Od przeszło dwunastu lat śledzę wyniki badań nad problemem indiańskim uczonych amerykańskich, gromadzę dzieła, porównuję z pracami uczonych innych narodowości. Materiał

to fascynujący, kształtujący nowe spojrzenie na skomplikowany problem Indian Ameryki Północnej i ich tragiczną historię. Powieść wydała mi się najlepszą formą pokazania Indian takimi, jakimi byli w rzeczywistości.

„Złoto gór czarnych - Trylogia Indiańska”, której trzy tomy oddajemy w całości do rąk czytelników,

została napisana na tle historycznym narodu Dakotów, których popularnie zwiemy Sjuksami. To Dakotowie posłużyli Europejczykom za wzór do stworzenia schematycznego ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> obrazu Indianina Ameryki Północnej, ponieważ dzięki swemu nieprzejednanemu zbrojnemu oporowi wobec białych najeźdźców, największą wzbudzali obawę i najlepiej dali się im poznać.

Dakotowie byli bezgranicznie przywiązani do ziemi swych ojców, nade wszystko ukochali wolność i wykazywali najsilniejszą więź plemienną. Oni także ostatni złożyli broń w walce o wolność Indian.

Na zakończenie pragnę wyjaśnić, że niniejsza powieść została napisana przy nieocenionej pomocy mojej Żony - Krystyny, która zawsze była i jest inspiratorką i doradcą w mojej pracy pisarskiej. Wieloletnia praca Żony przy kompletowaniu i systematyzowaniu rozlicznego, obcojęzycznego materiału źródłowego oraz przystosowanie go do akcji powieści, mogła znaleźć wyraz mojej wdzięczności jedynie w uznaniu istotnego współautorstwa.

Alfred Szklarski

Tehawanka

Był to schyłek osiemnastego stulecia. W zachodniej części Krainy Wielkich Jezior* [przyp.: Region ten wyróżnia się fizycznie - geograficznie od sąsiednich obszarów W USA obejmuje stany Wisconsin i Michigan oraz w części: Minnesotę, Illinois, Indianę, Ohio i Nowy Jork, zaś w Kanadzie tylko południe prowincji Ontario. Sześć wielkich jezior o powierzchni 250 tys. km²

tworzy tam największy na ziemi zbiornik słodkiej wody (Jeziora: Górne, Huron, Michigan, Erie, Ontario i St. Clair).] w Ameryce Północnej, tam gdzie obecnie znajdują się stany Minnesota i Wisconsin, wówczas jeszcze rosła prastara puszcza, gdzieniegdzie przeplatana rozległymi połaciami prerii. Tysiące mniejszych jezior kryło się w falistej równinie* [przyp.: W stanie Minnesota znajduje się około 11 tys. jezior, przeważnie polodowcowych (największe: Lower Red Lake, Upper Red Lake, Mille Lacs Lake i Leech Lake).], która tylko w północnej części posiadała kilka pasm skalistych wzgórz* [przyp.: Mowa o Mesabi Range, Vermillion Range, Misguah Hills, z kulminacją ok. 711 m n.p.m.]. Na północy krainy rosły bory sosnowe, jodłowe i świerkowe, przechodzące bardziej na południu w lasy liściaste o przewadze brzoź, lip, cedrów, jesiono-klonów, dębów i cennych drzew hikory* [przyp.: Hikora (Carya) z indiańskiego pohikeri (ang. Hickory) - północnoamerykańskie drzewo jednopienne (około 20 gatunków, z których 2

występują w Azji). Hikora czyli orzesznik, posiada jadalne, smaczne owoce (pestkowiec, kulisty lub wydłużony, żebrowany o zielonej łupinie). Liście jesienią przybierają barwę cytrynowożółtą.

Cenne drewno hikory twarde i elastyczne, trudno łupliwe i trwałe nadaje się do wyrobu mebli, fornirów, nart i stosowane jest w przemyśle lotniczym.].

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Rok ów był niezwykle ciężki tak dla ludzi, jak i zwierząt. W lecie wcześniej niż zazwyczaj nastąpiła długotrwała susza, która przeciągnęła się aż do późnej

jesieni. Potem zaraz nadeszła surowa zima. Blizzardy* [przyp.: Blizzardy - północnoamerykańskie burze śnieżne o huraganowych wiatrach (do 80 km/godz.) przy jednoczesnych spadkach temperatury do - 35°C.]

uporczywie nadciągały z północnego zachodu przynosząc huraganowe śnieżne zawieje oraz gwałtowne spadki temperatury. Drzewa w puszczy przygarbiły się pod ciężarem białego całunu.

Wielkie, ruchome śnieżne zasy pokryły prerię, jeziora i rzeki znieruchomiły w lodowych okowach. Dzikie zwierzę szukało ratunku w ucieczce na południe w cieplejsze strony, bory i prerie pustoszały. Ludziom zaczęło zagrażać widmo głodowej śmierci.

U schyłku księżycy, w którym zwierzęta zrzucą swe rogi* [przyp.: Księżyc, w którym zwierzęta zrzucą rogi - w języku Dakotów - grudzień.], nagle ucihła śnieżna nawałnica.

Nastąpiła chwila ciszy i wytchnienia. Wtedy to właśnie młody Indianin samotnie przedzierał się przez zaśnieżoną puszcę. Jego brązowożółta twarz poszarzała pod wpływem przenikliwego zimna, mimo że osłaniał się, niby opończą, miętko wyprawioną skórą bizona odwróconą włosami do wewnątrz. Na nogach miał skórzane, obcisłe, długie sztylpy sięgające z boków ud aż do rzemienia przewiniętego w pasie, do którego końca ich były przymocowane razem z przepaską biodrową, przeciągniętą pomiędzy nogami. Ze względu na zimową porę ubrany był także w krótką koszulę z jeleniej skóry. Na stopach miał mokasyny przybrane kołcami jeżozwierza.

Czarne, twarde, długie włosy, splecione w dwa warkocze na bokach głowy, opadały mu na ramiona i piersi.

Indianin nie nosił odznak znamionujących zasłużonych wojowników, był więc jeszcze młodzieńcem bez sławnego nazwiska* [przyp.: Indianie nie używali nazwisk w naszym pojęciu

„nazwisk rodzinnych”. Jak w pierwotnych społeczeństwach totemistycznych, nazwisko - imię u Indian związane było nierozłącznie z fizyczną osobą właściciela i ginęło wraz z jego śmiercią.

Szczepowe zwyczaje nadawania imion były różne. Niektóre szczepy nadawały jako imiona nazwy klanu, które odnosiły się do totemu, zwierzęcia, rośliny lub przedmiotu. Nazwiska te zachowywał każdy przez całe życie. W innych szczepach mężczyzna czy kobieta mogli nosić różne nazwiska w różnym okresie życia. Zdobycie nazwiska w niektórych szczepach wiązało się ze specjalną ceremonią, w innych zaś wystarczało nająć obwoływacza, który ogłaszał nazwisko.

Niekiedy nazwiska wiązały się z cechami fizycznymi posiadacza nazwiska, jego wadami czy niezwykłymi wydarzeniami. Honorowym wyróżnieniem było nadanie Indianinowi specjalnego nazwiska. Wielcy wojownicy nadawali lub sami przybierali nazwiska zaczerpnięte z ich czynów wojennych (np.: Trzy Uderzenia, ponieważ zadał wrogowi trzy ciosy). U Indian prerii nazwisko mogło być zmieniane, a czasem przydomek stawał się nazwiskiem. Jeśli dziecko chorowało, można było prosić innego szamana o nadanie nowego nazwiska. Wśród wielu szczepów istniał

zwyczaj jednoczesnego posiadania dwóch nazwisk: tajnego, świętego i drugiego, na codzienny użytek. Nietaktem było pytanie kogoś o nazwisko pochodzące z nadnaturalnych przeżyć lub o

nazwisko zmarłego, z wyjątkiem gdy chodziło o wybitnego wojownika.]. Niemniej jednak, jak wszyscy Indianie preriowi, posiadał pierwsze nazwisko, które otrzymywało dziecko wkrótce po urodzeniu. W myśl odwiecznego zwyczaju nadawała je noworodkowi osoba tej samej płci, obdarzona nadprzyrodzoną mocą.

Wiele zim* [przyp.: Okres jednego roku Indianie nazywali „zimą”, którą dzielili na dwanaście ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> księżyców, czyli miesięcy. Dobę (dzień) zwali „wieczorem” lub „nocą”. Wszystkie plemiona rozróżniały cztery pory roku: wiosnę, lato, jesień i zimę, z których każda zawierała po trzy księżyce.] temu, podczas obrzędowej uczyty na cześć nowo narodzonego chłopca, szaman Czerwony Pies, dziadek owego samotnego wędrowca, długo modlił się do wszechmocnego Wakan Tanka, który uosabiał szereg dobroczynnych bogów i jednocześnie sam był jednym z bóstw obejmującym wszystkie inne. Podczas żarliwej modlitwy na intencję chrzestniaka, dusza potężnego szamana oddzieliła się od jego ciała i wędrowała w zaświatach wśród bogów oraz cieniów zmarłych przodków. Wówczas właśnie Czerwony Pies ujrzał maleńką topolę. Wątła roślina dopiero co wyłoniła się z ziemi. Obrazy zaczęły się zmieniać: to słońce prażyło maleńką topolę, to huragany przyginały ją do ziemi, smagały strugi ulewy, blizzardy zasypywały śniegiem, lecz na przekór żywiołom drzewko stawało się coraz wyższe i wyższe, aż w końcu smukłym wierzchołkiem dosięgło strzępiastych chmur.

Szaman uważnie spoglądał na szybko rosnącą topolę. Już wiedział, jakie pierwsze imię ma nadać wnukowi. Dusza jego powróciła z zaświatów na Ziemię do swego ciała. Nieruchomy jak posąg Czerwony Pies ocknął się z zadumy, wziął chrzestniaka w ramiona i nazwał go Tehawanka, co w języku* [przyp.: Indianie Ameryki Północnej mówili językami tworzącymi 56

(Powell) lub 58 (McGee) rodzin językowych. Z tego około 30 rodzin, liczących około 600

dialektów, przypadało na plemiona zamieszkujące tereny obecnych Stanów Zjednoczonych.

Indianie prerii należeli do 6 rodzin językowych: 1. Algonkin - Czarnonodzy (Blackfoot), Szejenowie (Cheyenne), Arapahowie (Arapaho), Gros Ventre, Kri równin (Cree) i Odżibwejowie lub Czipewejowie równin (Ojibwa, Chippewa); 2. Atbapaskan - Sarsi i Kiowa Apacze; 3. Kaddo

- Paunisi (Pawnee), Arikara i Wichita; 4. Kiowa - Kiowa; 5. Sju - Mandan, Hidatsa, Crow, Dakotowie (Dakota), Assiniboin, Iowa, Oto, Missouri, Omaha, Ponca, Osagowie (Osage) i Kansa; 6. Uto - Aztecan lub Szoszońska - Szoszoni (Shoshone) znad Wind River, Komancze (Comanche) i Ute. Poza Indianami prerii dialektami algonkin mówiła większość szczepów północnoamerykańskich. Dialektami athapaskan mówiły 53 szczepy, a dialektami sju - 68.

Niewiele ustępowała im liczebnością rodzina szoszońska. Poza tym na kontynencie Ameryki Północnej były szeroko rozprzestrzenione rodziny językowe: Eskimo - 70 szczepów; Muskogi -

szczepy Choctaw, Chickasaw i Seminole; Irokezów - szczepy Mohawków, Oneida, Onondaga, Seneca, Cayuga, Tuscarora, 6 szczepów Huronów i 3 grupy Czirokezów; Pennti - w Kalifornii i Oregonie; Hoka - brzegi Pacyfiku od płn. Kalifornii po Kolumbię; Tunika - niegdyś przy ujściu Missisipi.] Dakotów oznaczało „wysoki”.

Obecnie Tehawanka był już prawie młodzieńcem. Podczas najbliższej wiosny miał poddać się próbom męstwa, których pomyślne przebycie umożliwiłoby mu przyjęcie do grona wojowników.

Niecierpliwie oczekiwał na to wyróżnienie, przynoszące zaszczyt każdemu Indianinowi. Był

przekonany, że wkrótce zdoła odznaczyć się na polowaniach i wojennych wyprawach. Marzył o zaszczytach, jakie niegdyś osiągnął jego ojciec, chciał naśladować dziadka, potężnego szamana.

Od najmłodszych lat byli oni dla niego wzorem męstwa, odwagi i szlachetności. Po śmierci ojca, jak większość indiańskich chłopców, od dwunastego roku życia towarzyszył dziadkowi podczas łowów, a gdy dorósł lat czternastu, często uczestniczył także w jego wojennych wyprawach.

Wprawdzie wtedy razem z rówieśnikami tylko gotował strawę dla mężczyzn, nosił wodę oraz posługiwał jako goniec, lecz za to przez cały czas mógł obserwować sławnych wojowników, uczyć się od nich rozwagi, korzystał z ich bogatego doświadczenia. Nieraz, gdy w wirze walki niebezpieczeństwo zagrażało wszystkim uczestnikom wyprawy, wtedy chłopcy również chwyтали za oręż, aby bronić swego życia.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Tehawanka przedzierając się teraz samotnie przez zaśnieżoną puszcę nie zapominał o doświadczeniu nabytym podczas wypraw z wojownikami. Zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństw, jakie mogły mu zagrażać.

Podczas bezowocnych poszukiwań zwierzyny znacznie oddalił się od osady. Znajdował się już na terenach łowieckich nawiedzanych przez najbardziej zaciętych wrogów swego plemienia.

Ziemie te niegdyś należały wyłącznie do Dakotów, lecz obecnie śmierć mogła czaić się tutaj za każdym drzewem. Znienawidzeni Hakatonwan* [przyp.: Hakatonwan - w języku Dakotów

„Czipewejowie”. Chippewa jest popularną nazwą dla Indian Ojibwa, czyli Odżibwejów i oznacza

„przypiekać aż się skurczy” (ojib - kurczyć; ub way - przez przypiekanie), co odnosi się do szwów wypalanych przez Czipewejów na mokasynach i odzieży. W rzeczywistości Czipewejowie byli Odżibwejami, którzy podzielili się na grupy w dawnych czasach, zachowując jednak ten sam język, wierzenia i zwyczaje.] posiadali długie, grzmiące kije, które nawet z dość znacznej odległości śmiertelnie raziły przeciwników.

Hakatonwan, czyli Czipewejowie, dawno już temu przybyli w te strony zza wielkich jezior, skąd słońce wschodzi na niebo. Wtedy też rozpoczęli z Dakotami długotrwałą, zażartą wojnę o tereny obfitujące w dziki ryż i zwierzynę łowiecką. Dakotowie z wrodzoną sobie odwagą bronili swej ziemi, lecz najeźdźcy w końcu zaczęli zdobywać przewagę dzięki „grzmiącym kijom”, które otrzymywali od wasichus, czyli białych ludzi, osiedlonych na północo-wschodzie za jeziorami.

W burzliwej swej historii wojowniczy naród Dakotów przegrał całkowicie tylko jedną z wojen prowadzonych z innymi ludami indiańskimi. Była to właśnie wojna z Czipewejami, którym jednostronne posiadanie broni palnej ułatwiło zwycięstwo. Przegrana wywarła decydujący wpływ na

dalsze losy Dakotów. Zmuszeni do opuszczenia krainy lasów i jezior wokół źródeł

Ojca Wód, jak zwali rzekę Missisipi, sami zaczęli zbrojnie wypierać w głąb kontynentu swych zachodnich sąsiadów, Szejenów i Arapachów.

Tak rozpoczęła się migracja Dakotów na zachód. Poszczególne grupy przekroczyły najpierw zachodnie brzegi Missisipi, a część z nich powędrowała aż za rzekę Missouri. W trakcie stopniowej migracji naród Dakotów utworzył trzy zgrupowania: wschodnie, środkowe i zachodnie* [przyp.: W czasach odkrycia Ameryki przez Kolumba naród Dakotów zamieszkiwał

tereny na południowym wschodzie kontynentu Ameryki Północnej, prawdopodobnie gdzieś w okolicach Florydy. Napierani przez inne szczepy, z kolei rugowane przez białych osadników, Dakotowie powędrowali na północno - zachód w poprzek kontynentu i osiedlili się na zachodnich krańcach Wielkich Jezior, skąd znów musieli ustąpić Czipewejom. Podczas długotrwałej wojny i stopniowej migracji na zachód Dakotowie utworzyli 3 zgrupowania: 1.

Santee Dakota, czyli wschodnie (plemiona - Mdewakanton, Wapheton, Wahpekute i Sisseton); 2.

Yankton Dakota, czyli środkowe, które z kolei dzieliło się na Yankton i Yanktonai. Yanktonai dzieli się jeszcze na Górnych (klany: Pah Baxah lub Tete Coupees, Wahzecootei lub Gens des Pin i Gens Perchez) oraz Dolnych, czyli Hunkpatina, od których oderwali się Assiniboin; 3.

Teton Dakota, czyli zachodnie (plemiona: Se chong hhos, czyli Brule Górni i Dolni, Hunkpapa, Miniconjou, Oglala. Oohenonpa lub Two Kettie, Etas epe cho, czyli Without Bows lub Sans Arcs, Sihasapa lub Blackfoot, czyli Czarne Stopy Dakota, których nie należy mylić z Czarnymi Stopami właściwymi).]. Tehawanka wywodził się z plemienia Wahpekute, należącego do Santee Dakotów, to jest Dakotów Wschodnich.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Jak co roku o tej porze Wahpekute wyruszyli we wrześniu na prerię, aby odbyć wielkie polowanie na bizona. Jesień stanowiła bardzo pomyślną porę na plemienne łowy. Bizona po letnich wypasach były tłuste, a skóry ich pokryte świeżym, grubym, wełnistym włosiem najlepiej nadawały się do sporządzania ciepłych zimowych okryć. Santee Dakotowie nie byli zbyt dobrymi rolnikami, dlatego przed każdą zimą i na wiosnę starali się zaopatrzyć w mięso bizona, które po ususzeniu umożliwiało im przetrwanie trudnych pór roku.

Nadchodząca zima zapowiadała się szczególnie niepomyślnie dla Wahpekute. W lecie Czipewejowie napadli na osadę. Kilku wojowników Wahpekute poległo, niektórzy odnieśli rany.

Wśród tych ostatnich znajdował się szaman Czerwony Pies. Głęboka rana w lewym boku wciąż ropiała przykuwając starca do legowiska w chacie. Na domiar złego, niezbyt pomyślne z powodu długotrwałej suszy zbiory kukurydzy oraz dzikiego ryżu zostały zrabowane przez Czipewejów.

W tej sytuacji jesienne polowanie na bizona stało się sprawą życia lub śmierci dla nieszczęsnych Wahpekute. Toteż na łowy wyruszyli wszyscy z wyjątkiem chorych oraz zniedołężniałych starców.

Wśród pozostałych w osadzie znajdowało się jedynie dwoje młodych: Tehawanka i jego siostra, Poranna Rosa. Kilka zim temu ojciec ich i starszy brat jednocześnie polegli w walce z Czipewejami, a wkrótce potem zmarła matka. Wtedy Czerwony Pies zastąpił im utraconych rodziców. Rodzeństwo nie odczuło zbyt osierocenia, gdyż według zwyczajów indiańskich od najmłodsze dzieciństwa dużo czasu spędzało ze swymi dziadkami, którzy zawsze okazywali wnukom wiele miłości. Przywiązanie Tehawanki i Porannej Rosy do Czerwonego Psa jeszcze bardziej się pogłębiło, gdy został ich jedynym opiekunem. Czy mogli go opuścić teraz przykutego niemocą do łoża?

Tehawanka i Poranna Rosa pragnęli pozostać z Czerwonym Psem, lecz sami nie mogli o tym decydować. Od polowania na bizona zależało życie wszystkich mieszkańców osady. Indianie traktowali żywność jako własność ogółu i każdy członek plemienia otrzymywał należną mu część. O tym, kto ma wziąć udział w łowach, a kto pozostać w osadzie decydowała rada starszych.

W przeddzień wyruszenia na wielkie polowanie rada starszych zebrała się na naradę w obszernej chacie wodza - szamana, która była zarazem miejscem obrad. Czerwony Pies miał orzec, czy łowy będą pomyślne i w której okolicy należy szukać bizonów. Wszyscy wpatrywali się w niego, gdy z przymkniętymi oczami, przygarbiony siedział przy ognisku i rozmawiał z duchami.

Wróżba była pomyślna.

Wtedy zaczęto się naradzać, kto ma pozostać w osadzie z chorymi i starcami. Potężny szaman cieszył się powszechnym szacunkiem. Choć o sprawach uczuć rodzinnych nigdy nie mówiło się wśród Indian, wszyscy doskonale wiedzieli, że Czerwony Pies kochał wnuków. Skoro więc choroba uniemożliwiała mu wyruszenie na łowy, postanowiono jednogłośnie, że Tehawanka i Poranna Rosa zaopiekują się niedołączonymi członkami plemienia. Decyzja ta nie była podjęta jedynie dla sprawienia przyjemności szamanowi. Ktoś przecież musiał troszczyć się o chorych i zdobywać dla nich pożywienie, a Tehawanka, choć jeszcze młody, był doskonałym myśliwym.

Wahpekute przed wyruszeniem na wielkie polowanie sprawiedliwie podzielili skromne zapasy ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> żywności między tych, którzy musieli pozostać w osadzie i udających się na łowy.

Upływał tydzień za tygodniem, a myśliwi wciąż nie wracali z polowania. Tymczasem, wcześniej niż zazwyczaj, nadszła surowa zima. Blizzardy dęły z niezwykłą zjadłością, śniegi zasypywały puszcę. Uwięzieni w chatkach starcy i chorzy mężnie znosili wszelki niedostatek. Słabsi bez słowa skargi umierali, silniejsi w milczeniu oczekiwali głodowej śmierci.

Cóż mogli począć przeciw przeznaczeniu? Uporczywe blizzardy uniemożliwiały Tehawance polowanie.

W końcu jednak zaświtał dzień nadziei. Pewnego ranka śnieżne zawieje nagle ustały. Na wypogodzonym niebie zajaśniało słońce. Tehawanka natychmiast wyruszył na łowy.

Już drugi dzień przedzierał się przez zaśnieżoną puszcę. Bezskutecznie poszukiwał tropów

jakiegokolwiek zwierzę. Był bardzo osłabiony i zmarznięty. Od czasu do czasu wkładał do ust grudkę zlodowaciałego śniegu, aby się otrzeźwić i brnął coraz dalej w knieję. Nie mógł przecież powrócić do swoich z pustymi rękami.

Tehawanka starał się iść jak najostrożniej. Dzięki karpinom* [przyp.: Karpie (po angielsku: snowshoes - śnieżne buty) - owalne obręcze wypełnione rzemienną plecionką, które przymocowane do stóp ułatwiają chodzenie po śniegu. Występują w arktycznych i subarktycznych regionach Ameryki i Eurazji. Indiańskie plemiona Athapasków i Algonkinów rozpowszechniły używanie karpli, a także były twórcami tobogganu (algonkińska nazwa: tobogan), czyli sanek ciągniętych przez psy. Obecnie na wzór algonkińskiego tobogganu budowane są sanie do transportowania rannych w górach. Indianie ci byli również twórcami słynnych kanu (po angielsku: canoe) - indiańskiej, lekkiej łodzi, której drewniany szkielet jest pokrywany brzoźową korą. Pierwowzorem kanu był eskimoski kajak, posiadający szkielet z fiszbinu lub kości wieloryba, obszyty skórą. Współczesne kajaki budujemy właśnie na wzór indiańskiego kanu.] szedł nawet dość szybko przez zaspy, ale zmarznięty śnieg chrząścił

pod stopami, co także mogło płoszyć nieliczną, zgłodniałą i czujną zwierzę. Wreszcie zdał

sobie sprawę, że w tych warunkach jedynie wytopienie niedźwiedzia pogrążonego w zimowej drzemce mogło pomyślnie zakończyć łowy. Czerwony Pies dawniej często zabierał go na zimowe polowania, podczas których zwinny chłopiec wypłaskał niedźwiedzie z kryjówek, a dziadek zabijał je celnymi strzałami z łuku. Dzięki temu Tehawanka poznał zwyczaje tych zwierząt i wiedział, gdzie należało szukać ich zimowych legowisk.

Czarny amerykański niedźwiedź, zwany baribalem* [przyp.: Baribal (Ursus americanus) -

północnoamerykański niedźwiedź o długości ciała do 2 m i około 1 m wysokości w barkach. Jest mniejszy i mniej drapieżny od osławionego amerykańskiego grizzly (Ursus horribilis), popularnie zwanego siwkim. Obydwa te gatunki zamieszkiwały lasy zachodniej Ameryki Północnej od Missouri do Pacyfiku.], stanowił pożywny łup dla zgłodniałego Indianina. Baribale o każdej porze roku były dość tłuste, bowiem nie wybredzały w doborze pokarmu. Przeważnie żywiły się korzonkami roślin, różnymi nasionami, orzechami i dzikimi owocami. Potrafiły również łapami zręcznie łowić ryby w strumieniach oraz nie gardziły myszami wykopywanymi z nor i ziemnymi wiewiórkami. Przepadały za miodem podbieranym pszczołom w leśnych barciach, a wczesną wiosną, gdy trudno było o pokarm roślinny, polowały na sarny, jelenie, daniela i łosie niemal padające z głodu.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Tehawanka doprowadzony do ostateczności bezskutecznym tropieniem zwierzę nie zastanawiał się długo. Okolica ulubiona przez baribale oddalona już była zaledwie o pół dnia drogi. Przychodziły tam w lecie raczyć się soczystymi malinami oraz czarnymi jagodami, których wysokie krzewy tworzyły rozległe gąszcze u stóp wiekowych olbrzymów puszczy.

Około połowy grudnia, gdy nastawały mrozy, niedźwiedzie zazwyczaj szukały schronienia odpowiedniego na zimowe leże, a potem śpiąc czy też drzemiąc, przebywały w zacisznej kryjówce trzy lub cztery miesiące bez jedzenia i picia.

Tehawanka zdwoił czujność kierując się ku jagodowiskom. Obawiał się nieoczekiwanego spotkania z Czipewejami, którzy również korzystając z poprawy pogody mogli polować w tamtej okolicy. Coraz bardziej ciążyła mu samotność, toteż wkrótce przystanął przed potężnym drzewem. Z podróżnej torby z jeleniej skóry, przewieszanej przez ramię, wydobyl woreczek z czerwoną farbą. Czerwień symbolizowała u Dakotów najważniejszego dobroczynnego boga, to jest Słońce, czyli Wi. Tehawanka dłonią zgarnął śnieg z płatu kory, po czym zanurzył palec w woreczku i nakreślił na drzewie grubą, czerwoną kreskę. Od tej chwili pień drzewa uosabiał mu boga Wi, patrona czterech głównych cnót: odwagi, męstwa, wspaniałomyślności i wierności.

Tehawanka uniół głowę; patrząc w promienie słoneczne, prześwitujące przez rozłożyste konary drzewa, cichym głosem zaczął się modlić:

„Wi, ktoś cię potrzebuje! To ja właśnie jestem. Moi bliscy umierają z głodu, tak jak i ja umrę, jeśli nie upoluję niedźwiedzia. Wi, spraw, abym nie stracił odwagi w kraju nawiedzanym przez nikczemnych Hakatonwan!”

Po tej krótkiej modlitwie ruszył w dalszą drogę. Był gotów do łowów i walki. W prawej dłoni wysuniętej spod skórzanej opończy trzymał krótki łuk z jesionowego drzewa oraz strzały wyjęte z kołczanu z brzoźowej kory zawieszzonego u boku. Za rzemiennej przepaską również tkwiła drewniana maczuga zakończona owalnym, gładkim kamieniem i nóż z żebra bizona.

Tehawanka przyspieszał kroku, lecz ani na chwilę nie przestawał uważnie rozglądać się po zaśnieżonej puszczy. Wypatrywał śladów na ziemi, nasłuchiwał odgłosów płynących z głębi boru. Był przecież synem tej surowej krainy i natura nie miała przed nim tajemnic. Chrząst zamarzniętego śniegu, szelest krzewów, trzask łamanej gałęzi, trzepot skrzydeł ptactwa lub jakiś przeoczony znak mogły mieć tutaj decydujące znaczenie.

Czas mijał. Do jagodowiska było już bardzo blisko. Naraz Tehawanka zatrzymał się; z niepokojem spojrzął w pogodne niebo. Jeszcze nie było widać zwiastunów burzy, lecz nie uszło jego uwagi, że ptaki ćwierkały coraz natarczywiej, co niezawodnie zapowiadało rychłą zmianę pogody.

Po krótkim namyśle znów ruszył przed siebie. Przeczuwał nadciągający blizzard, lecz nie miał

wyboru. Od osady dzieliły go dwa dni drogi, więc nawet gdyby teraz zawrócił, nie doszedłby do swoich przed rozpętanem się śnieżnej nawałnicy. Poza tym sam był okropnie głodny i wiedział, że jego najbliżsi liczą na niego.

Po jakimś czasie zaczął wypatrywać orientacyjnego znaku. Miało nim być małe, leśne jezioro, znane mu z wypraw z dziadkiem. Jednak nigdzie nie było go widać.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html>

„Może przeoczyłem zamarznięte, zasypane śniegiem jezioro? - pomyślał zaniepokojony. - Nie, to niemożliwe... Przecież musiałbym zauważyć okalające je szuwary. Nic innego, tylko Can Oti płata mi figle!”

Zaledwie wspomniał złośliwe bóstwo, zaraz zatrzymał się zatrwożony.

W panteonie Dakotów, oprócz kilku dobroczynnych bogów uosobionych w Wakan Tanka, istniało również wiele złych bóstw, których jedynym celem było sprawianie ludziom jak najwięcej kłopotów. Właśnie złośliwy Can Oti zawsze utrudniał wędrowcom rozpoznanie kierunku drogi i miejscowości. Czerwony Pies nauczył wnuka, jak należało bronić się przed złymi bóstwami. Toteż Tehawanka przykucnął obok drzewa. Z podróżnej torby wydobył kawałek spróchniałej kory oraz krótki, twardy, cienki kij o zaostrzonym jednym końcu, używany jako świder do niecenia ognia. Następnie wyjął z woreczka garść suchej szałwi i słodkiej trawy, których dym miał zapobiegać psotom przekornych bóstw.

Tehawanka rękami odgarnął śnieg przy pniu drzewa, położył na ziemi korę, po czym przytknął do niej ostry koniec kija. Zręcznymi ruchami otwartych dłoni wprawiał go w szybki ruch obrotowy. Po jakimś czasie, hubka zatliła się; Tehawanka dmuchnął kilka iskier na wysuszoną trawę. Smużka błękitnego dymu uniosła się w górę. Ofiara została spełniona. Uspokojony schował hubkę i świder do torby. Starannie zasypał ziemię śniegiem i ruszył w drogę. Wkrótce też ujrzał szuwały jeziora. Od tego miejsca w prawo, o kilka strzelań z łuku, rozpoczynały się jagodowiska nawiedzane przez baribale.

Duch opiekuńczy

Słońce stało w zenicie, gdy Tehawanka dobrnął wreszcie do niedźwiedzi jagodowisk. Myśl o możliwości rychłego zaspokojenia głodu dodała mu sił. Bez chwili wytchnienia zaczął rozglądać się wokoło. Niedźwiedzie zazwyczaj wybierały sobie miejsce na zimowe leże w jakimś załomie skalnym, pod korzeniami wywróconego drzewa lub dużą dziuplę w wypróchniałym pniu i wyścielały je gałązkami oraz liśćmi. Ich zimowy sen był raczej drzemką, z której często budziły się i wychodziły myszkować po okolicy. Około stycznia niedźwiedzice rodziły potomstwo w zimowym legowisku. Mimo pozornie ociążalej, niezgrabnej budowy niedźwiedzie bardzo zręcznie wspinały się na drzewa, w czym pomocne im były długie, ostre pazury.

Tehawanka dobrze znał zwyczaje niedźwiedzi, toteż uważnie spoglądał na drzewa. Wkrótce spostrzegł na olbrzymim cedrze charakterystyczne zadrapania pazurami. Przystanął i spojrzął w górę. Około trzydziestu stóp nad ziemią widniał w pniu otwór wystarczająco duży, aby niedźwiedź mógł się przez niego przecisnąć. Nadzieja wstąpiła w serce Indianina. Teraz przede ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> wszystkim musiał się tylko upewnić, czy niedźwiedź urządził sobie zimowe leże w dziupli i wywabić go z kryjówki, jeśli w niej obecnie naprawdę przebywał.

Pień cedru był bardzo gruby, a pierwsze konary znajdowały się zbyt wysoko, aby Tehawanka mógł wspiąć się na nie. Jednak obok starego cedru rosło młode drzewko, którego wierzchołek prawie sięgał do dziupli. Można więc było wspiąć się na nie i wrzucić w dziuplę płonące smolne drzazgi; duszący dym powinien wypłoszyć niedźwiedzia na zewnątrz.

Tehawanka od razu rozpoczął przygotowania. Przede wszystkim zdjął karpie i wyszukał

rozwidloną gałąź, odciął nożem jedną odnogę, pozostawiając na samym końcu tylko zakrzywiony kawałek który tworzył jakby hak umożliwiający zawieszanie kija. Potem nabierał

spróchniałej kory oraz smolnych gałązek, związał je w pęczek łykiem i przymocował do rzemienia przewiniętego w pasie. Następnie zrzucił z ramion na ziemię skórzaną opończę i ułożył

na niej swą torbę podróżną, łuk i strzały, aby były gotowe do użycia. Z torby wyjął przyrządy do rozniecania ognia, po czym łykiem przywiązał smolną drzazgę do haka na końcu kija.

Zapalenie drzazgi zajęło mu sporo czasu. Gdy płomień zaczął wreszcie pełzać po niej, Tehawanka, wykorzystując hak, zawiesił kij na gałęzi młodego drzewka rosnącego obok wielkiego cedru. Następnie sam zaczął szybko wspinać się na drzewo. Niebawem znajdował się na gałęzi, na której uprzednio zawiesił kij z przywiązaną do niego, płonąca smolną drzazgą.

Ponowne zawieszenie kija na wyższej gałęzi było dziełem krótkiej chwili.

Wspinając się coraz wyżej w ten sposób dotarł niemal na wysokość dziupli w cedrze. Teraz odtroczył od pasa smolne gałązki i przywiązał je do haka na kiju. Ogniem drzazgi zapalił wiecheć, i wysunął go na kiju w kierunku dziupli.

Dymiący pęk gałązek pograżył się w ciemnym otworze. Tehawanka ostrożnie strząsnął wiecheć.

Z zapartym tchem nasłuchiwał. Klęby gryzącego dymu zaczęły wydobywać się z dziupli. W głębi drzewa wciąż panowała cisza.

Wyraz napięcia zniknął z twarzy Indianina. Gdyby niedźwiedź zamieszkiwał wewnątrz drzewa już na pewno byłoby słyszać jego gniewne sapanie. Tehawanka zawiedziony wolno schodził z gałęzi na gałąź. Naraz w głębi dziupli rozbrzmiały dziwne odgłosy. Z czarnego otworu wychylił się spiczasty pysk, oczy błysnęły zielonawym blaskiem. Niewielkie, zgrabne zwierzątko o żółto -

szaro - czarnym futrze i szaro - żółtym w czarniawe obrączki ogonie wyskoczyło na konar cedru.

Wyrwany nieoczekiwanie ze snu szop pracz* [przyp.: Szopy należą do podrzędu Arctoidea, obejmującego cztery rodziny: psy (Canidae), kuny (Mustelidae), szopy (Pryocyonidae) i niedźwiedzie (Ursidae). Szopy zajmują pośrednie stanowisko między łasicowatymi a niedźwiedziowatymi. Tylko jeden ich gatunek (panda - *Ailurus fulgens*) żyje w Himalajach na wysokościach 2000- 4000 m, natomiast wszystkie inne są mieszkańcami kontynentów amerykańskich. Dzielą się na trzy ważne rodzaje: wiklawce (Potos) zdomowione w północnej Brazylii, Peru aż do Meksyku i Florydy; szopy (Procyon) na obydwóch kontynentach; zdeby (Nasua), czyli ostronosy, w Południowej i Środkowej Ameryce oraz w południowej części Ameryki Północnej. Wszystkie pędzą żywot nadrzewny. Najwięcej znany szop pracz (Procyon lotor), zwany przez Amerykanów racoon, zamieszkuje wyłącznie Amerykę Północną. Tułów jego osiąga długość do 65 cm i pokryty jest obfitym, miękkim, wartościowym futrem. W północnych regionach zapada w trzymiesięczny sen zimowy. Nazwa szop pracz została mu nadana, ponieważ ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter

<http://www.processtext.com/abclit.html> sądzono, że zwierzę to ma zwyczaj myć swe jedzenie przed spożyciem. Było to jednak błędne mniemanie. Szop po prostu często poluje na żyjące w wodzie: raki rzeczne, ślimaki, żaby i ryby i dlatego można było często widzieć go zanurzającego łapy w wodzie i wydobywającego z niej pożywienie. Poza tym żywi się również owocami, kasztanami, kaczanami kukurydzy, ptakami, jajami, których nawet nie usiłuje zanurzać w wodzie.] rozejrzał się ciekawie. Zauważył

zneruchomiałego człowieka na pobliskim drzewie. Przyglądał się mu przez chwilę przekrzywiając łebek. Tehawanka zamarł w bezruchu na widok szopa. Był bezradna wobec zwinnego, przebiegłego zwierzęcia. Łuk i strzały pozostawił u stóp drzewa, bowiem polując na niedźwiedzia drzemającego w dziupli myśliwy nie jest zmuszony do strzelania z chwiejnego konaru. Niedźwiedzie tylko wspinają się szybko na drzewo, natomiast schodzą z niego zawsze zadem, bardzo powoli i ostrożnie. Myśliwy tymczasem zdąży zsunąć się pierwszy na ziemię i spokojnie przygotować do strzału.

„Umknie mi!” - pomyślał Tehawanka.

Szop wciąż przyglądał mu się ciekawie. Tehawanka ostrożnie zaczął opuszczać się na niższe gałęzie, aż wreszcie jednym susem stanął na ziemi. Pochylił się po broń, lecz szop nagle zakołysał się na gałęzi, a następnie jak błyskawica pomknął w górę po pniu, przeskoczył na konar pobliskiego drzewa i zniknął.

Tehawanka przez dłuższą chwilę spoglądał w kierunku, w którym umknęła tak upragniona przez niego zwierzyna. Dopiero teraz poczuł przenikliwy chłód. Założył karpie. Podniósł opończę, nakrył nią ramiona, wziął torbę podróżną, broń. Znow rozpoczął szukanie legowisk niedźwiedzi.

Trzykrotnie jeszcze spotkało go niepowodzenie.

Właśnie wypatrzył wywrócone olbrzymie drzewo. Pod jego korzeniami widniała w dole poprzeczna jama. Niedźwiedzie lubiły wybierać takie miejsca na swój zimowy sen. Tehawanka zsunął się w wykrot, po czym wystrzelił strzałę z łuku w głąb jamy. Nie było to zbyt rozropne, ponieważ strzał oddany na chybił trafił mógł jedynie przebudzić i rozjuszyć niedźwiedzia, gdyby znajdował się w kryjówce. Na szczęście jama była pusta.

Tehawanka ociężale wychodził z wykrotu. Naraz pośliznął się, upadł na bok. Chwilę leżał ciężko dysząc, wreszcie powstał, mimo woli spojrzął w górę.

Niebo poszarzało. Ciężkie, ciemne chmury niemal dotykały wierzchołków drzew, szybko przemykały ponad nimi. W soseniastej puszczy zaległa cisza, tylko od północo-zachodu nadlatywały jakieś jęgliwe poświsty i pomruki* [przyp.: Otwarte Równiny Wewnętrzne Ameryki Północnej są terenem gwałtownego ścierania się zimnego powietrza polarnego znad północnej Kanady z gorącym powietrzem zwrotnikowym znad Zatoki Meksykańskiej. Zimowe, silne i lodowate wiatry północno - zachodnie (northers) często zmieniają się w blizzardy, czyli śnieżne burze. Natomiast wiosną i latem z południa napływają ku północo-wschodowi cyklony zwrotnikowe, połączone z gwałtownymi burzami (tornado).].

Tehawanka zdał sobie sprawę, że w zapale tropienia zwierzyzny zapomniał o obserwowaniu zmian zachodzących w atmosferze. Tymczasem wygląd nieba i niepokój ptaków mogły w porę ostrzec go przed już nadchodzącym groźnym niebezpieczeństwem. Natarczywy świergot ptactwa ucichł zupełnie. Nie ulegało wątpliwości, blizzard nadciągał milowymi krokami, skoro nawet ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ptaki już skryły się w gniazdach.

Tehawanka od razu otrząsnął się z niemocy. Sytuacja jego była straszna. Znajdował się w ostępach puszczy daleko od swojej osady, osłabiony z głodu oraz zmęczenia, w okolicy nawiedzanej przez śmiertelnego wroga. Wprawdzie znał sposoby umożliwiające przetrwanie śnieżnych nawałnic, lecz po raz pierwszy w życiu znalazł się sam w tak groźnej sytuacji. Co się stanie, jeżeli blizzard potrwa zbyt długo?

„Umrę z głodu...” - pomyślał.

Ogarnęło go przerażenie. Trwało ono jednak tylko krótką chwilę, bowiem zaraz uzmysłowił sobie, że gdyby teraz zginął, pomarliby również Czerwony Pies, Poranna Rosa i inni.

Szybko wydostał się z wykrotu. Musiał szukać jakiegoś bezpiecznego schronienia. Blizzard szalał czasem tylko kilka godzin, lecz często również trwał nawet parę dni. Podczas oślepiających zamieci śnieżnych podróżowanie po odkrytych terenach stawało się zupełnie niemożliwe. Wędrowcy zaskoczeni w drodze przez blizzard często zamarzali na śmierć. Jedynym wtedy ratunkiem było ustawiczne podskakiwanie na kawałku drewna w celu rozgrzania ciała.

Można też było owinąć się skórzaną opończę, lec na ziemi przy małym wzniesieniu i czekać na całkowite zasypanie śniegiem. Dopiero po ustaniu zawieruchy wygrzebywało się z zasy, gdy już można było iść dalej odnajdując właściwy kierunek na podstawie słońca i gwiazd.

Puszcza nastęrczała możliwości znalezienia dogodniejszego schronienia. Toteż Tehawanka począł rozglądać się po najbliższej okolicy. Słońce tymczasem całkowicie już zniknęło za powalą czarnych chmur. Choć było dopiero wczesne popołudnie, zapanował półmrok. Wkrótce gwałtowny, lodowaty wichur wtargnął jednocześnie ze wszystkich stron pomiędzy drzewa i sypnął gęstą śnieżycą.

Tehawanka oślepiony wichrem i śniegiem ostatkiem sił szedł przed siebie. Z trudem oddychał, zachłystując się lodowatą wichurą. Wreszcie natrafił na wielki, rozszczepiony przez pioruny, nadpróchniały wiąz. Tuż nad ziemią znajdowała się w nim głęboka, podłużna szczelina. Wsunął w nią najpierw głowę, a potem zrzucił karpie i cały wśliznął się do wnętrza pnia.

Jama była na tyle obszerna, że dorosły człowiek mógł w niej swobodnie stać wyprostowany lub ze skulonymi nogami leżeć na ziemi. Wewnętrzne ściany pnia pokrywało spróchniałe drewno.

Tehawanka zdjął opończę, torbę podróżną, łuk i strzały, położył je na ziemi. Wyszedł z kryjówki.

Zatoczył się pod smagnięciami wichury. Zamieć jeszcze się wzmogła. Na dworze było prawie ciemno. Na szczęście obok wiązu leżało dawno już zwalone, wielkie drzewo. Tehawanka na pół

po omacku poodrywał z niego duże płaty kory, wyszukał kilka grubych gałęzi, po czym wszystko to zaciągnął ku swej kryjówce. Walcząc z wichrem zasłonił wejście do pnia wiązu grubą warstwą kory, podpierając z zewnątrz gałęziami, a w końcu przez umyślnie pozostawiony mały otwór wczołgał się do wnętrza. Teraz zakrył i tę ostatnią szczelinę.

Był niemal skostniały z zimna. Drżącymi rękoma wydobył z pasa nóż. Odłupywanie wiórów z wewnętrznych ścian wiązu, a potem rozdrabnianie ich w dłoniach zajęło mu dużo czasu, lecz w końcu dość gruba warstwa suchej podściółki na ziemi utworzyła ciepłe posłanie. Tehawanka zdjął mokasyny. Zaczął w miejscu podskakiwać, przysiadać, poruszać rękami, dopóki nie ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> rozgrzał swego ciała. Wtedy dopiero skulony zagrzebał się w barłóg i nakrył opończę.

Bezwład z wolna ogarniał utrudzone ciało Indianina. Już nawet nie odczuwał głodu. Śnieg pozatykał resztę szpar w pniu wiązu, więc szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w nieprzeniknioną ciemność, nasłuchując odgłosów szalejącego blizzardu. Huraganowy wichur wył

jękliwie. Gdzieś w pobliżu rozbrzmiał trzask, a potem głuchy łomot padającego drzewa.

Tehawanka zdawał sobie sprawę, że niewiele mógł mieć nadziei na szczęśliwe zakończenie niebezpiecznej wyprawy. Nawet gdyby blizzard ustał wkrótce, nie starczyłoby mu sił na powrót do osady, jeśli nie udałoby mu się zdobyć pożywienia. Tymczasem nawałnica nie słabła ani na chwilę. W szczelinie pnia stawało się coraz cieplej. Oznaczało to, że śnieżycy obsypuje drzewo grubym kopcem. Wnętrze wiązu mogło stać się dla niego grobem. Groziła mu głodowa śmierć.

Mimo to mężnie próbował zapanować nad strachem. Aby odegnąć posępne myśli, zaczął przypominać sobie różne wydarzenia z własnego życia.

Jak daleko sięgał pamięcią przebywał wraz z siostrą u dziadków. Gdy ojciec poległ, a wkrótce potem zmarła matka, Czerwony Pies i jego żona stali się już ich jedynymi opiekunami.

Szaman wychowywał go jak własnego syna, nie skąpił nauk, doświadczenia. Toteż wszystkie chłopięce wspomnienia Tehawanki wiązały się z Czerwonym Psem. To on przecież uczył go, jak należy sporządzać niezawodny łuk i strzały, zaprawiał do łowów. Podczas polowania z dziadkiem zabił swego pierwszego bizona, co dla każdego Indianina było niezwykle przeżyciem, które pamiętał później aż do śmierci.

Czerwony Pies opowiadał mu wydarzenia z historii Dakotów, mówił o bohaterach, wpajał nienawiść do wrogów, uczył wspaniałomyślności, gościnności, szacunku dla starszych oraz zasłużonych ludzi, a wreszcie uchylał rąbka swych szamańskich tajemnic.

Dzięki cennym wskazówkom Czerwonego Psa, już w czternastym roku życia przeżył swą pierwszą wizję* [przyp.: Indianie, jak większość pierwotnych ludów, traktowali sny i wizje jako

rzeczywistość. Wierzyli, że dusza śpiącego człowieka opuszcza odpoczywające ciało i podczas wędrówki w zaświatach obcuje z istotami nieziemskimi. Sny i wizje decydująco wpływały na postępowanie Indian i odgrywały olbrzymią rolę w ich życiu. Wiązały się one ściśle z wierzeniami religijnymi. Już od wieku dziecięcego Indianin miał wpajane przez rodziców przekonanie, że osobiste powodzenie w życiu, sławę, znaczenie i bogactwo może osiągnąć tylko za pomocą wizji, podczas których uzyskiwał wskazania życiowe oraz błogosławieństwo Wielkiego Ducha. Indianie leśni (Czipewejowie i Winnebago) udzielali odpowiednich pouczeń chłopcom już od siódmego roku życia, a u Indian prerii (Hidatsa) starsi nakłaniali swe dzieci od wczesnego wieku do starań o przeżywanie wizji. Indianie doznawali wizji w specyficznych, specjalnie wytwarzanych warunkach, które wprawiały ich w ogromne podniecenie psychiczne.

Mianowicie w celu doznania wizji Indianin prerii i lasów samotnie udawał się w odosobnione miejsce, gdzie poszcząc ściśle przez 4 dni modlił się o powodzenie dla siebie, prosił o Ducha Opiekuńczego, o radę, często jednocześnie okaleczając swe ciało. W czasie niezwykłego podniecenia oraz osłabienia fizycznego rzeczywistość mieszała się w jego rozgorączkowanej wyobraźni z urojeniami. Za wizję uważano nie tylko niezwykle widziadła, lecz również znaczenie takie przypisywano różnym dźwiękom, znakom, przedmiotom bądź zwierzętom.

Znaczenie wizji zwykle wyjaśniał szaman. Każdy Indianin pragnął doznawać wizji, a gdy sam ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> nie mógł ich przeżywać, wtedy odkupywał od kogoś innego część jego wizji.]. Wtedy właśnie, podczas czterodniowej samotnej wyprawy, ściśle poszcząc i modląc się żarliwie do wszechmocnych bóstw, ujrzał olbrzymiego orła, który opuścił się nisko i rzucił mu kilka swych wspaniałych piór. Pióra pochodzenia nieziemskiego rozplynęły się wraz z niezwykłą wizją, lecz Czerwony Pies wytłumaczył wnukowi jej znaczenie: czekały go wielkie godności i zaszczyty.

Tehawanka wprost uwielbiał powszechnie szanowanego, mądrego i odważnego szamana. Nic więc dziwnego, że obecnie odganiając wspomnieniami posępne obawy, stale powracał myślami do Czerwonego Psa. W końcu jednak zmęczenie zaczęło brać górę nad rozgorączkowaną wyobraźnią. Przymknął oczy, tylko jego wargi jeszcze poruszały się bezgłośnie - prosił bogów o ratunek. Powoli zapadł w drzemkę, czy półletarg...

Naraz odniósł wrażenie, że już nie jest sam we wnętrzu wiązu. Otworzył oczy. Ciche westchnienie ulgi wyrwało mu się z ust. Szaman Czerwony Pies pochylał się nad nim. Przysiadł

obok na barłogu.

„Nie obawiaj się, synu - szepnął. - Jestem przy tobie”.

Sędziwy szaman spoglądał w kierunku, skąd wszechmocne Słońce wschodzi na niebo.

Tehawanka pojął, że Czerwony Pies zanoszą prośby do boga Słońca. Niemal w tej samej chwili usłyszał szept:

„Wielki Wi! Wychowałem tego chłopca. Uczyłem, żeby był przebiegły jak wąż, mądry jak sowa oraz

mężny i silny jak niedźwiedź. Czy jego rozważne zachowanie się na tych samotnych łowach nie świadczy, że otwartym sercem przyjął moje nauki? Rada starszych powierzyła jego opiece niedołącznych braci i siostry. Okazała mu zaufanie jak dorosłemu mężczyźnie. Wi, pomóż mu teraz”.

Tehawanka z czią spoglądał na starego szamana, który jak dym ogniska wolno rozpląwał się w powietrzu. Zaledwie jednak szaman zniknął, rozbrzmiał trzepot potężnych skrzydeł. Olbrzymi złocisty orzeł* [przyp.: Orzeł przedni (Aquila chrysaetos) - wielki, drapieżny ptak o długości tułowia do 80 cm i o rozpiętości skrzydeł do 2 m. Zamieszkuje Europę (Polskę - Karpaty, Mazury), północną Afrykę, północną i środkową Azję oraz Amerykę Północną. Niektórzy Indianie prerii przyznawali swoim wojownikom prawo do noszenia odpowiedniej liczby orlich piór jako wyróżnienie za dokonanie niezwykłego czynu. Orzeł, otoczony wieloma legendami, znalazł się w herbach różnych narodów i państw (cesarstwo bizantyjskie, austriackie, królestwo niemieckie i cesarstwo, Wielkie Księstwo Moskiewskie, cesarstwo rosyjskie, Serbia, Jugosławia, USA, Meksyk, Polska i inne).] zawisnął nad Tehawanka rzucając iskrzące spojrzenie z krwią nabiegłych oczu. Indianie czcili złocistego orła za jego wielką siłę i odwagę, a Tehawanka ponadto również ujrzał tego wspaniałego ptaka podczas swej pierwszej wizji. Toteż teraz natychmiast pomyślał, że to jego Duch Opiekuńczy zjawia się pod postacią orła.

„Nie myśl o tych, których losu nie możesz już odmienić - odezwał się orzeł. - Nadszedł czas twojej próby. Będę ci towarzyszył, ponieważ jestem twoim Duchem Opiekuńczym. Jeśli zastosujesz się do moich rad, przejdziesz przez noc, która roztoczyła nad tobą swe czarne skrzydła. Teraz chodź ze mną!”

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Tehawanka posłusznie powstał. Razem wzbili się w powietrze. Wkrótce wspaniała puszcza zaczęła wyłaniać się z chmur. Była to Kraina Wiecznej Szczęśliwości, gdzie wszyscy zmarli Dakotowie żyli bez wszelkich trosk. Puszcza obfitowała w zwierzynę. Łosie i jelenie wapiti pasły się na leśnych polanach. Czarne niedźwiedzie buszowały po kniei, widać było czerwone i srebrne lisy, skunksy i wiewiórki. Stada tłustych indyków o połyskliwym, brunatnożółtym upierzeniu odbywały długie wędrówki, w wodach jezior oraz rzek swawoliły bobry i wydry. Na pobliskiej prerii czerniły się niezliczone stada bizonów, a obok nich przebiegały szybkonogie antylopy.

Tehawanka, lekki jak tchnienie wiatru, szybował ze swym Duchem Opiekuńczym. Z zapartym tchem spoglądał na stada zwierząt. Przypomniały mu się opowieści Czerwonego Psa o dawnych czasach, kiedy bory były pełne zwierza, a wszyscy Dakotowie nie znali głodu. Zaledwie pomyślał o tym, zaraz ujrzał indiańską osadę.

Przed chatami rozsiedli się wojownicy. Niektórzy zabawiali się grami hazardowymi, inni wspominali łowieckie i wojenne przygody. Kobiety gotowały strawę, wyprawiały skóry zwierzęce, sporządzały odzienie, podczas gdy dzieci beztrąsko harcowały z tłustymi kundlami.

Wszędzie widać było dostatek. Każdy polował jedynie dla zaspokojenia swych potrzeb, nikt bezmyślnie nie tępił zwierzyny. Wrogowie nie mieli dostępu do Krainy Wiecznej Szczęśliwości Dakotów.

Przed jedną chatą, zbudowaną z drewnianych słupów, kory i ziemi* [przyp.: W różnych regionach Ameryki Północnej zróżnicowane grupy plemion indiańskich żyły w odrębny sposób, mówiły innymi językami, inaczej się ubierały oraz budowały różne rodzaje domów.

Algonkinowie w północno - wschodniej krainie lasów mieszkali w stożkowatych bądź

kopulastych chatach, zwanych w języku algonkińskim wigwamami. Były one niewygodne do przenoszenia i budowano je do zamieszkiwania przez dłuższy czas w jednym miejscu. Wigwam składał się ze szkieletu z drągów pokrytego płatami kory lub matami z szuwarów. Irokezi (obecne stany: Nowy Jork, Pensylwania i Ohio) mieszkali w zwartych osadach otoczonych mocnymi, drewnianymi palisadami; domy ich zwane long house (długi dom), były wielorodzinnymi, długimi na około 100 stóp, prostokątnymi budynkami o kopulastych bądź

dwuspadowych dachach, w których pozostawiano otwory odprowadzające dym. Wewnątrz, pośrodku domu, płonęły ogniska po jednym dla każdej rodziny. Domy te miały drewniany szkielet kryty matami. Natomiast na południo-wschodzie na Florydzie, Seminole mieszkali na otwartych z boków, nadziemnych platformach, wzniesionych na palach i osłoniętych od góry dwuspadową strzechą. Na zachód od Missisipi, na szerokim pasie prerii mieszkali osiadłe lub półosiadłe plemiona uprawiające rolnictwo i wyruszające co pewien czas na Wysokie Równiny w celu polowania na bizona. Indianie ci budowali bezokienne, okrągłe, kopulaste ziemianki, stosując szkielet ze słupów nakrywanych grubą warstwą ziemi. Podczas łowów na bizona używali łatwo przenośnych tipi (tepee w języku Dakotów - dom), czyli stożkowatych namiotów (ramy z drągów nakrywane skórą bizonów, a później płótnem). Mieszkańcy Wysokich Równin, nomadzi polujący na bizona, mieszkali wyłącznie w tipi. Na południo-zachodzie nomadzi Nawahowie budowali hogany (szkielet ze słupów obkładany ziemią), a Apacze podobne w kształcie szałas obkładane poszyciem z liści. Pueblosi (od wyrazu pueblo - miasto) prowadzili osiadły tryb życia i mieszkali w miastach, w których poszczególne kondygnacje domów tworzyły trasy łączone drabinami. Domy te budowali z adobe, czyli suszonej w słońcu glinianej cegły, lub wykuwali je w skałach. Kopacze - plemiona południo-zachodu za Górami Skalistymi budowały prymitywne szałas z krzewów szałwi, kory i trawy, a Indianie północno - zachodniego ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> wybrzeża, tak dobrze znani ze słupów totemowych, wznosili obszerne, prostokątne, drewniane domy wielorodzinne, o spiczastych dachach. Domy te posiadały szkielet ze słupów obkładany deskami. Na północnych krańcach kontynentu Eskimosi mieszkali w igloo, czyli kopulastych domkach z bloków lodowych i śniegu.], Tehawanka ujrzał dobrze znajome sobie postacie: ojca, matkę i starszego brata, który również poległ w walce z Czipewejami. Wzruszony chciał podbiec do nich, ale Duch Opiekuńczy powstrzymał go wzrokiem.

Matka i brat dostrzegli Tehawanę, powitali uśmiechem, lecz ojciec odwracał głowę.

Tehawanka był jeszcze małym chłopcem, gdy towarzysze wojennej wyprawy przynieśli do wioski ciała oby dwóch poległych. Mimo to utkwiała mu w pamięci długa rana na skroni ojca sięgająca aż do lewego oka. Czyżby teraz chciał ją ukryć odwracając głowę?

Onieśmielony gubił się w domysłach. Dlaczego ojciec był smutny i jakby zawstydzony?

Przecież wśród Dakotów wielkie czyny wojenne i śmierć w młodym wieku na polu bitwy były największym zaszczytem dla wojownika. Dożycie starczego wieku źle świadczyło o waleczności mężczyzny!

Matka skinęła ręką zapraszając do wnętrza domu rodzicielskiego. Tehawanka spojrział na swego Ducha Opiekuńczego. Razem weszli do chaty.

Tehawanka wzruszony spoglądał na znane mu sprzed lat rodzinne mieszkanie. Wzdłuż kolistej ściany znajdowały się legowiska poszczególnych domowników, odgródzone skórzanymi zasłonami. Pomiedzy łózkami leżały sprzęty gospodarskie, ubrania, podręczne zapasy żywności, opał na ogień oraz uprzęż z włókami dla psów* [przyp.: Przed przywiezieniem koni przez Hiszpanów do Ameryki, Indianie używali psów jako zwierząt jucznych. Pakunki przywiązywano wprost na grzbietach psów, bądź kładziono je na kije ciągnięte przez psy. Przednie końce tych kijów umocowywano do upręży na barkach zwierzęcia, podczas gdy tylko wlokły się za nim po ziemi tworząc kąt rozwarty, dzięki poprzecznym kijkom umieszczonym w połowie długości włók, gdzie kładziono bagaż. Po zdobyciu koni Indianie zaczęli juczyc je w identyczny sposób.

Kanadyjscy Francuzi zwali tę uprzęż „travois”].

Na środku chaty, pomiędzy czterema centralnymi słupami podpierającymi strop, płonęło ognisko. Tak jak dawniej leżały przy nim półkolem zwierzęce skóry. Na nich siadali mężczyźni.

Tehawanka od razu wypatrzył miejsce swego ojca, Wa o'ka, co oznaczało „tropiciel” Rodzice Tehawanki, jak wszyscy Indianie, byli bardzo dumni ze swych dzieci i kochali je bez granic. Tehawanka wzruszył się na wspomnienie ojca, który niegdyś często nucił pieśni wojenne półleżąc na skórze przy ognisku. Wtedy zaledwie kilkuletni Tehawanka wyciągał przed siebie ręce i wolno, jeszcze chwiejąc się na nóżkach, zaczynał wirować wkoło w takt ojcowskiego śpiewu. Ileż czułości malowało się wtedy w zazwyczaj groźnych oczach Wa o'ka!

Spojrział na mały, domowy ołtarzyk. Dziwny chłód wpelznął do jego piersi. Ołtarzyk był pusty...

Nie było na nim ani zawiniątka ze świętymi przedmiotami* [przyp.: Zawiniątka ze świętymi przedmiotami - amuletami (po ang.: medicine bag, medicine bundle, sacred bundle - woreczek z lekami, zawiniątko z lekami, święte zawiniątko) były zawiniątkami, w których Indianie przechowywali różne przedmioty uważane przez nich za święte, a wskazane im przez duchy w czasie snu lub wizji. Zawiniątka te, uważane za święte, mogły stanowić własność całego klanu ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> albo szczepu lub były własnością indywidualną i wtedy składano je w grobie razem ze zmarłym właścicielem, bądź przechodziły z ojca na syna. Ze świętymi zawiniątkami wiązały się specjalne rytuały i ceremonie.], ani wojennej tarczy ojca, która dzięki świętym znakom posiadała moc osłaniającą przed ciosami wroga podczas bitwy.

Tehawanka jako dziecko zawsze z zabobonnym lękiem spoglądał na ojca, gdy ten podczas uroczystych ceremonii wyjmował ze swego zawiniątka przedmioty wskazane mu podczas snów i wizji przez Wielkiego Ducha. Były to: fajka pokoju, garstka tytoniu, farby do malowania ciała, ziarna kukurydzy oraz dzikiego ryżu, skrzydło sowy, pazury niedźwiedzia i ucho stepowego wilka. Tych

potężnych świętości brakowało teraz na domowym ołtarzyku, ponieważ stały się łupem Czipeweja, zwycięzcy. Tehawanka zrozumiał, dlaczego ojciec był smutny i zawstydzony, dlaczego nie zażywał spokoju w Krainie Wiecznej Szczęśliwości. Nie mógł przekazać synowi zawiniątka ze świętymi przedmiotami, zawierającego potężne dary Ducha Opiekuńczego, które nadawały Indianinowi wyższą rangę społeczną. Nie miał również swej wojennej tarczy, sporządzonej ze skóry bizona, na której wymalowane były święte symbole słońca i błyskawicy -

talizmany wskazane przez Ducha Opiekuńczego. Tarczę tę także utracił podczas bitwy.

Wielki smutek ogarnął Tehawanę. Jako dziecko nie mógł wtedy pomścić śmierci ojca i hańby utracenia świętości. Teraz mimo woli dłoń młodego Indianina spoczęła na rękojeści noża tkwiącego za rzemiennym pasem. Chciał przyrzec ojcu na tę broń, że dokona pomsty. Szarpnął

rękojeść raz i drugi, lecz nie mógł wydobyć ostrza z pochwy. Tymczasem chata rodzicielska zaczęła zasnuwać się mgłą. Ojciec, brat i matka rozpływali się w powietrzu. Tehawanka był

zrozpaczony, że nie zdąży złożyć przyrzeczenia. Poczuł, że rękojeść noża opiera się o jego pierś, więc przechylił się do tyłu. Wtedy otrzymał uderzenie w tył głowy.

Głuchy jęk przywrócił go rzeczywistości. Wokół panowała nieprzenikniona ciemność.

Zrozumiał, że jego dusza już powróciła do ciała na Ziemię. Znajdował się we wnętrzu drzewa, chcąc wydobyć nóż, uderzył głową o pień. Jeszcze oszołomiony siadł na barłogu. Teraz bez trudności wyciągnął nóż z pochwy. Ujął ostrze w obydwie dłonie i szepnął:

„Dzięki ci, Duchu Opiekuńczy. Wiem teraz, dlaczego cień mego ojca w Krainie Wiecznej Szczęśliwości nie może zaznać pełni szczęścia. Pierwszą wojenną wyprawę odbędę do osad Hakatonwan, aby pomścić jego śmierć oraz zdobyć dla niego zawiniątka ze świętościami i tarczę Czipeweja”.

Szeptał słowa podziękowań i przyrzeczenia, a jednocześnie usiłował przesiąść wzrokiem okalającą go ciemność. Duch Opiekuńczy znów stał się niewidzialny. Mimo to niezwykła duma ogarnęła Indianina. Zapomniał o straszliwym położeniu, o głodzie i chłodzie. Cóż mogło mu grozić, skoro jego Duch Opiekuńczy czuwał nad nim? Był teraz pewny, że z tak potężną pomocą zdoła dokonać niezwykłych, wielkich czynów.

Tehawanka nie orientował się, jak wiele czasu upłynęło od chwili, gdy skrył się we wnętrzu drzewa. Czy obecnie była noc, czy dzień? Po omacku odszukał mokasyny i nałożył je na stopy.

Ostrożnie powstał, po czym dłońmi przesuwając po pniu, aż natrafił na szczelinę zakrytą płatem kory. Próbował odsunąć zaporę, ale nie zdołał nawet jej poruszyć. Wiatr nawiał na szczelinę zaspę śniegu, tym samym uwięził go w drzewie. Przyłożył ucho do pnia i nasłuchiwał przez jakiś czas. Zdawało mu się, że jeszcze słyhać poświsty wichury, więc z powrotem ułożył się na [ABC Amber LIT Converter](http://www.processtext.com/abclit.html) <http://www.processtext.com/abclit.html> legowisku. Wkrótce zasnął.

Gdy znów otworzył oczy ciemność w dalszym ciągu zalegała wewnątrz pnia. Wokół panowała przeraźliwa cisza. Głód i pragnienie odezwały się ze zdwojoną mocą. Tehawanka włożył do ust skrawek skórzanej opończy, żuł go i miażdżył zębami. W końcu znów powstał, przyklęknął przy szczelinie, zapierając się stopami w legowisko począł naciskać ramieniem na zaporę. Wreszcie płat kory skruszył się i Tehawanka mógł rękami wygrzebać otwór w śnieżnej zaspie. Na dworze był pogodny, słoneczny dzień.

Pieśń śmierci

Sporo czasu upłynęło zanim Tehawanka wydostał się z pnia wiązu na zewnątrz. Wówczas stwierdził, że nocny blizzard pogorszył jego sytuację. W puszczy piętrzyły się duże zaspasy świeżego śniegu. Zasepionym wzrokiem ogarnął bór, po czym założył karpie na stopy, zarzucił

opończę na ramiona, ujął w dłonie broń i ruszył wprost przed siebie. Jednak już zaledwie po kilkunastu krokach znów przystanął. Zaczął uważnie nasłuchiwać. Zdawało mu się, że w oddali rozbrzmiało jakby szczeknięcie.

Stał dłuższą chwilę z głową pochyloną do przodu. Wkrótce nie miał wątpliwości: w puszczy działo się coś niezwykłego. Puszysty śnieg tłumił odgłosy, ale mimo to Tehawanka łowił uchem jakieś podejrzane szelesty, głuche mruczenie i mamrotanie.

„Niedźwiedź!” - pomyślał.

Ogarnęła go olbrzymia radość. Głód natychmiast odezwał się w nim ze zdwojoną mocą.

Możliwość zdobycia pokarmu na chwilę przytłumiła rozwagę. Nie zastanawiał się, dlaczego niedźwiedź opuścił zimową kryjówkę i biegł zagniewany? A przecież szczekliwy głos zwierzęcia był dowodem wielkiego podniecenia.

Czas naglił. Już słyszeć było trzask łamanych gałęzi. Śnieg strącany przez biegnącego niedźwiedzia rozpylał się w powietrzu w biały obłok.

Indianin pospiesznie schował się za najbliższe drzewo. Oswobodził swe stopy z karpli. Opończę rzucił na ziemię, potem ściągnął koszulę, chcąc zyskać całkowitą swobodę ruchów. Sprawdził

czy nóż i maczuga tkwią za rzemiennym pasem, wyjął z kołczanu trzy pierzaste strzały, po czym z łukiem w dłoni wychylił się zza drzewa.

Baribal biegł wprost na niego. Szeroką pierśią oraz łapami rozgarniał śnieg na boki. Czarne, ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Lśniące futro pstrzyło się białym puchem.

Teraz dopiero Tehawance błysnęła myśl, że niedźwiedź zapewne został spłoszony przez kogoś, skoro przedwcześnie opuścił zimowe leże i na oślep umykał przez puszcę. Gniewne mamrotanie nie ustawało ani na chwilę. Było jednak za późno na odwrót.

Czujny baribal już spostrzegł Tehawanke wychylającego się zza drzewa. Zwolnił biegu, odwrócił się

bokiem, jakby zamierzał zawrócić, lecz widocznie usłyszał za sobą niepokojące odgłosy, gdyż warknął głucho i ruszył wprost na myśliwego zastępującego mu drogę.

Tehawanka ochłonął z pierwszego podniecenia. Uzmysłowił sobie, że nadciąga nowe niebezpieczeństwo. O tej porze roku baribal mógł uciekać jedynie przed człowiekiem, ponieważ dzięki swej sile nie obawiał się innych zwierząt. Kto ścigał niedźwiedzia? Przyjaciele czy wrogowie? Tehawanka nie miał czasu na rozważania. Baribal stanął właśnie na tylnych łapach i chwiejnym krokiem ruszył do ataku.

Tehawanka półnagi wyszedł zza drzewa. Nałożył strzałę na cięciwę. Niedźwiedź mruczając podchodził coraz bliżej. Tehawanka uniósł łuk. Czuł już ostry odór dzikiego zwierzęcia, lecz jeszcze nie wypuszczał strzały. Chciał od razu zadać śmiertelny cios. Naraz gdzieś z boku rozległ

się donośny, gardłowy okrzyk. Tehawanka drgnął w chwili, gdy zwalniał cięciwę. Toteż pierzasta strzała, choć utkwiała głęboko w szerokiej piersi niedźwiedzia poniżej lewej łopatki, nie ugodziła w serce. Niedźwiedź tylko zasapał głośno, opadł na przednie łapy. Tehawance zdało się, że dostrzega ludzi chyłkiem biegnących przez las. Szybko wypuścił z łuku następną strzałę.

Utkwiła w karku zwierzęcia, które pod wpływem bólu zaczęło kręcić się w miejscu jak bąk, próbując kłami wyrwać drzewce ze swego ciała.

Tehawanka jeszcze raz napiął łuk. Nieznani ludzie, wciąż jeszcze kryjąc się za drzewami, otaczali go kołem. Poniechałby niedźwiedzia, aby stawić czoło groźniejszemu niebezpieczeństwu, ale oszalałe z bólu zwierzę nieoczekiwanie znów stanęło na tylnych łapach.

Tehawanka niezwykle podniecony bez namysłu wypuścił ostatnią strzałę i uskokzył w bok.

Odrzucił bezużyteczny łuk i wydobył zza pasa maczugę. Niedźwiedź był już tuż przed nim, więc uniósł broń i z rozmachem uderzył. Zwierzę nieco oszołomione wstrząsnęło łbem. Groźnie mruczając pochyliło się ku prześladowcy. Tehawanka odruchowo cofnął się, lecz mimo to potężna łapa dosięgła jego ramienia. Odrzucony do tyłu uderzył plecami w pień drzewa, odbił się od niego i padł na śnieg udeptany przez rozjuszony niedźwiedzia. Na krótką jak błysk chwilę pociemniało mu w oczach; przenikliwy ból w piersiach dławiał oddech, krew napłynęła do ust.

Mimo to nie stracił przytomności umysłu. Zgubił maczugę, więc, choć drżącą dłonią, sięgnął po nóż. Nie odnalazł rękojeści. Podczas uderzenia o drzewo pękł na nim pas i nóż przepadł tak samo jak maczuga.

Niedźwiedź tymczasem opadł na cztery łapy, po czym z głuchym skowytem zwałił się na bok szarpiąc ziemię pazurami. Znajdował się zaledwie o wyciągnięcie ręki od bezbronnego myśliwego. Nagle coś błysnęło w powietrzu. Między zranionym, rozjuszonym niedźwiedziem i Tehawanką utkwiał w ziemi stalowy, myśliwski nóż. Tehawanka z trudem przewrócił się na bok.

Lewą dłonią sięgnął do rękojeści. Wtedy zobaczył, tego, który przyszedł mu z pomocą. Na jego twarzy malowanej cynobrem widniał przekątny, zielony pas biegnący od prawej skroni poprzez czoło, oko, nos i policzek aż do boku lewej szczęki. To był Czipewej* [przyp.: Czipewejowie ABC

Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> byli trzecim co do wielkości plemieniem indiańskim w Ameryce Północnej. Zamieszkiwali obecne stany USA: Minnesotę, Montanę, Północną Dakotę i Winsconsin oraz w Kanadzie: Ontario, Manitobę i Północno - Zachodnie Terytorium. Stanowili część dużej grupy Indian przybyłych ze wschodu, a potem ulegli podziałowi na Czipewejów, Ottawa i Potawatomi, tworząc luźną konfederację, znaną jako Stowarzyszenie Trzech Ognisk. W czasie wędrówki na zachód Czipewejowie torowali sobie drogę wzdłuż brzegów Jeziora Górnego i doszli aż na jego zachodnie krańce. Dzięki broni palnej otrzymanej od Francuzów w XVIII w., po ciężkich walkach wyparli Dakotów z okolic jeziora Mille Lacs i osiedlili się w północnej Minnesocie oraz w południowej Manitobie aż po Turtle Mountains. W XIX w. osadzono ich w rezerwach na obydwóch stronach granicy USA i Kanady, na terenach od dawna przez nich zamieszkałych. W

1650 r. liczba Czipewejów wynosiła około 35 tys., a w 1950 r. około 50 tys. Ze względu na liczebność oraz centralne, szerokie rozprzestrzenienie, Czipewejowie stali się jednym z najpopularniejszych plemion Indian Ameryki Północnej opisywanych przez literatów.

Szczególnie spopularyzowali ich: Henry M. Schoolcraft oraz na podstawie materiałów zebranych przez niego Henry Longfellow (Henry Wadsworth ur. 1807, zm. 1882) poeta amerykański; który napisał poemat „Pieśń o Hajawacie”. Jest to epos oparty na historii i legendach czipewejskich o ich półlegendarnym wodzu - półbogu Manabozho, którego Longfellow, nie wiadomo dlaczego, nazwał w swoim poemacie nazwiskiem irokezkiego polityka i reformatora „Hiawatha”]. Po chwili wahania Tehawanka schwycił dłonią rękojeść noża i wyciągnął ostrze wbite w ziemię.

Najpierw klęknął, po czym stanął na nogach. Kolana ugięły się pod nim.

Niedźwiedź krwią nabiegłymi ślepiami dojrzał wroga. Dźwignął się na łapy. Tehawanka natychmiast znalazł się na jego grzbiecie. Prawą dłoń wczepił w kudły na karku, kolanami nacisnął boki, a lewą ręką uzbrojoną w nóż zadał cios. Stalowe ostrze zagłębiło się aż po rękojeść. Niedźwiedź wstrząsnął się, a potem runął na ziemię na pół przygniatając myśliwego.

Tehawanka unieruchomiony przez ciężkie zwierzę wiedział, że jest zgubiony. Kilkunastu zbrojnych Czipewejów otaczało go wąskim kołem. Jedni mierzyli do niego z łuków, inni trzymali w pogotowiu straszliwe grzmiące kije, dzięki którym zwyciężali Dakotów. Nie miał szans obrony. W obliczu nieuchronnej śmierci ostatnim wysiłkiem woli tłumiał przejmujący ból i uczucie lęku. Pragnął umrzeć jak przystało wojownikowi. Przybrał więc obojętny wyraz twarzy, spojrział prosto w oczy znienawidzonym wrogom i starym indiańskim zwyczajem począł nucić pieśń śmierci:

„Kuna sogobi, kuna yana wakara... - Ogień serca, ogień nieba...”.

Indianie wysoko cenili odwagę. Toteż pogarda śmierci okazana przez młodzieńca wywarła wrażenie na Czipewejach. Wprawdzie ich twarze, jakby wykute z kamienia, nie zdradzały jakichkolwiek uczuć, lecz mimo to nikt nie wypuścił strzały z napiętego łuku, ani nie nacisnął

spustu strzelby. Dopiero po jakimś czasie jeden z Czipewejów odezwał się półgłosem:

- Drwi sobie z nas ta Nadeweisiw!* [przyp.: Nadoweisiweg (liczba pojedyncza: Nadeweisiw) -

Małe Żmije, algonkińska nazwa Dakotów, która w szerszym znaczeniu oznaczała „wrogowie”.

Koloniści francuscy przekręcili tę trudną do wymawiania nazwę na „Nadouessioux”, a potem na

„Sioux”. Tak powstała spopularyzowana przez białych nazwa „Sjuxowie”. Czipewejowie również zwali Dakotów „Ab - boin - ug” (przypiekacze) z powodu zwyczaju Dakotów torturowania jeńców, a z tych samych względów Indianie Ute mówili na nich „ucinacze rąk”, zaś ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter

<http://www.processtext.com/abclit.html> Crow, Arapaho, Caddo i Komancze nazywali ich „mordercy” oraz „podrzynacze gardła”. W

słynnej mowie znaków pojęcie Dakota wyrażał ruch dłoni jakby przecinającej gardło. Natomiast sami Dakotowie nazywali siebie Dakota, co znaczyło „sprzymierzeni”. W dialekcie Santee Dakotów nazwę tę wymawiano - Dakota, w Yankton Dakota - Nakota, a w Teton Dakota -

Lakota.]

- Zdradziecki Ab - boin - ug! - dodał drugi. - Ah'mik* [przyp.: Ah'mik - bóbr, w języku Czipewejów.], twój młody syn zginął z rąk Nadoweisiweg. Pomścij teraz jego śmierć! Bierz skalp* [przyp.: Skalp (angielski - scalp) - kawałek skóry z włosami zdarty z głowy zwyciężonego wroga.], jak to często czynią Małe Żmije, a my, naśladowując również ich zwyczaje, odetniemy mu ręce i nogi!

Długie lata wrogiego sąsiedztwa sprawiły, że Wahpekute Dakotowie i Czipewejowie wzajemnie poznali wiele wyrazów ze swych narzeczy. Toteż Tehawanka zrozumiał obecnie złowróżbne słowa wypowiedziane w mowie algonkińskiej. Mimo to ani jeden mięsień nie drgnął na jego twarzy. Dalej nucił swoją pieśń śmierci i śmiało spoglądał wprost w oczy Czipeweję zwanego Ah'mik, który użyczył mu noża podczas dramatycznych zmagania z niedźwiedziem.

Ah'mik tymczasem oswobodził swe stopy z karpli. Wolno podszedł do Tehawanki. Stał tuż przy boku leżącego, prawie dotykając stopami jego nagiego ciała. Przez dłuższą chwilę spoglądał na niego zimnym wzrokiem.

Tehawanka tylko pozornie spokojny, w rzeczywistości miał nerwy napięte do ostatnich granic.

Czy zdoła bez słowa skargi znieść tortury? Czipewej żądny zemsty za śmierć syna zapewne zechce wziąć skalp jeszcze przed zadaniem śmiertelnego ciosu! Hańbą byłoby zginąć bez walki!

Prawa dłoń Tehawanki mocniej zacisnęła się na rękojeści czipewejskiego noża. Postanowił uderzyć, gdy wróg pochylił się nad nim. Obojętne mu było, co stanie się potem.

Ah'mik przenikliwym wzrokiem mierzył młodzieńca. Może zdołał odgadnąć jego zamiary, a może tylko dostrzegł nikły błysk stali, gdy Tehawanka mocniej zacisnął dłoń na rękojeści noża.

Lekki grymas pojawił się na jego ustach. Naraz szybko pochylił się nad powalonym, po czym jeszcze szybciej odskoczył unikając ciosu. Nim Tehawanka zdołał uderzyć po raz drugi, Ah'mik żyłastą

dłonią chwycił w przegubie jego uzbrojoną rękę. Niebawem nóż wysunął się ze zmartwiałej dłoni Tehawanki. Ah'mik, nie uwalniając ręki przeciwnika, przyklęknął, jednym kolaniem unieruchomił jego lewe ramię, drugim przygniótł pierś. Teraz sięgnął po swój nóż leżący obok na ziemi. Promienie słoneczne załamały się na wolno wznoszonym do góry stalowym, szerokim ostrzu.

Tehawanka poszarzał na twarzy. Nie mógł już dłużej się bronić. Potężne uderzenie niedźwiedziej łapy teraz zupełnie pozbawiło go mocy. Do ust napływała mu krew. Ramiona i nogi stały się ciężkie jak wiekowe dęby, u których stóp leżał porażony bezwładem. Jak przez krwawą mgłę widział pochylającego się Czipeweja. Musiał być znamienitym wojownikiem.

Pośrodku głowy, od czoła aż do karku, nosił sterczący do góry, półkolisty pióropusz, w którym widniało pióro dzikiego indyka, ozdobione na czubku skrawkiem czerwonej szmatki. Tehawanka wiedział, że takie właśnie odznaki nosili czipewejscy wojownicy, wyróżniający się wielką odwagą. Gasnącym wzrokiem spojrział wprost na wzniesione nad swą głową lśniące ostrze i rwącym się głosem jeszcze spróbował nucić pieśń śmierci: ABC Amber LIT Converter
<http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter
<http://www.processtext.com/abclit.html>

„Kuna... sogobi, kuna yana...”

Konary drzew zaczęły wirować coraz prędzej nad jego głową, opuszczały się niżej i niżej, aż w końcu ogarnął go nieprzenikniony mrok. Pieśń urwała się w połowie słowa. Stracił przytomność.

Ah'mik wolno opuścił uzbrojoną dłoń. Nieznacznie zerknął na swych towarzyszy. Obserwowali go pełnym napięcia wzrokiem. Ciekawi byli, co uczyni z pokonanym przeciwnikiem. Miał prawo do zemsty. Jego syn poległ w walce z Wahpekute.

Ah'mik był niezdecydowany. Przed chwilą użyczył broni wrogowi, który znajdował się w wielkim niebezpieczeństwie. Potem gołymi rękami odebrał mu tę broń narażając swe życie.

Bezinteresowne przyjście komuś z pomocą było wysoko oceniane przez Indian, lecz w tym przypadku ocalonym był wróg Czipewejów. Drugi czyn - odebranie przeciwnikowi broni i pokonanie gołymi rękami przynosiło większą chwałę niż zabicie i oskalpowanie. Jednakże czyn ten mógł być różnie oceniany. Wróg leżał na ziemi częściowo przygnięciony przez niedźwiedzia.

Miał więc ograniczoną możliwość obrony. Co powie na to rada starszych? W tej sytuacji może lepiej byłoby zastosować się do rad towarzyszy i pomścić śmierć syna. Mógł przecież zabić Wahpekute i wziąć jego skalp, naśladując zwyczaj niektórych Dakotów, lub też zabrać głowę jako trofeum, jak to czasem czynili Algonkinowie* [przyp.: Zwyczaj skalpowania był

szczętkową pozostałością, szeroko niegdyś rozpowszechnionego na ziemi, zwyczaju zdobywania trofeum w postaci głowy. Wierzono, że głowa była siedzibą ludzkiej duszy i skupiała w sobie magiczne siły tak za życia człowieka, jak i po jego śmierci, które zdobywca głowy czy skkalpu mógł wykorzystywać dla dobra swego rodu bądź plemienia. Poza znaczeniem kultowo -

magicznym te trofea stanowiły u niektórych ludów najważniejszy dowód męstwa i odwagi.

Wśród niektórych plemion Ameryki Północnej kultywowano zwyczaj zdobywania trofeum w postaci ludzkiej głowy, inne zaś ubiegały się o skalpy, lecz wiele ludów indiańskich nie praktykowało żadnego z tych zwyczajów i nawet w ogóle ich nie znało. Pierwotnie o skalpy ubiegały się tylko niektóre ludy zamieszkujące puszcze wschodniej części kontynentu (Huron, Irokezi, Choctaw, Chictaw i Seminole), a z Indian preriowych jedynie Teton Dakotowie i Indianie Cree uważali skalp za najważniejsze trofeum wojenne. Później jednak biali osadnicy napływający z Europy przyczynili się do szerokiego rozpowszechnienia zwyczaju skalpowania.

Mianowicie w celu jak najszybszej eksterminacji Indian zaczęli wyznaczać nagrody pieniężne za skalpy, podżegając jednocześnie jedne plemiona indiańskie przeciwko drugim, a gdy rozgorzały walki kolonialne pomiędzy osadnikami angielskimi, francuskimi i hiszpańskimi, płacili także za skalpy białych przeciwników. Wtedy skalpowali tak Indianie, jak i biali. Osławione, specjalne noże skalpownicze wytwarzane były przez białych.

Należy podkreślić, że przed przybyciem Europejczyków do Ameryki Północnej, Indianie raczej dość rzadko wyruszali na wyprawę wojenną jedynie w celu zdobycia skalpów. Przeważnie ich wyprawy wojenne były wyprawami niewielkich grup (kilku lub kilkunastu wojowników) w celu ukradzenia wrogom koni, zdobycia łupu, jeńców lub sławy. Gdy dochodziło przy tym do walki, większą chwałę przynosiło wojownikowi dotknięcie przeciwnika gołą ręką i bezpieczne wycofanie się, niż zabicie i oskalpowanie.

Obecnie łowcy ludzkich głów żyją jeszcze w Ameryce Środkowej i Południowej, w południowo
ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter
<http://www.processtext.com/abclit.html>

- wschodniej Azji i na wyspach Melanezji.]

Ah'mik jeszcze raz uważnie spojrzął na wroga.

„Niewiele jeszcze przeżył zim, to prawie chłopiec - pomyślał; - Mój syn był starszy”.

Na wspomnienie syna wyraz oczu Czipewaja złagodniał. Teraz dostrzegł, że młody Wahpekute był bardzo wychudzony. Z jego zaciśniętych warg płynęła krew.

Zdecydowanym ruchem schował nóż do skórzanej pochwy, po czym spojrzął na towarzyszy i rzekł:

- Ten Wahpekute jest bardzo głodny. Mish'wa wak* [przyp.: W języku Czipewejów Mish'wa wak oznacza „czerwony cedr”, a nah'hak „niedźwiedź”], sprawdź, czy nah'hak nie połamał mu kości. Ma krew w ustach.

Trzech Czipewejów natychmiast odłożyło broń, by wydobyć nieprzytomnego spod cielska niedźwiedzia. Wkrótce też poturbowany leżał na swej skórzanej opończy, którą odnaleziono w pobliżu. Teraz Mish'wa wak przystąpił do zbadania Tehawanki.

Mish'wa wak nie był szamanem, lecz posiadał doświadczenie w leczeniu zwykłych obrażeń ciała, powstałych w sposób naturalny* [przyp.: Jak wiele ludów pierwotnych, Indianie wierzyli, że

wszystkie choroby i śmierć spowodowana nimi miały swe źródło w czarach. Sądziło się, że choroba powstawała na skutek wprowadzenia do organizmu człowieka jakiegoś obcego ciała, które usunąć mógł tylko szaman. Natomiast śmiercią naturalną według ich wierzeń była śmierć poniesiona podczas walki. Obok wierzenia w nadnaturalne przyczyny powstawania chorób -

leczone przez szamanów, Indianie uznawali urazy ciała (złamanie ręki, nogi itp.), które mogły być skutecznie leczone przez zwykłych ludzi wyspecjalizowanych w sztuce medycyny.]. W

skupieniu przesunął dłonie po piersiach zemdlonego, silniej naciskał, a nie widząc reakcji na twarzy młodzieńca wkrótce skończył badanie.

- Kości chyba całe - orzekł. - Wprawdzie duch uleciał z jego ciała, ale powróci niebawem.

- Ten Wahpekute zbyt blisko podkraść się do naszych obozów - odezwał się jeden z Czipewejów. - Czy tylko głód zagnał go w te strony?

- Poczekajmy, dopóki nie powrócą nasi zwiadowcy - odparł Ah'mik spoglądając w bór.

Gdy tylko zaczęli osaczać obcego myśliwego wysłał kilku ludzi na zwiady, ponieważ obawiał się zasadzki. Obcy, samotny myśliwy mógł być przednią strażą większego oddziału wrogów.

Mish'wa waki nacierał śniegiem ciało wciąż nieprzytomnego Tehawanki, z którego ust sączyła się krew.

- Co z nim zrobimy? - zapytał. - Chyba nie będzie mógł iść o własnych siłach, krew nie przestaje płynąć.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html>

- To mój jeniec - rzekł Ah'mik. - Młody, dzielny... - Gdyby przystał do nas, mógłbym go uznać za syna.

Czipewejowie jakby nie dosłyszeli słów swego przywódcy. Zachowali pozorną obojętność, bowiem u Indian niedelikatnością było interesowanie się uczuciami rodzinnymi innego człowieka. Wszyscy jednak wiedzieli, że Ah'mik nie mógł zapomnieć straty syna, a zwyczaj przyjmowania obcych do plemienia był szeroko rozpowszechniony wśród Indian. Skoro więc Ah'mik pragnął usynowić jeńca, było to wyłącznie jego sprawą. Nikt się też nie odezwał, tylko ten czy ów obrzucił zemdlonego Wahpekute ukradkowym spojrzeniem, jakby teraz dopiero chciał mu się lepiej przyjrzeć.

Zwiadowcy niebawem powrócili z uspokajającymi meldunkami. Młody jeniec schował się przed blizzardem w wypróchniałym pniu drzewa. Jak wskazywały ślady, był sam.

W niewoli u Czipewejów

Czipewejowie uspokojeni meldunkami zwiadowców postanowili zatrzymać się na odpoczynek.

Upolowany niedźwiedź wymagał odpowiedniego oporządzenia, a wzięty do niewoli Wahpekute jeszcze nie odzyskał przytomności. Należało dać mu dłuższą chwilę wytchnienia i nakarmić, aby mógł iść dalej o własnych siłach.

Natychmiast przystąpiono do budowania szałas. W pobliżu rosły cztery młode drzewka.

Indianie uprzątnęli śnieg leżący pomiędzy nimi, potem nagięli ich wierzchołki ku sobie i związali brzozowym łykiem, tworząc w ten sposób naturalny szkielet. Gałęzie i płaty kory posłużyły im za materiał do pokrycia szałas, w którego sklepieniu pozostawili mały otwór na ujście dymu z ogniska.

Podczas gdy kilku Czipewejów budowało szałas, Mish'wa wak czuwał przy zemdlnym jeńcu.

Ah'mik tymczasem skinął na dwóch towarzyszy. Razem zbliżyli się do zabitego zwierzęcia.

Przez jakiś czas spoglądali na nie z zabobonną czcią, ponieważ według indiańskich wierzeń dobrotliwe dla ludzi duchy wcielały się w niedźwiedzie.

Ah'mik przykucnął tuż przy wielkim kudłatym łbie, po czym cichym głosem zaczął mówić, jakby zwracał się do swego bliskiego krewnego:

- Wybacz matko, mojej matki, że oglądamy cię w tak przykrym stanie. Zakłóciliśmy twój zimowy sen i ścigaliśmy. Surowa zima przepłoszyła zwierzynę z tych okolic, mamy mało pożywienia, jesteśmy głodni. Teraz, dzięki tobie, nasi starcy, kobiety i dzieci będą syci przez ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> wiele wieczorów. Twoje potężne kły i pazury ozdobią młodego Wahpekute. Nie gniewaj się na niego, to odważny chłopiec! Nie miej żalu do nas, bo chociaż wytropiliśmy cię i ścigaliśmy, to jednak nie my zadaliśmy ci śmiertelny cios. W rzeczywistości uczynił to Wahpekute, który należy do wrogiego plemienia.

Obydwaj towarzysze Ah'mika w skupieniu przysłuchiwali się usprawiedliwieniom, potakując skinieniami głowy. Skoro Wahpekute zabił niedźwiedzia, gniew ducha zwierzęcia powinien obrócić się przede wszystkim przeciw niemu. Tym samym również duch niedźwiedzia nie będzie ostrzegał przed nimi na łowach innych zwierząt, zwłaszcza jeśli oddadzą mu należną cześć.

Gdy tylko Ah'mik ukończył przemówienie, ochoczo przystąpili do oporządzania niedźwiedzia.

Przede wszystkim odcięli mu łeb i złożyli go przed wejściem do szałas na miękkim posłaniu z gałęzi sosnowych. Zaraz też przyozdobili go sznurami paciorków, które wyrabiali z muszli oraz szklanymi, kolorowymi kupowanymi od białych ludzi. Tuż przed nosem niedźwiedzia położyli sporą garstkę tytoniu. Pewni, że takie okazanie czci prześlaga ducha zwierzęcia, zabrali się do ściągania skóry pokrytej gęstym futrem. Potem przystąpili do dzielenia mięsiwa. Stanowiło ono nie lada łup myśliwski, w kilku miejscach grubość sadła przekraczała szerokość dłoni.

Niedźwiedzie należały do tych nielicznych zwierząt, które w okresie zimowego snu nie chudły, a futro ich właśnie wtedy było najpiękniejsze.

Wkrótce skóra została oczyszczona kamiennymi skrobaczkami i natarta sadłem, aby nie stwardniała.

Oczywiście dokładne wyprawienie pozostawiono kobietom, które miały tego dokonać po powrocie myśliwych do obozu. Mięso podzielono na płaty dogodne do niesienia.

Niejadalne wnętrzności zostały złożone na specjalnym rusztowaniu, zbudowanym w koronie wysokiego drzewa, gdyż w myśl wierzeń, niedźwiedź zostałby znieważony, gdyby inne dzikie zwierzęta pożarły część jego ciała.

Tehawanke tymczasem wygodnie ułożono w szałasie na posłaniu z gałązek, nakrytych miękką wyprawioną skórą jelenia. Mish'wa wak właśnie zabierał się do rozpalania ogniska, gdy jeniec zaczął odzyskiwać świadomość. Najpierw grymas bólu ukazał się na jego twarzy, potem wolno uchylił powieki. Otaczał go półmrok. Nie zdawał sobie sprawy, na jak długo stracił przytomność.

Pamiętał tylko, że chciał nożem ugodzić Czipewęja, który pochylał się nad nim. Ostrożnie odwrócił głowę. Ujrzał męczyznę rozpalającego ognisko.

Uzmysłowił sobie, że został wzięty do niewoli. Nawykły od dziecka do niebezpieczeństw, przymknął powieki i dalej leżał nieruchomo. Chciał zyskać na czasie. Skoro żył, mógł mieć nadzieję, że nadarzy się okazja do ucieczki. Z pewną ulgą stwierdził, że nogi i ręce miał nie skrupowane. Spod w półprzymkniętych powiek zaczął rozglądać się wokoło. Oprócz Czipewęja, odwróconego bokiem, pochylonego nad wiązką gałązek, w szałasie nie było nikogo więcej.

Tehawanka ujrzał po raz pierwszy ogień rozpalany za pomocą krzesiwa. Wahpekute dowodzeni przez Czerwonego Psa dotąd jeszcze nie zetknęli się z białymi ludźmi, wiele jednak słyszeli od pobratymców o przedziwnych, a nawet czarodziejskich przedmiotach, jakie oni posiadali. To od nich przecież nabywali wrodzy Czipewęjowie straszliwe, grzmiące kije, połyskliwe noże, które były bardzo ostre i nigdy się nie łamały. Zapewne więc i dziwny sposób rozniecania ognia przejęli od białych.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Jeszcze większe zdumienie ogarnęło go, gdy zobaczył w rękach Mish'wa waka miedziany kociołek. Docenił też wkrótce praktyczność tego naczynia, zwłaszcza podczas wypraw łowieckich i wojennych. Sposób gotowania strawy stosowany przez Wahpekute zabierał wiele czasu. Tymczasem Czipewęj po prostu zawiesił kociołek nad ogniskiem, napełnił go czystym śniegiem, który wkrótce przemienił się w wodę. Następnie włożył do kociołka kawał mięsa i wsypał garść dzikiego ryżu. Potem strawa gotowała się już sama.

Obserwacje czynione przez Tehawanke zostały przerwane wejściem drugiego Czipewęja.

Tehawanka od razu rozpoznał w nim tego, który użyczył mu noża podczas zmagania z niedźwiedziem.

- Czy wciąż jeszcze nieprzytomny? - półgłosem zapytał Ah'mik.

Mish'wa wak podniósł się od ogniska i podszedł do posłania. Pochylił się nad jeńcem. W milczeniu przyglądał mu się przenikliwym wzrokiem.

Tehawanka leżał nieruchomy z przymkniętymi oczami. Teraz już z wielkim trudem udawał

bezwład. Nęcący zapach gotującej się stawy coraz silniej drażnił powonienie. Było to niemal torturą dla padającego z głodu Tehawanki. Przemózny skurcz wprawiał w drżenie mięśnie twarzy, dławił gardło. Mish'wa wak musiał coś dostrzec, gdyż Tehawanka poczuł jego żylaste dłonie na swojej twarzy. Po chwili odezwał się:

- Duch już powrócił do jego ciała.

- A więc teraz tylko udaje nieprzytomnego? - rzekł Ah'mik.

Mish'wa wak skinął głową.

- Nie odchódź stąd i pilnuj go! - ostrzegł Ah'mik. Nasi wkrótce odejdą do osady. Zabiorą mięso i skórę. Wszyscy spragnieni są świeżego pokarmu. Z jeńcem pozostaniemy tylko my dwaj. W

takim stanie nie mógłby iść o własnych siłach.

- Ah'mik słusznie uczynił polecając odnieść mięso do osady. Dojdą tam jeszcze przed zachodem słońca - odparł Mish'wa wak. - Jeniec musi odpocząć i nabrać sił, jeżeli chcesz mieć go żywego.

- Daj mu jeść. Tylko nie za dużo od razu!

- Nie obawiaj się, wiem o tym.

- Idę wyprawić naszych. Miej dobrze otwarte oczy!

Ah'mik opuścił szałas. Niektórzy Czipewejowie posilali się przypiekanyimi nad ogniem kawałkami mięsiwa, inni przygotowywali zapasy do transportu. Nim słońce stanęło w zenicie, opuścili obóz, zabierając myśliwski łup. Ponieśli także głowę zwierzęcia zatkniętą na długiej tyczce.

Ah'mik zasypał śniegiem dogasające ognisko. Spoglądał za odchodzącymi, dopóki ostatni z ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> nich nie zniknął w głębi puszczy. Potem jeszcze długo stał i zamyślony nasłuchiwał.

Nie były to czasy zbyt spokojne dla Czipewejów, którzy podczas migracji ze wschodu na zachód musieli toczyć uciążliwe walki z plemionami osiadłymi na krańcach Wielkich Jezior.

Dakotowie nie byli ich jedynymi przeciwnikami. Północną część Wisconsinu zamieszkiwało także plemię Lisów i Sauków* [przyp.: Lisy i Saukowie (ang. Foxes and Sauk, ci ostatni często byli zwani „Sacs”) niegdyś stanowili oddzielne plemiona o podobnych zwyczajach i językach, należących do algonkińskiej rodziny językowej. Spokrewnieni z nimi byli Indianie Kickapoo i Miami. Potem Lisy i Saukowie zjednoczyli się, tworząc duże, silne, wojownicze plemię.

Pierwotnie Lisy i Saukowie zamieszkiwali większą część lasów północnego Wisconsinu, skąd zostali wyparci przez Czipewejów i wtedy osiedli na terenach leżących pomiędzy południowymi

brzegami Jeziora Górnego, zachodnimi brzegami Jeziora Michigan i wschodnim brzegiem rzeki Missisipi. Była to kraina lasów i prerii porosłej wysoką trawą. Tam też zastali ich pierwsi misjonarze francuscy. Lisy i Saukowie mieszkali w lecie w półstałych osadach o podłużnych, kopulastych wigwamach, które przeważnie budowali w pobliżu rzek, natomiast zimą polowali na prerii na bizony. Byli oni budowniczymi doskonałych, lekkich kanu (szkielet z drewna jodły pokryty korą brzoźową) oraz łodzi - dłubanek z pni specjalnie lekkich drzew. Kobiety uprawiały kukurydzę, fasolę i dynie, mężczyźni zaś byli doskonałymi jeźdźcami i hodowcami koni. Plemię Lisów i Sauków, często wspierane przez Dakotów, prowadziło ustawiczną wojnę z Czipewejami.

Część Sauków podpisała traktat z rządem USA, mocą którego odstępowała swe tereny w Illinois i w Wisconsinie. Jednak inni Saukowie nie uznali traktatu i w 1833 r. rozpoczęli działania wojenne, znane jako „Wojna Czarnego Sokoła” (Black Hawk War). Saukami dowodził Muk - a -

tah - mish - o - kah - kah, czyli Czarny Sokół. W wyniku przegranej wojny Saukowie musieli opuścić tereny na wschód od Missisipi i dołączyli się do Lisów już osiadłych w obecnym stanie Iowa.], które choć nie odnosiło większych sukcesów, stawiało Czipewejom zacięty opór.

Lisy i Saukowie czasem korzystali ze zbrojnej pomocy Dakotów. Toteż obecnie Ah'mik zastanawiał się, czego naprawdę szukał w paszczy młodego jeniec? Czy tylko głód zagnał go w pobliże wrogów? Niezwykle surowa zima przerzedziła zwierzynę, wszyscy Indianie cierpieli niedostatek. Mógł jednak również istnieć inny powód. A może jednak jeniec był zwiadowcą?

- Zwiadowca na wojennej ścieżce nie byłby tak wychudzony i osłabiony - szepnął Ah'mik. -

Zapewne polował lub też może poszukiwał cudownych snów i wizji?

Rozchmurzył czoło. Samotna wędrówka, ścisły post, żarliwe modły i odosobnienie w pniu drzewa mogły spowodować stan, w jakim znajdował się jeniec.

- Może właśnie przywoływał swego Ducha Opiekuńczego...? - znów szepnął Ah'mik.

Myśl ta usposobiła go życzliwiej do młodego Wahpekute. Człowiek poszukujący wizji sam stawał się jakąś częścią potężnych sił magicznych, do których zwracał się o pomoc. Tym samym budził u Indian szacunek, a nawet zabobonny lęk, jaki odczuwali wobec wszystkiego, co było im nie znane i tajemnicze.

Ah'mik wszedł do szałas. Jeniec spał. Piers jego unosiła się w nierównym, ciężkim oddechu.

Ah'mik przykucnął przy ognisku obok swego towarzysza i zagadnął: ABC Amber LIT Converter
<http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter
<http://www.processtext.com/abclit.html>

- Czy ten Wahpekute śpi teraz naprawdę?

- Zaledwie trochę go nakarmiłem, zasnął natychmiast - odparł Mish'wa wak. - Jest bardzo wyczerpany.

- Przyszło mi na myśl, czy on nie próbował przywoływać Ducha Opiekuńczego podczas samotnej wędrówki po puszczy?

- Kto wie? Mogłoby tak być - potwierdził Mish'wa wak.

- Czy mówił coś, gdy go karmiłeś?

- Nie, nawet nie spojrzał na mnie.

Ah'mik uśmiechnął się i obrzucił jeńca ciekawym spojrzeniem. Cenił mężczyzn, którzy okazywali odwagę i dumę.

- Czuwaj pierwszy - rzekł, po czym położył się na przygotowanym w szałasie pośłaniu. Był zmęczony, zaledwie przymknął oczy, zaraz zasnął. Nie był to jednak sen przynoszący odpoczynek po dziennych trudach. Ah'mik przeżywał teraz we śnie napad Lisów na swój obóz.

Tak jak przed kilkoma księżycami zdarzyło się to w rzeczywistości, tak obecnie w marzeniu sennym rozbrzmiał o świcie donośny okrzyk wojenny Lisów, którzy nieoczekiwanie wtargnęli między wigwamy Czipewejów. Wyrwany ze snu Ah'mik chciał powstać z pośłania, by chwycić za broń, lecz nie mógł zrzucić z siebie okrywających go skór jelenich. Wrogowie tymczasem wpadli do wigwamu. Jeden z nich chwycił jego jedyną córkę, Mem'en gwa* [przyp.: Mem'en gwa - motyl w języku Czipewejów.], za długie, czarne włosy i wywlókł z chaty.

Ah'mik słyszał wołanie o pomoc, ale był bezsilny. Miękkie skóry krępowały go niby powrozy.

Okrzyki i wrzawa bitewna ucichły niebawem. Ah'mik nie wiedział, czy wróg pokonał jego bliskich, czy też został przez nich odparty. Naraz Mem'en gwa weszła do wigwamu. W ręku trzymała orle pióro. Ah'mik jeszcze raz zebrał wszystkie siły. Teraz udało mu się pokonać bezwład.

Potrząśnięcie za ramię przebudziło Ah'mika. Otworzył oczy. Jednocześnie siadł na pośłaniu.

Omal nie przewrócił pochylonego nad nim Mish'wa waka. Wyciągnął dłoń po stalowy topór, ponieważ w jego uszach jeszcze rozbrzmiewała bitewna wrzawa.

- Duch mego brata widział zapewne straszne rzeczy, bowiem mój brat był bardzo niespokojny - odezwał się Mish'wa wak.

Ah'mik z trudem starał się zapanować nad własnym wzburzeniem. Dopiero po dłuższej chwili rzekł:

- Plemię Lisów napadło na naszą osadę. Porwali Mem'en gwa.

Mish'wa wak poszarzał na twarzy. Od dawna pragnął pojąć Mem'en gwa za żonę. Skoro jej ojciec oczami ducha widział napad i porwanie, nie wolno było lekceważyć tak wyraźnego ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ostrzeżenia.

- Więc uprowadzili twoją córkę! - zawołał oszołomiony złą wieścią.
 - Tak, ale ona powróciła - odparł Ah'mik.
 - Sama uciekła, czy też ktoś ją odbił? - porywczo zapytał Mish'wa wak.
 - Nie wiem tego, zbyt szybko przywołałeś mego ducha do ciała.
 - Źle uczyniłem, źle... - z żalem przyznał Mish'wa wak. Przez chwilę łudził się nadzieją, że to właśnie on ocalił Mem'en gwa. Gdyby Ah'mik ujrzał to oczami ducha, na pewno by tak się stało.
 - Przeklęte plemię Lisów... - gniewnie wtrącił Ah'mik. - Znów zamierzają napaść na nas!
 - Skoro duchy ostrzegają mego brata, z całą pewnością tak być musi! - przywodził Mish'wa wak. - Czy mój brat jest pewny, że to było plemię Lisów?
- Ah'mik poważnie skinął głową.
- Ten, który porwał Mem'en gwa miał wygolony łeb, a na nim pośrodku czerwony pióropusz z zatkniętym orlim piórem.
 - To Lisy, na pewno Lisy! Oni tak golą i zdobią swe głowy. Czy Mem'en gwa trzymała w ręku jego orle pióro?
 - Nie wiem, ale chyba tak!
 - To nieomylny znak! Zwycięzimy, jeśli ich uprzedzimy!
 - Mój brat dobrze mówi! Musimy urządzić wyprawę na Lisów i Sauków. Wtedy udaremnimy ich zamiary.
 - Skoro duchy objawiły memu bratu swoją wolę, nie możemy się im sprzeciwić. Gdy Ah'mik ogłosi, że chce uderzyć na Lisów i Sauków, wielu wojowników się dołączy. Ja również wezmę udział w tej wyprawie.
 - Zaraz po powrocie do obozu zapytam czarownika, czy dobrze zrozumieliśmy wolę duchów.
 - Jestem pewny, że potwierdzi.
 - Lisom i Saukom należy się ostra nauczka. O wschodzie słońca ruszamy w drogę. Jak czuje się nasz jeniec?

Mish'wa wak zafrasował się usłyszawszy pytanie. Dopiero po dłuższej chwili odparł: ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html>

- Duch co pewien czas znów ulatuje z jego ciała do Krainy Wiecznych Łowów. Nie mogłem go

nawet karmić. Jest nieprzytomny. Może niedźwiedź mści się na nim?

- Więc nie będzie mógł iść o własnych siłach?

- Jest nieprzytomny. Opóźni naszą wyprawę na Lisów i Sauków. Tymczasem my powinniśmy bez zwłoki wykonać wolę duchów. Najlepiej chyba uczynisz zabijając jeńca.

- Zastanowię się, jak mam postąpić z tym Wahpekute - odparł Ah'mik. - Niech Mish'wa wak teraz trochę wypocznie, będę czuwał.

Usiadł przy ognisku tłącym się pośrodku szałas. Mish'wa wak zaś legł na posłaniu.

Ah'mik siedział zamyślony. Wciąż jeszcze pozostawał pod wrażeniem sennych widziadeł, które, jak wszyscy Indianie, uważał za rzeczywistość. Według ich wierzeń, gdy człowiek zasypiał, dusza jego opuszczała odpoczywające ciało i dalej prowadziła normalne życie w świecie duchów.

Wtedy właśnie duchy wskazywały człowiekowi drogę dalszego postępowania, ostrzegały przed niebezpieczeństwami, ujawniały wolę tajemnych mocy, która stanowiła nienaruszalne prawo dla wszystkich żyjących istot.

Ah'mik zawsze podporządkowywał się wskazaniom nieziemskich mocy. Teraz więc także postanowił wyruszyć przeciwko Lisom i Saukom. Już nawet układał w myślach plan wojennej wyprawy. Cóż jednak miał zrobić z jeńcem? Mimo woli spojrział w kąt szałas, gdzie spoczywał młody Wahpekute. Na jego ustach czerwieniła się krew.

„Kości całe, a mimo to wciąż jeszcze krwawi - pomyślał. - Uderzenie niedźwiedzia musiało być znacznie groźniejsze, niż przypuszcza Mish'wa wak”.

Zbliżył się do posłania jeńca. Pochylił się nad nim i ujął rękojeść noża, lecz zaraz cofnął dłoń.

Ocalił jeńcowi życie, nie mógł więc teraz go zabić.

Dotknął czoła młodzieńca. Było bardzo gorące.

Ah'mik wysunął się z szałas. Srebrzysta poświata księżycowa rozjaśniała puszcę. Nawet nocne ptaki nie przerywały głuchoj ciszy. Ah'mik podniósł garść czystego śniegu i powrócił do szałas. Przysiadł przy rozgorączkowanym jeńcu. Najpierw obmył śniegiem zakrwawione wargi, potem lodowate grudki wsuwał mu do ust.

Wyraz ulgi ukazał się na twarzy Wahpekute. Westchnął głęboko, jakby wynurzył się z głębiny.

Otworzył oczy. Zamglonym wzrokiem spojrział na pochylonego nad nim mężczyznę. Przymrużył oczy i po chwili już przytomnym wzrokiem patrzył na niego.

Ah'mik widząc skuteczność swych zabiegów przyłożył zimną dłoń do rozgorączkowanego czoła

jeńca. Ten poruszył wargami, jakby chciał coś powiedzieć. Ah'mik jeszcze bardziej pochylił się nad nim i wtedy usłyszał nikły szept: ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html>
ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html>

- Dobij mnie, Czipewaju, jak radził twój towarzysz...

- A więc słyszałeś? - zdumiał się Ah'mik. - Rozumiesz naszą mowę?

- Trochę rozumiem.

- Skoro słyszałeś i rozumiałeś, oznacza to, że będziesz żył. Nie myśl teraz o śmierci.

Ah'mik nie tracąc czasu obudził Mish'wa waka.

- Wstawaj! - rzekł. - Dusza znów wróciła do ciała Wahpekute. Daj mu jeść, a ja zetnę kije na nosze. Niezadługo świt.

Mem'en gwa

Tehawanka nie zdawał sobie sprawy, ile czasu upłynęło już od wzięcia go do niewoli. Wciąż jeszcze tracił przytomność, dusza ulatywała z jego rozgorączkowanego ciała. Przywidzenia mieszały się z rzeczywistością. Zdawało mu się, że Czipewejowie niosą go przez bór, to znów spoczywał na łożu w mrocznym wigwamie* [przyp.: Spopularyzowana na świecie algonkińska nazwa chaty „wigwam” jest często niewłaściwie rozumiana i używana, ponieważ błędnie nazywa się „wigwamem” ów charakterystyczny namiot indiański, używany powszechnie w pierwszym rzędzie przez Indian żyjących na prerii. Tymczasem namiot ten, zwany w języku Dakotów „tipi” (tepee), co również oznacza „chata”, zasadniczo różni się konstrukcją od wigwamu.], jak w języku algonkińskim nazywano chatę. Dobiegały go strzępy rozmów w obcej mowie, słyszał nie wróżącą nic dobrego wojenną pieśń Czipewejów.

Kilkakrotnie pojawiał się jego Duch Opiekuńczy. Wśród trzepotu potężnych skrzydeł złocisty orzeł rozwiewał ściany wigwamu i zabierał go na długie wędrówki. Wtedy słabość opuszczała Tehawankę, stawał się lekki jak jesienny, suchy liść. Bez trudu wzbijał się w przestworza.

Podczas tych wędrówek nieraz szybowali daleko na zachód, gdzie leżały bezkresne, faliste prerie, jałowe, kamienne pustynie i niebotyczne góry. Nie znane Tehawance krainy wyglądały tak właśnie, jak to słyszał z opowieści Czerwonego Psa, który już dwukrotnie zapuszczał się daleko na zachód podczas migracji wielu grup Dakotów. Wracał jednak z tych wypraw do rodzinnej osady i opowiadał niezwykle historie o Indianach, którzy osiedli na wielkich, falistych równinach.

Młody Tehawanka z zapartym tchem chłonał opowieści o nowym życiu części Dakotów.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Oczyma wyobraźni widział ich mknących po prerii na niezwykłych sunka wakan, czyli tajemniczych psach* [przyp.: Sunka wakan - w języku Dakotów „tajemniczy pies”. Konie, nie znane Indianom w czasach przedkolumbijskich, przypominały im psy, których używali do przenoszenia bagaży. Potem w ten sam sposób j uczyli konie.], które umożliwiały

szybkie przenoszenie się z miejsca na miejsce. Teraz w gorączkowych majaczeniach sam dosiadał wspaniałego sunka wakan i gnał na zachód, uciekając od wrogich Czipewejów oraz legendarnego, zabornego białego człowieka, którego dotąd jeszcze nie widział.

Raz podczas takiej wędrówki z Duchem Opiekuńczym przybyli do rodzinnej osady Tehawanki.

Na pagórku w pobliżu osady stała jego siostra, Poranna Rosa, osłaniając oczy dłonią przed blaskiem słonecznym spoglądała ku północy. Zapewne wypatrywała, czy brat przypadkiem nie powraca z łowów. Zawsze czekała tam na niego. Tehawankę ogarnęło wzruszenie, chciał dać znak, że jest w pobliżu, ale obowiązujący dla siostry szacunek uniemożliwiał bezpośrednią z nią rozmowę. Gdy byli dziećmi bawili się razem, żartowali, przebywali ze sobą, lecz po osiągnięciu dojrzałości zobowiązani byli nawzajem siebie unikać. W tak jednak wyjątkowej sytuacji Tehawanka chciał choćby jednym słowem pocieszyć zatroskaną siostrę.

- Jestem przy tobie! - zawołał Dorywczo, jednocześnie pochylając się ku dziewczynie.

Poranna Rosa nawet nie drgnęła. Tehawanka pojął, że nie mogła usłyszeć słów wymawianych przez ducha. Zrozpaczony wyciągnął dłoń, dotknął ramienia siostry. Teraz odwróciła się do niego. Spojrzał w jej twarz.

Tehawanka zdumiał się, to nie była jego siostra! Miała takie same czarne oczy, tak samo z troską spoglądała na niego, ale mimo to nie była Poranną Rosą. Teraz dopiero spostrzegł, że zaciska swą dłoń na jej ramieniu. Zawiedziony i onieśmielony natychmiast cofnął rękę.

Wracała mu przytomność. Przypomniawszy sobie niefortunne łowy, wzięcie do niewoli przez Czipewejów. Nieśli go przez puszcę, więc zapewne znajdował się teraz w ich wigwamie. Był

zbyt osłabiony, aby mógł całkowicie panować nad swymi uczuciami, toteż pochylając się nad nim dziewczyna dostrzegła cień zawodu, jaki odmalował się na jego twarzy. Położyła chłodną dłoń na jego czole i odezwała się cichym, miłym głosem:

- Nareszcie oprzytomniałeś! Myślałam, że twój duch nigdy już nie powróci do ciała! Ojciec powiedział, że rozumiesz naszą mowę. Czy to prawda?

Tehawanka chciał odpowiedzieć, lecz jeszcze nie mógł wydobyć głosu z siebie. Tylko nikły uśmiech pojawił się na jego ustach. Uradował on dziewczynę. Po chwili już siedziała przy nim z małym naczyniem na kolanach, z którego zaczęła karmić go kleistą potrawą łyżką z rogu jelenia.

Zmartwiałe usta Tehawanki zaledwie trochę się rozchyłały. Dziewczyna karmiła go delikatnie, jak niemowlę, mówiąc:

- Musisz jeść! Inaczej nie zdołasz utrzymać ducha w swoim ciele. Myślałam, że umrzesz, przynieśli cię nieprzytomnego.

- Kim jesteś? - wyszeptał Tehawanka, gdy skończyła go karmić.

- Ah'mik, który cię... znalazł w puszczy, jest moim ojcem. Zwą mnie Mem'en gwa.

- Ładne masz imię - powiedział Tehawanka, a potem, uzupełniając gestami mowy znaków*

[przyp.: Ludy indiańskie obydwóch Ameryk posługiwały się licznymi, tak bardzo zróżnicowanymi językami i dialektami, że często nawet plemiona sąsiadujące nie mogły się porozumiewać. Toteż Indianie wymyślili mowę znaków, czyli język gestów, złożony z całego systemu ruchów głównie palców i rąk. Język mimiczny szczególnie rozwinął się wśród wędrownych plemion prerii północnoamerykańskiej. Był on tak obrazowy i prosty, że gesty używane do wyrażania różnych myśli były rozumiane nie tylko przez wszystkich Indian na rozległych równinach, lecz także przez pierwszych białych eksploratorów. Indianie za pomocą mowy znaków mogli prowadzić ożywioną wymianę myśli na wszystkie interesujące ich tematy i tym samym mimiczna mowa odegrała ważną rolę we wzajemnym przenikaniu się różnych kultur indiańskich. Mimiczna mowa Indian prerii stanowi najdoskonalszy język gestów na Ziemi. Poza Ameryką Północną, mowy znaków były szeroko używane wśród Indian południowoamerykańskich, wśród krajowców australijskich, a także wśród łowieckich ludów w innych częściach świata, zamieszkujących wielkie przestrzenie. Bezgłośnie porozumiewanie się podczas polowań oraz porozumiewanie się na odległość za pomocą znaków widzialnych (ogniowych, dymnych itp.) miało dla tych ludów ogromne znaczenie. Indiańskiej mowy znaków nie należy identyfikować z mimiczną mową głuchoniemych, bowiem między tymi dwoma systemami istnieje tylko pewne podobieństwo.] jeszcze niezbyt dobrze mu znane narzecze algonkińskie, jakim posługiwali się Czipewejowie, zapytał: - Czy dawno już jestem tutaj?

Mem'en gwa pochylila się ku Tehawance i rozmawiając z nim w narzeczu algonkińskim również powtarzała swe słowa gestami mowy znaków.

- Dusza twoja przez trzy noce przebywała wśród cieniów zmarłych - mówiła. - Zabiłeś niedźwiedzia. To zapewne jego duch mści się na tobie.

- Przez cały czas jesteś przy mnie? - zapytał młodzieniec.

- Czuwałyśmy z matką. Twoja dusza musiała widzieć niezwykle rzeczy w Krainie Duchów.

Ciało twoje było bardzo niespokojne. Matka poszła teraz prosić naszego szamana, żeby ci pomógł. To potężny czarownik, potrafi usunąć chorobę z twego ciała.

- Dlaczego ty i twoja matka chcecie mi pomóc?

Mem'en gwa pochylila głowę. Milczała przez dłuższą chwilę.

Potem powiedziała:

- Ah'mik tak rozkazał przed wyruszeniem na wojenną wyprawę.

Tehawanka przysłonił oczy powiekami, aby ukryć przerażenie. Jeżeli Czipewejowie wykopali topór

wojenny w okresie zimy, kiedy na śniegu pozostawały trudne do ukrycia ślady, to uczynili tak zapewne w bardzo nagłych okolicznościach. Prawdopodobnie uważali go za zwiadowcę Wahpekute, którzy, w ich mniemaniu, zamierzali dokonać napadu nieoczekiwanego o tej porze roku. Jeśli tak myśleli, to mogli wyruszyć jedynie przeciwko Wahpekute, aby uprzedzić ich atak.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> A więc śmierć groziła Czerwonemu Psu, Porannej Rosie i innym, ponieważ w osadzie nie było ludzi zdolnych do obrony. Powinien natychmiast ich uprzedzić, ratować! Zebrał się w sobie, uniósł na łokciu i porywczo zapytał:

- Powiedz, przeciwko komu wyruszył Ah'mik?!

- Duchy Opiekuńcze ujawniły mu podstępne plany Lisów i Sauków. Chciał więc uprzedzić napad wrogów. Ah'mik nienawidzi Lisów. Jego starszy brat zginął w walce z nimi i został przez nich oskalpowany.

- Kiedy to się stało?! - zawołał Tehawanka.

- Dawno, dawno temu, zanim jeszcze przyszłam na świat, ale Ah'mik nie może im tego zapomnieć i korzysta z każdej okazji do zemsty - wyjaśniła Mem'en gwa.

Tehawanka ciężko opadł na posłanie. Niebezpieczeństwo nie zagrażało jego najbliższymi.

Dziewczyna przez jakiś czas siedziała z nisko opuszczoną głową, a potem cicho dodała:

- Moja matka była jedyną, ukochaną żoną brata Ah'mika. Zgodnie ze zwyczajem Ah'mik pojął moją matkę za swą drugą żonę. Zamieszkujemy z matką w oddzielnym wigwamie.

Tehawanka zaskoczony i zaintrygowany tak osobistymi zwierzeniami Czipewejki, spojrział na nią uważniej. Była bardzo młoda, prawie tak, jak jego siostra. Porównanie to sprawiło, że uśmiechnął się do niej.

- Miła jesteś i dobra, Mem'en gwa - szepnął onieśmielony.

Wyznanie Mem'en gwa, iż matka jej była drugą żoną Ah'mika, nie zdziwiło Tehawanki, lecz zrozumiał również zakłopotanie dziewczyny. Mimo uznawania zwyczaju wielożeństwa wśród wielu plemion indiańskich, większość małżeństw zachowywała jednożeństwo, ponieważ kobieta odczuwała pewne poniżenie, gdy była jedną z wielu żon jednego mężczyzny.

Zwyczaj wielożeństwa wśród Indian posiadał społeczne oraz gospodarcze uzasadnienie.

Mężczyźni ginęli w młodym wieku na bezustannych wyprawach wojennych, stąd też było ich zawsze mniej niż kobiet, którymi ktoś musiał się opiekować. Ponadto związki małżeńskie stanowiły u Indian przede wszystkim główną więź łączącą rodziny i cel ten odgrywał większą rolę przy zawieraniu małżeństw, niż sam małżeński związek dwojga ludzi. Dla utrzymania więzi rodzinnej wdowiec zazwyczaj poślubiał siostrę swej zmarłej żony, a wdowa wychodziła za mąż za brata zmarłego męża.

Czasem także zameżny mężczyzna dobierał sobie drugą, młodszą żonę, gdy pierwsza się postarzała i nie mogła sama podolać wszystkim pracom obciążającym kobietę.

Mem'en gwa siedziała zakłopotana, a Tehawanka szukał słów, jakimi mógłby wprawić ją w lepszy nastrój. Zanim jednak zdecydował się na cokolwiek, światło dzienne rozjaśniło półmrok wigwamu. Mata osłaniająca otwór wejściowy została odchylona. Pierwszy wszedł starszy mężczyzna, a za nim kobieta opatulona w niebieską derkę. Mem'en gwa na ich widok natychmiast powstała i nisko pokłoniła się starcowi. Pozdrowił ją uniesieniem dłoni.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Mem'en gwa rozłożyła puszystą skórę przy posłaniu chorego, po czym dorzuciła suchych drewno do ogniska tłącego się pośrodku wigwamu. Mężczyzna tymczasem zdjął z ramion bobrową opończę, postawił na ziemi skórzaną torbę pomalowaną w czarodziejskie znaki, a następnie siadł

przy posłaniu jeńca. Obydwie kobiety z szacunkiem zbliżyły się do starca i tuż obok niego położyły barwną derkę kupioną od białych ludzi, sznur szklanych koralików, blaszany kubek i stalowy nóż. Mężczyzna nawet nie spojrzał na cenne dary. Ruchem ręki oddalił kobiety i nie odzywając się do nikogo, siedział zamyślony.

Tehawanka mógł teraz dokładniej mu się przyjrzeć. Na głowie nosił wielką futrzaną czapę z zachowanej w całości skóry zwierzęcia, symbolizującego przebiegłość, chytrych i zdradliwość.

Właśnie na wysokości jego czoła czernił się oczodołami lisi łeb o sterczących uszach i długim pysku pozbawionym dolnej szczęki, z boków głowy zwisały łapy uzbrojone w ostre pazury, a na plecach puszyła się długa kita, w której nasadzie sterczało kilka piór indyka. Miękka koszula z jeleniej skóry naszywana była kolorowymi, szklanymi paciorkami, ułożonymi w tajemnicze znaki i rysunki, szyję zaś okalał długi naszyjnik z kłów, pazurów i kawałków kości. Sztylpy okrywające nogi i uda, przepaska biodrowa oraz mokasyny z łosiej skóry o przypalanych szwach dopełniały całości stroju. Dolną część twarzy mężczyzny, od spodu brody aż do nosa, pokrywały cienkie, wijące się kolorowe pasy, co było oznaką nadprzyrodzonej mocy człowieka.

Tehawanka w milczeniu obserwował przybysza. Pewny był, iż ma przed sobą szamana zapowiedzianego przez dziewczynę.

Szaman wydobyl spod koszuli zawieszony na rzemieniu na szyi, podłużny, zdobiony rysunkami woreczek, kryjący święte talizmany. Z wielką czcią przykładal go do czoła, oczu, ust i serca, po czym pochylił się ku choremu jeńcowi. Spojrzal mu prosto w oczy.

Potężne musiały to być talizmany, bowiem wzrok szamana stawał się coraz bardziej przenikliwy, zdawał się docierać do głębi duszy Tehawanki. Pod jego wpływem młodzieniec zaczął odczuwać niepokój, a nawet lęk. Dobrze znał potęgę szamanów, gdyż sam był wnukiem jednego z nich* [przyp.: Według indiańskich wierzeń szamani obdarzeni byli nadnaturalną mocą.

U wielu ludów trudnili się leczeniem chorych, lecz przeważnie działalność ich miała znacznie szerszy zasięg. Wierzono, że potrafili nawiązywać bezpośredni kontakt ze światem duchów, wzywać

ich pomocy, a często, że duchy w nich samych zamieszkiwały. Szamani mogli zapewnić pomyślne zbiory rolne, powodzenie na polowaniu i wojnie, mogli spowodować krzywdę, a nawet śmierć wroga czy rywala. Szamani mogli prosić bóstwa o łaski i dobrodziejstwa dla poszczególnych jednostek lub grup ludzi. Pełnili różne role wśród różnych ludów, a więc byli jasnowidzami, czyli przepowiadaczami przyszłości, sztukmistrzami, hipnotyzerami, jak i kapłanami strzegącymi świętych rytuałów i zwyczajów, a niektórzy z nich nawet osiągnęli wielką władzę polityczną i zyskiwali szacunek tak u Indian, jak i białych. Według wierzeń Wahpekute Dakotów szamani przed przyjściem na świat przebywali w Krainie Grzmotów i już wtedy znali koleje życia, które ich czekało po urodzeniu się w świecie zwykłych ludzi. Działalność szamańską rozpoczynali dopiero w wieku dojrzałym, na specjalny znak Świętego Grzmotu i pod karą śmierci nie mogli się od niej uchylać.]. Czy obdarzony nadnaturalną mocą szaman wrogiego plemienia naprawdę zechce mu pomóc? A może przemieni go w ropuchę lub jaszczurkę?! Przecież nawet nie spojrzął na cenne podarunki ofiarowane przez Czipewejki! A może jednak nie zdecyduje się na utratę tak wartościowych darów, które musiałby ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> zwrócić ofiarodawcom, gdyby jego zaklęcia szamańskie i leki nie przyniosły ulgi choremu?

Szaman tymczasem jeszcze bardziej pochylił się nad jeńcem. Wokół posłania ułożonego pod ścianą wigwamu panował półmrok. Szaman, nie oglądając się za siebie, wyciągnął lewą rękę w kierunku ogniska, a potem powoli zaczął przesuwając ją ku twarzy Tehawanki. Migotliwy blask płynął za dłonią szamana, potężniał z każdą chwilą, aż w końcu żółtawoczerwony płomień spoczął na głowie chorego. Na krótką chwilę szaman zatopił swój przenikliwy wzrok w jego źrenicach, po czym wolno odprowadził dłonią blask; z powrotem do ogniska i opuścił rękę.

Tehawanka zamarł w bezruchu. Obydwie niewiasty skuliły się w kącie wigwamu. Zapanowała grobowa cisza.

Szaman siedział głęboko zamyślony. Wreszcie odwrócił głowę ku choremu i zapytał w języku algonkińskim, pomagając sobie jednocześnie gestami mowy znaków:

- Czy mój brat odczuwa ból?

Tehawanka potwierdził skinieniem głowy.

- W którym miejscu? - ponownie zapytał szaman.

Tehawanka przesunął dłoń po klatce piersiowej.

- Od jak dawna mój brat odczuwa ten ból?

- Podczas polowania niedźwiedź uderzył mnie łapą i rzucił o drzewo. Upadłem, mrok przysłonił oczy, dusza omal nie uleciała z mego ciała, krew popłynęła ustami.

- Czy przed uderzeniem przez niedźwiedzia bolało mego brata kiedyś w tym miejscu?

- Nie, nigdy nie chorowałem.

Szaman pochylił się nad chorym. Jego dłonie zaczęły teraz przesuwać się po całym ciele Tehawanki, naciskały delikatnie, to znów silnie, potem poruszały rękoma leżącego, nogami, aż szaman wreszcie usiadł spokojnie i zapytał:

- Czy mój brat sam wyruszył na polowanie?

Tehawanka skinął głową.

- Może po drodze spotkałeś kogo, mówiłeś z kim? Może zauważyłeś jakiś znak?

- Wytropiłem szopa, ale umknął mi.

- Czy próbowałeś go zabić?

- Nie, nawet nie zdążyłem ująć łuku.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter
<http://www.processtext.com/abclit.html>

- Co było potem?

- Nadciągnęła śnieżna burza. Skryłem się w pniu drzewa i... spałem.

- A może oczy twej duszy wtedy coś widziały?

Tehawanka zamilkł. Obojętnie spoglądał w pułap wigwamu. Nie mógł przecież opowiedzieć o swym Duchu Opiekuńczym szamanowi wrogich Czipewejów. Pojęcie kłamstwa było wtedy Indianom obce, zawsze mówili prawdę, a gdy nie mogli jej komuś zdradzić, po prostu milczeli.

Stary szaman nie ponowił pytania. Po chwili odezwał się:

- Czy bez niczyjej pomocy pokonałeś niedźwiedzia?

- Tak, Czipewej, zwany Ah'mikiem, użyczył mi tylko swego noża.

- Czy potem przebłagałeś niedźwiedzia odpowiednią ofiarą?

- Nie, nie mogłem tego uczynić. Dusza uleciała z mego ciała i wtedy zostałem wzięty do niewoli.

- To źle, bardzo źle. Obraziłeś niedźwiedzia. Musimy to naprawić - odparł szaman. Znów zamyślił się, usiłując dociec istotnych przyczyn choroby.

Indianie powszechnie wierzyli, że wszelkie dolegliwości są powodowane przez złe duchy, które wstrzeliwują do ciał ludzkich różne zaczarowane przedmioty, jak kolce kaktusów, kamyki, ostre, małe zęby i pazury dzikich zwierząt i tym podobne. Wiara w złe i dobre duchy oraz w czary i uroki była od wieków tak głęboko zakorzeniona w świadomości Indian, że często samo zainscenizowane

przez szamana wydobycie zaczarowanego przedmiotu z ciała chorego pomagało w odzyskiwaniu zdrowia.

Doświadczony w swoim zawodzie stary szaman świadom był jednak, że same czarodziejskie sztuczki działające na psychikę chorego, nie zawsze wystarczały do zażegnania choroby*

[przyp.: Poza magicznymi sztuczkami mającymi jakoby uzdrowić chorego, szamani indiańscy znali i stosowali różne rośliny o wartościach leczniczych. Niektóre z nich, jak kaktus pejotl (*Lophora williamsii*), dzika szałwia i mięta okazały się tak skuteczne przy pewnych dolegliwościach, że są używane do dnia dzisiejszego. Szamani również zalecali swym pacjentom kąpiele, masaże ciała, puszczanie krwi (dość nagminnie stosowane, zwłaszcza przez kobiety, wśród niektórych plemion), okadzanie płonąca szałwią. Wiedzieli także, iż rany powinny być utrzymywane w czystości, przemywali je więc gorącą wodą, nakrywali ranę czystym tłuszczem, aby chronić przed zanieczyszczeniem, owijali bandażami z pasów miękkiej i czystej skóry zwierzęcej oraz zakładali łupki z kawałków utwardzonej skóry na złamane kończyny.]. Znał

właściwości lecznicze różnych ziół, korzeni, liści i kory pewnych drzew, które odpowiednio stosowane skutecznie pomagały w zwalczaniu wielu dolegliwości. Toteż teraz zastanawiał się, które ze znanych mu leków byłyby najwłaściwsze. Po chwili wydobyl ze swej torby czarodziejską grzechotkę, sporządzoną z wysuszonej skóry bani, powstał i grzechocząc do taktu ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> zaczął tańczyć.

Rozbrzmiała monotonna pieśń, w której szaman wzywał dobre duchy, aby przybyły mu na pomoc w walce ze złymi duchami nękającymi chorego. Dokonywał obrzędu w dużym skupieniu, ponieważ musiał przestrzegać przepisów ustanowionych przez swego Ducha Opiekunczego.

Pieśń i grzechotanie to cichły to potężniały, a taneczne kroki były wolniejsze i spokojniejsze lub żywsze. Cały obrzęd trwał dość długo, gdyż złe duchy powinny usłyszeć, że dobre duchy nadchodzą, by stoczyć z nim ciężką walkę o życie chorego.

Na zakończenie ceremonii szaman wykonał taniec niedźwiedzia, po mistrzowsku naśladowując jego chód i głos, po czym wrzucił do ogniska garstkę tytoniu i ziarn kukurydzy na ofiarę. Z kolei wydobyl kilka gałązek suchej, dzikiej szałwi, zapalił je i ich dymem okadził Tehawanke.

Wreszcie przykucnął przy chorym. Przyłożył do jego piersi mały kamienny nóż. Dwoma wprawnymi ruchami ręki wykonał dwa dość głębokie cięcia w kształcie litery X na piersiach Tehawanki, a następnie przytknął usta do krwawiącej rany. Zaczął ssać szybko i delikatnie.

Dopiero po czwartej próbie podniósł się i wypluł na dłoń pazur niedźwiedzi. Z dumą pokazał go najpierw Tehawance, a potem obydwóm kobietom.

- Oto przyczyna choroby, którą dzięki pomocy dobrych duchów udało mi się wydobyć z jego ciała - rzekł.

Namaczył w ciepłej wodzie garść suchych liści dębowych, obłożył nimi ranę na piersiach chorego,

napiił go wywarem ziołowym, po czym wydał kobietom polecenia, co do sposobu sporządzania naparów leczniczych i żywienia jeńca. Potem zabrał upominki wręczone mu przez Czipewejki i statecznym krokiem wyszedł z wigwamu.

Mem'en gwa natychmiast podbiegła do posłania. Pochyliła się nad jeńcem.

- Teraz na pewno wyzdrowiejesz! - szepnęła. - Śpij, będę czuwała przy tobie.

Uśmiech pojawił się na ustach Tehawanki.

- Dobra z ciebie dziewczyna, dziękuję... - odparł z trudem, gdyż ogarniała go niemoc i wielka senność.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter
<http://www.processtext.com/abclit.html> Miesiąc zwany srogim księżycem* [przyp.: Sroggi księżyc - w języku Dakotów styczeń.]

dobiegał końca. Tehawanka wprawdzie jeszcze nie wstawał z posłania, ale gdy zapadał w sen, dusza jego, oddzielając się od ciała, coraz rzadziej spotykała cienie zmarłych przodków. Jego Duch Opiekuńczy już także się nie pojawiał. Był to nieomylny znak, że wracało mu zdrowie.

Czipewejski szaman pokonał złego ducha. Tehawanka z wolna odzyskiwał siły.

Mem'en gwa teraz nie przesiadywała tak często przy jego posłaniu. Gdy przynosiła posiłki, matka jej jak cień zaraz wsuwała się za nią do wigwamu. Tehawanka z niecierpliwością oczekiwał każdego pojawienia się dziewczyny. Osamotniony tęsknił za jej kojącym głosem, za delikatnym dotknięciem rąk, gdy zmieniała opatrunki.

Kilkakrotnie próbował wyjawić Mem'en gwa swoją wdzięczność, lecz zaledwie zaczynał

mówić, jej ostrzegawcze spojrzenie zaraz zamykało mu usta. Zdał więc sobie sprawę, że matka dziewczyny nie sprzyjała mu. Nie mógł się dziwić, należał do wrogiego plemienia, a wśród Czipewejów przebywał jako jeniec.

Z niepokojem oczekiwał powrotu Ah'mika z wojennej wyprawy. Mem'en gwa powiedziała mu w tajemnicy, że ojciec jej miał zamiar go usynowić. Przyjmowanie obcych do plemienia było zwyczajem szeroko rozpowszechnionym wśród Indian północnoamerykańskich, ale Tehawanka odrzucał możliwość przystania do Czipewejów. Zaprzysiągł Duchowi Opiekuńczemu, że pomści śmierć ojca i zdobędzie zawiniątko ze świętymi przedmiotami oraz tarczę Czipeweja.

Przyrzeczenie złożone Duchowi Opiekuńczemu było świętością. Musiało być zawsze dotrzymane bez względu na następstwa.

Zgodnie z powszechnie panującym zwyczajem po odmowie przystąpienia do plemienia jeńca czekała często okrutna śmierć. Tehawanka wiedział o tym i był na nią przygotowany, lecz nie chciał umierać. Pragnął powrócić do swoich, a zwłaszcza do Porannej Rosy i Czerwonego Psa.

Myśl o ich niepewnym losie dręczyła go i nie dawała spokoju. Czy szczęśliwie doczekali powrotu myśliwych z polowania na bizona? Czy nie pomarli z głodu? Jeśli żyli, na pewno martwili się o niego. Zapewne myśleli, że zginął...

Niepokój Tehawanki o najbliższych wzrastał w miarę, jak nabierał więcej sił. Każdego dnia wielokrotnie powtarzał sobie w myślach, że musi odzyskać wolność. Tymczasem należało cierpliwie czekać na ustąpienie zimy. Wprawdzie przedłużająca się nieobecność Ah'mika stwarzała okoliczności sprzyjające ucieczce, lecz za to ślady pozostawione na śniegu ułatwiłyby Czipewejom pościg. W tych warunkach nie umknąłby zbyt daleko.

Czas mijał na oczekiwaniu. Nastał księżyc rui szopów* [przyp.: Księżyc rui szopów - luty, w języku

Dakotów.]. Pewnego dnia około południa w obozie zapanowało niezwykle ożywienie.

Słysząc było tupot biegających ludzi i okrzyki. Tehawanka zaintrygowany zerwał się z posłania, lecz zanim zdążył cokolwiek uczynić do wigwamu wbiegła Mem'en gwa.

- Ah'mik powraca z wyprawy! - zawołała. - Goniec przyniósł tę radosną wieść!

- A więc zwyciężył Lisów i Sauków! - rzekł Tehawanka.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter
<http://www.processtext.com/abclit.html>

- Tak! Zaraz wyruszamy mu naprzeciw!

Tehawanka spochmurniał. Miał być świadkiem triumfu Czipewejów. Mem'en gwa spostrzegła zmianę w wyrazie twarzy młodzieńca, dotknęła dłonią jego ramienia i szepnęła:

- Bądź rozsądny, pilnują cię... z ukrycia. Ah'mik ma dobre zamiary wobec ciebie. Bądź rozsądny.

Tehawanka uśmiechnął się i odparł:

- Dziękuję, Mem'en gwa. Nie wyjdę z wigwamu.

Dziewczyna również się uśmiechnęła. Po chwili już jej nie było. Niebawem gromada mężczyzn, kobiet i dzieci wyruszyła z osady na powitanie wojowników powracających triumfalnie z wojennej wyprawy.

Tehawanka siadł na posłaniu. Ogarnęły go przygnębiające myśli. Gdy po raz pierwszy usłyszał

od Mem'en gwa o wyprawie czipewejskich wojowników przeciwko Lisom i Saukom, wstąpiła w niego nadzieja, iż los jego może się wkrótce odmienić. Życzył zwycięstwa Lisom i Saukom, którzy na równi z Dakotami byli wypierani zbrojnie z puszczy, okalających zachodnie krańce Jeziora Górnego. Dakotowie czasem wspomagali Lisów w walce przeciwko Czipewejom, ale nawet łącząc swe siły ponosili klęski. Teraz znenawidzeni wrogowie znów zatriumfowali nad Lisami i Saukami. Czipewejowie byli niezwyciężeni dzięki posiadaniu broni palnej, otrzymywanej od białych, francuskich sprzymierzeńców. Toteż Dakotowie oraz Lisy i Saukowie, choć widzieli w Czipewejach swych największych wrogów, jeszcze więcej od nich nienawidzili Francuzów, których obwiniali o swe klęski. Nieraz już także wspólnie wykopywali topór wojenny przeciwko Francuzom* [przyp.: Plemię Lisów, podjudzone przez Anglików, chcąc zemścić się na Francuzach za ich pomoc Czipewejom, w 1712 r. zaatakowało francuski fort w Detroit i omal go nie zdobyło. Na nieszczęście dla Lisów na odsiecz fortowi pospieszyły plemiona indiańskie sprzymierzone z Francuzami. Pobiły Lisów i ścigały aż do ich głównej osady, którą zdobyły mordując wszystkich wojowników, a kobiety i dzieci zabierając do niewoli.

W latach 1729-1733 wybuchła krwawa wojna pomiędzy Francuzami i Lisami, którzy chociaż byli

wspomagani przez Sauków, ponieśli ciężkie straty. W 1780 r. Lisy i Dakotowie wspólnie zaatakowali Czipewejów w Saint Croix Falls, lecz zostali pobici.].

Obecnie Tehawanka począł rozmyślać o strasznych białych najeźdźcach. Nasłuchiwał się o nich wiele od Czerwonego Psa podczas długich zimowych wieczorów. Jak potężni musieli być ich bogowie oraz czary, skoro wielkie ludy indiańskie bądź ginęły w walce z białymi, bądź też z popłochu wycofywały się na zachód z bogatych w zwierzynę puszczy, leżących daleko na wschodzie nad wielką wodą.

Doświadczony i mądry szaman Czerwony Pies uczył Tehawanke nienawiści do Czipewejów, lecz zarazem wpajał mu świadomość, że największe niebezpieczeństwo groziło wszystkim Indianom od zaborczego białego człowieka. Białych stale przybywało coraz więcej zza wielkiej wody. Wyłudzali lub siłą odbierali Indianom ojczystą ziemię, mordowali ich, brali w niewolę, zmuszali do ciężkiej pracy. Wreszcie różne narody białych najeźdźców walczyły między sobą o ziemię wydzieraną Indianom i do swych wojen wciągały plemiona indiańskie, aby zbrojnie je ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> wspomagały. Biali szydzili z indiańskich świętości, narzucali własne wierzenia oraz zwyczaje.

Indianin żył w świętej trwodze przed duchami zmarłych. Wierzył, że dusza żyjącego człowieka obcuje z nimi podczas snu i w czasie cudownych wizji, wierzył, że duchy wyznaczają każdemu drogę jego życia. Według wierzeń Dakotów człowiek posiadał cztery dusze. Po jego śmierci jedna z nich miała przebywać w pobliżu martwego ciała, druga wędrowała do Krainy Wiecznej Szczęśliwości, trzecia odradzała się ponownie w ciele przychodzącego na świat dziecka lub zwierzęcia, czwarta natomiast obierała sobie za siedzibę kosmyk włosów z głowy zmarłego. W

myśl tego wierzenia posiadanie skalpu wroga oznaczało zdobycie pewnej władzy nad częścią jego duszy, zmuszenie jej do służenia zwycięzcy. Tak więc skalp zawierał tajemną, magiczną moc, budził świętą trwozę.

Tehawanka wiedział, że obecnie biali wiedli między sobą długotrwałą wojnę* [przyp.: Mowa tu o tak zwanej wojnie Francuzów i Indian z Anglikami (1754- 63) w Ameryce Północnej, toczonej na tle rywalizacji kolonialnej. Konflikt ten znalazł odbicie w Europie w postaci wojny siedmioletniej (1756- 63), w której Anglia i Prusy walczyły przeciw koalicji złożonej z Francji, Austrii, Rosji, Szwecji i Saksonii. W koloniach w Ameryce Północnej po stronie Francuzów walczyły niemal wszystkie plemiona z pogranicza Kanady, natomiast Anglików wspierali Irokezi, tworzący konfederację plemion: Seneca, Cayuga, Onondaga, Oneida i Mohawk. Francuzi wojnę tę przegrali i na rzecz Anglii utracili Kanadę, część Luizjany a także większość swych posiadłości w Indiach. Był to już koniec francuskiego imperializmu kolonialnego. W 1802 roku część Luizjany wróciła do Francji, lecz Napoleon I w 1803 r. sprzedał ją za 80 mln franków Stanom Zjednoczonym.], w której różne plemiona Indian brały udział po jednej i drugiej stronie.

W celu zachęcenia swych żołnierzy do bezwzględnej tępienia przeciwników, biali zaczęli wyznaczać nagrody za skalpy zdobyte na wrogach. W ten sposób, uświęcony u Indian rytuał przerodził się w zwykłe okrucieństwo.

Posępne myśli wprawiły młodego Tehawanę w stan niezwykłego podniecenia. Dotąd jeszcze Santee Dakotowie nie zetknęli się z białymi ludźmi* [przyp.: Pierre de La Verendrye w 1734 r.

był pierwszym białym, który dotarł do Dakotów. Wyruszył z Nowej Francji (Kanady) i, płynąc głównie w kanu wzdłuż rzek, badał olbrzymie obszary północnej Luizjany oraz zachodniej Kanady. W raporcie swoim wiele uwagi poświęcił osadom o ziemnych chatach i życiu Indian.

Szczególnie zainteresowały go kolektywne łowy na bizona i rola, jaką pełniły na nich kobiety oraz wielkie psy ciągnące włóki z ładunkiem.], ale zniechęceni Czipewejowie pozostawali już pod ich wpływem. Gdy odmówi przystąpienia do nich, na pewno będą go torturowali i zabijali.

Może nawet oddadzą jego skalp białym, aby otrzymać nagrodę* [przyp.: Holendrzy pierwsi w Ameryce Północnej zaczęli wyznaczać nagrody za skąpy indiańskie. Inne kolonie potem naśladowały ich. Okrucieństwa Holendrów wobec Indian rozpoczęły się już w 17 lat po zakupieniu Wyspy Manhattan. W 1843 r. na rozkaz gubernatora biali koloniści wymordowali, w okolicy Jersey nad Zatoką Hudsona, Indian Wappinger, którzy właśnie Holendrów prosili o opiekę przed Mohawkami. Gdy uspokojeni „przyjacielskością” białych Indianie zaniechali ostrożności, Holendrzy zaskoczyli ich podczas snu i wymordowali. Z wyprawy tej przynieśli do Fortu Amsterdam około 80 głów mężczyzn, kobiet i dzieci, którymi nowoamsterdamskie wdowy zabawiały się jak piłkami.

W XVIII w. Francuzi wyznaczyli dla Indian Micmac nagrody za głowy Indian Beothuk z Nowej Funlandii. Dla zdobycia nagród Micmac z Cape Breton Island i Nowej Szkocji urządzali ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> wyprawy do Nowej Funlandii i po pewnym czasie Beothuk prawie zostali wytępieni. Tylko nielicznym udało się ukryć w głębi wyspy lub uciec przez Cieśninę Belle Isle i dołączyć się do Naskapi w Labradorze. Wysokość nagród za skąpy była różna: w angielskiej kolonii Massachusetts w 1703 r. płacono 12 funtów za skalp, a w 1722 r. podwyższono ją do 100

funtów. Podczas wojny Francuzów i Indian z Anglikami angielski generał Braddock ustanowił

nagrodę 200 funtów za skalp wodza Delawarów, Shinngassa, popierającego Francuzów, a 100

funtów za skalp jezuickiego misjonarza działającego wśród Indian Ohio. Były to bardzo wysokie nagrody, skoro za skalp białego francuskiego żołnierza płacono w tym czasie 5 funtów. W

kolonii Pensylwania w 1765 roku płacono 130 dolarów za skalp Indianina, a w 1866 r. w Arizonie 250 dolarów za skalp Apacza.]]? Czipewejowie mogli uczynić go tak nieszczęśliwym, jak to już uczynili z jego ojcem zabierając mu zawiniątko ze świętymi przedmiotami i tarczę.

Pod wpływem złowróźbnych rozmyślań w Tehawance ugruntowywało się postanowienie, że za wszelką cenę powinien spróbować umknąć z niewoli. Nienawidził Czipewejów oraz ich sojuszników, strasznych, białych ludzi. Od nich nie mógł oczekiwać pomocy, był całkowicie zdany na własne siły. W tej ciężkiej chwili mimo woli zaczął szeptać modlitwę:

„Wielki. Wi! Napełnij me serce odwagą, pozwól pomścić ojca i wrócić do swoich...” W osadzie

tymczasem wzmagala się wrzawa. Tehawanka drgnął, jakby zbudzony ze snu.

Powstał z posłania, podszedł do maty zasłaniającej wejście do wigwamu. Ostrożnie uchylił zasłony.

Czipewejowie właśnie wylegli na plac pomiędzy wigwamami i ustawiali się w dwa szpalery zwróceniem twarzami do siebie. Mężczyźni mieli w rękach maczugi, kobiety kije lub różgi.

Dzieciarnia również uczestniczyła w uroczystości, przeciskając się wraz z kundlami przed starszych, aby lepiej widzieć. Nie było słyhać żalobnych lamentów, bowiem umyślnie przysłany goniec już zdążył powiadomić wszystkich o pomyślnym przebiegu wojennej wyprawy. Nikt z Czipewejów nie poległ ani nie popadł w niewolę, wojownicy wykazali męstwo i roztropność, zdobyli trofea, wzięli jeńców. Toteż mieszkańcy osady radośnie podnieceni niecierpliwie wyglądali nadchodzących.

Niebawem ukazała się gromada Czipewejów, którzy wybiegli naprzeciwko powracającym z wojennej wyprawy. Uderzali rytmicznie w małe bębenki, śpiewali, tańczyli. Dopiero w pewnej odległości za nimi postępował korowód zwycięzców. Najpierw, jeden za drugim, szło trzech wojowników z twarzami pomalowanymi na czarno na znak, że zabili wrogów. Trofea wojenne w postaci odciętych głów nieśli zatknięte na końcach długich tyk. Co kilka kroków wydawali przenikliwe okrzyki wojenne.

Tehawanka drgnął i spochmurniał. Jednym ze zwycięzców był Ah'mik.

Za wojownikami niosącymi trofea kroczyli jeńcy więci do niewoli. Było ich dwóch. Rzemienie opasywały im piersi i ramiona. Szli pełni godności z głowami podniesionymi do góry i śpiewali swe pieśni śmierci, zupełnie nie zwracając uwagi na otaczający ich groźny tłum wrogów.

Korowód zamykała reszta czipewejskich wojowników.

Tehawanka zaledwie ujrzał jeńców od razu rozpoznał w nich wojowników z plemienia Lisów, ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> obydwaj bowiem nosili na głowach fryzury zwane moconi. Właśnie sposób czesania włosów, w większym stopniu niż różne wzory malowane na twarzach, stanowił charakterystyczną cechę, po której odróżniało się jedne plemiona od drugich. Indianie zamieszkujący wschodnią krainę puszczy zazwyczaj całkowicie wygalali głowy, pozostawiając jedynie w tyle na ciemieniu lok skalpowy, który był jakby prowokacją i wyzwaniem dla wrogów* [przyp.: Na przestrzeni czasu niektóre plemiona północnoamerykańskie zmieniały zwyczaje co do golenia głów, noszenia i czesania włosów, nieraz przejmując w części lub całkowicie obce wzory. Ponadto u mężczyzn często dominowały indywidualne upodobania. Ogólnie można jednak przyjąć zasadę, że mieszkańcy wschodniej krainy lasów przeważnie wygalali głowy całkowicie lub częściowo, podczas gdy Indianie wielkich równin (a w każdym razie od czasu zdobycia koni), w większości nosili długie włosy, a nieraz nawet sztucznie je wydłużali wplatając we własne - włosy z ogonów zwierzęcych. Należy jednak zaznaczyć, że w niektórych plemionach zamieszkujących wielkie równiny członkowie różnych stowarzyszeń (żołnierskich, policyjnych, rytualnych) dla odróżnienia się naśladowali zwyczaj mieszkańców lasów i wygalali głowy, pozostawiając jedynie czuby bądź sam

lok skalpowy jako ceremonialne symbole. Jeśli chodzi o Indian równin długie włosy nosili: Siksika (Czarne Stopy), Cree, Hidatsa, Mandanowie, Arikara, Crow, Dakotowie, Szejenowie, Iowa, Ponka, Apacze, Komancze.]. Lisy i Saukowie należeli do Indian wygalaających głowy, jednakże wzdłuż ciemienia pozostawiali pasmo włosów na szerokość dłoni i wysokie na około pięć centymetrów. To pasmo włosów, odpowiednio usztywnione tłuszczem, sterczało pionowo, a w jego środku przymocowywano dość długie, farbowane włosie z ogonów zwierzęcych, które tworzyło jakby puszystą szczotę. Ponadto w tyle pasma również zachowywano dłuższy lok skalpowy, nigdy nie obcinany i przeważnie splatany w warkoczyk.

Młody Tehawanka z zapartym tchem spoglądał na dumnie kroczących jeńców. Już kilkakrotnie zetknął się z wojownikami Lisów, gdy wspólnie z Wahpekute Dakotami urządzali wojenne wyprawy na Czipewejów. Znał więc zwyczaje Lisów i wiedział, że prawo do noszenia takich ozdób głowy otrzymywali jedynie wojownicy, którzy wyróżnili się znaczniejszymi czynami wojennymi. Obydwaj jeńcy musieli być sławnymi wojownikami, ponieważ w środku wspaniałych czubów na głowach mieli zatknięte orle pióra. Obydwaj również nosili w muszlach usznych piękne ozdoby wampumowe* [przyp.: Wampum (z algonkińskiego wampompeag) przed przybyciem białych wytwarzany był przez Indian z muszel morskich porzniętych na kawałki, którym nadawano cylindryczny kształt i przewiercano otwory, a potem nawlekano na sznurek, jak paciorki, bądź też wytwarzano z nich pasy obrzędowe i wysoko cenione ozdoby. Wampum było w dwóch kolorach: białym i ciemnopurpurowym. Wartość białego była o połowę mniejsza od ciemnopurpurowego. Wampum był szeroko rozpowszechniony w północno - wschodnim regionie leśnym, głównie u Algonkinów i Irokezów. Miał różne zastosowanie: służył jako heraldyczny znak plemienia, stanowił gwarancję dotrzymania porozumień powziętych na międzyplemiennych naradach (delegaci wymieniali wampumy), był glejtem dla posła zapewniającym bezpieczeństwo, był mnemonicznym zapisem i przekazem wydarzeń, służył do wytwarzania ozdób, a wreszcie pełnił rolę pieniądza obiegowego. Potem, gdy biali zaczęli zwozić szklane, kolorowe koraliki, Indianie zarzucili pracochłonne, artystyczne wyrabianie wampumów z muszel morskich, zastępując je szklanymi.], a jeden z nich ponadto miał na szyi naszyjnik z kilku pasm wampumu.

W tłumie witającym zwycięzców wzrósł gwar na widok trofeów wojennych i tak znamienitych jeńców. Starym obyczajem kobiety uniosły kije i różgi, uderzenia zaczęły spadać na plecy jeńców. Dzieci obrzucały ich żwirem. Trwało to jednak niezbyt długo. Kilku wojowników ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> stanowczymi gestami odgoniło natarczywych i osłoniło Lisów. Korowód otoczony powitalnym tłumem zatrzymał się przed wodzami.

Kilka kobiet podbiegło do wojowników dzierżących trofea wojenne. Wśród nich Tehawanka dojrzał matkę Mem'en gwa. Ah'mik z powagą wręczył swej drugiej żonie głowę Lisa zatkniętą na kiju. Taniec skalpów, uroczyście kończący pomyślną wyprawę wojenną, był obrzędem dopełnianym przez kobiety, które w ten sposób koili swój ból po stracie kogoś bliskiego z ręki wrogów. Potem ofiarowywały one otrzymane trofea wodzie, którą Czipewejowie czcili jako świętą, życiodajną moc.

Tehawanka opuścił wejściową zasłonę. Z powrotem siadł na posłaniu. Ogarnął go lęk przed magicznymi siłami zamieszkującymi w trofeach w postaci głowy wroga, jak i w skalpach.

Zabójca człowieka zawsze stawał się nieczysty.

Tehawanka począł rozmyślać o losie nieszczęsnych jeńców i własnym, a tymczasem w obozie trwały śpiewy przy akompaniamencie bicia w bębny. Wkrótce miała rozpocząć się uczta, podczas której zwycięzcy wojownicy opowiadali o swych czynach dokonanych na wojennej ścieżce.

Indiańskie zaloty

Nadszedł miesiąc zwany księżycem chorych oczu* [przyp.: Księżyc chorych oczu - marzec, w języku Dakotów.]. Po niezwykle surowej zimie, wcześniej niż zazwyczaj, nastąpiła słoneczna, ciepła wiosna. Lody na jeziorach i rzekach szarzały, z dnia na dzień pokrywała je coraz głębsza warstwa wody. Bory i prerie zaczynały się zielenić, chmury ptactwa nadlatywały z południa ożywiając rozgwarem niemal zupełnie ciche w zimie wybrzeża jezior.

Tehawanka z radością, a zarazem i niepokojem witała oznaki zmiany pory roku. Zbliżał się dla niego dzień próby ucieczki. Gdy śnieg zalegał puszcę nie sposób było zatrzeć za sobą ślady, ponadto grupki czipewskich łowców krążyły po okolicy w poszukiwaniu zwierzyny. Tak więc nie tylko pościg, ale również i przypadkowe natknięcie się na myśliwych mogły udaremnić ucieczkę.

Nagle, przedwczesne nadejście ciepła zmieniało sytuację. Myśliwi zaczęli wracać do obozu, gdzie czekały na nich pilne zajęcia. Przy końcu zimy sok w pniach drzew klonowych podnosił się do góry i w tym właśnie czasie należało zebrać jego zapas na cały rok* [przyp.: Mowa o klonie cukrowym (*Acer saccharum*) pochodzącym z Ameryki Północnej, który jako roślina dostarczająca cukru posiadał tylko lokalne znaczenie. Sok wydobywany z pnia w okresie wiosny ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> zawiera około 5% sacharozy. Z soku klonowego wyrabia się syrop, który Indianom zastępował

cukier. Drzewo klonu cukrowego w Ameryce osiąga wysokość do 40 m. Jego drewno twarde i trudno łupliwe używane jest do wyrobu mebli, fornirów itp., a sok znajduje zastosowanie w przemyśle cukierniczym. Gatunek klonu cukrowego jest w Polsce rzadki i osiąga wysokość do 15

m.]. Zbliżała się też pora połowów ryb oraz uprawy kukurydzy i dyni.

Tehawanka na razie nie obawiał się o swe życie. Ah'mik po pomyślnie odbytej wyprawie wojennej przeżywał radosne dni owiane sławą. Mem'en gwa zapewniała Tehawanke, że ojciec jej jest w pogodnym nastroju i w stosunku do wszystkich jeńców nie ma złych zamiarów.

Zapewne tak było, ponieważ obydwaj brańcy z plemienia Lisów dotąd nie zostali poddani torturom i według słów dziewczyny miano im zaproponować przystąpienie do zwycięzców.

Czipewejowie podczas wielkiej wędrówki ze wschodu na zachód zmuszeni byli do ciągłych walk z wypieranymi przez nich Dakotami, Lisami oraz Saukami, Kickapoo i Iowa. Wielu Czipewejów padało w boju, wobec czego ubytki w gronie mężczyzn uzupełniali łącząc się z innymi, mniejszymi plemionami, bądź adoptując wziętych do niewoli jeńców. Ah'mik dotąd jeszcze nie zaproponował Tehawance przystąpienia do Czipewejów i młody jeniec miał nadzieję, że niezbyt prędko to nastąpi. Nadziei tej nabrał pod wpływem córki Ah'mika.

Mem'en gwa ukradkiem odwiedzała Tehawanę, przy każdej nadarzającej się okazji.

Młodzieniec z uwagą obserwował zachowanie się jej wobec niego, pilnie wychwytywał ważne półsłówka, jakie czasem mimo woli padały z jej ust. Niebawem też wywnioskował, że Ah'mik czyni przygotowania do uroczystego, dorocznego zebrania tajnego stowarzyszenia, zwanego u Czipewejów Midewiwin* [przyp.: Północno - wschodnia Kraina Lasów stanowiła specyficzny region kulturowy, którego granicami były: na północy Rzeka Św. Wawrzyńca i Wielkie Jeziora, na południu obydwie Karoliny oraz dorzecze Ohio, a na zachodzie rzeka Missisipi. W tych warunkach kultura plemion zamieszkujących tereny wokół Wielkich Jezior stanowiła zlepek cech kulturowych tak Indian ze wschodniego wybrzeża morskiego, jak i puszczy leśnych oraz wnętrza kontynentu - prerii. Mieszkańcy tej rozległej krainy mówili językami algonkińskimi, irokezkimi i sju. Wśród plemion zachodniej części Krainy Lasów powstały bractwa znachorów - szamanów, zwane The Sacred Dance lub Medicine Dance (Święty taniec lub Taniec uleczejący), które były jakby odpowiednikiem łóż masonskich, a różniły się od nich tym, że członkami ich mogły być także kobiety i dzieci. Najbardziej typowym wzorem tych stowarzyszeń było czipewejskie tajne bractwo Midewiwin (także Medewiwin), które rozprzestrzeniało się od plemienia do plemienia wokół jezior. Midewiwin początkowo miało za zadanie leczenie chorych za pomocą środków duchowych, nadnaturalnych, lecz stopniowo bractwa zaczęły nabierać wielkiej siły politycznej i sprawiały tyle kłopotów, że niektóre plemiona wyjmowały je spod prawa i uznawały za nielegalne.].

Mądry, doświadczony Czerwony Pies nigdy nie skąpił wnukowi swej wiedzy o świecie i ludziach. Dzięki temu Tehawanka znał zwyczaje wielu wrogich i zaprzyjaźnionych plemion sąsiadujących z Wahpekute Dakotami. Słyszał również niejednokrotnie o bractwie Midewiwin.

Miało ono za główne zadanie uleczenie chorych przy pomocy czarodziejskich mocy szamanów i znanych im leków sporządzanych z roślin, lecz posiadało także poważne polityczne wpływy, z którymi inni musieli się liczyć. Każdy nowo wstępujący do bractwa opłacał swe przyjęcie, a później kupował sobie wtajemniczenie wyższego stopnia, których było aż cztery. Członkowie Midewiwin malowali twarze we wzory ustalone odpowiednio dla każdego stopnia wtajemniczenia.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Uroczyste zebrania bractwa Midewiwin odbywały się raz na rok w specjalnie na ten cel zbudowanym w ukryciu wigwamie, półowalnym, otwartym z obydwóch stron. Wtedy też przyjmowano do bractwa nowo wstępujących oraz nadawano wyższe stopnie wtajemniczenia, czemu towarzyszyły specjalne obrządki i pieśni. Główną rolę podczas uroczystych zebrań odgrywały charakterystyczne zawiniątka ze świętymi, czarodziejskimi przedmiotami, sporządzone z preparowanych w całości skór wydr, łasic, kruków, sokołów lub węży. Z tych to zawiniątek „wystrzelivano” w nowo wstępujących muszle, które ich „zabijały”, a potem byli oni „przywracani” do życia przez starszych bractwa* [przyp.: Niezależnie od „zabijania” i

„przywracania do życia” nowo wstępujących, członkowie Midewiwin posiadający wyższe stopnie wtajemniczenia „wystrzeliwali” muszle wzajemnie jeden do drugiego w celu pokazania swej szamańskiej, czarodziejskiej mocy.].

Tehawanka wiedząc, że Ah'mik pochłonięty jest przygotowaniami do dorocznego, uroczystego

zebrania bractwa Midewiwin, mógł bez obawy oczekiwać na najdogodniejszą porę do ucieczki, Czipewejowie nie mieli teraz czasu zajmować się sprawą wojennych jeńców. Doskonale był

świadom, jak ważną rolę w życiu plemiennym odgrywały te zebrania, ponieważ także niektóre plemiona mówiące językami sju, jak Iowa i Oto, również posiadały stowarzyszenia na wzór Midewiwin, a u Omaha istniały nawet aż dwa: Stowarzyszenie Muszli i Stowarzyszenie Kamyków.

Stosunek Czipewejów do jeńców zdawał się potwierdzać domysły Tehawanki. Ah'mik po powrocie z wojennej wyprawy zamienił z nim zaledwie kilka zdawkowych słów, a później już niemal nie zwracał na niego uwagi. Inni mieszkańcy obozu nie okazywali mu teraz jawnej wrogości, ani też zbytniego zainteresowania. Nie zabroniono mu także pewnej swobody w poruszaniu się po całym obozie.

Tehawanka już całkowicie odzyskał dawne siły. Zaczął opuszczać wigwam. Początkowo siadał

tylko przed wejściem do niego, lecz wkrótce ośmielony przez Mem'en gwa, rozpoczął dłuższe wędrówki po obozie. Czasem spostrzegał obydwóch jeńców z plemienia Lisów siedzących przed jednym z wigwamów, ale nie podchodził do nich, ponieważ jako brańcy wojenni stale byli przez kogoś dozorowani. Tehawanka był świadom, że mimo pozornej swobody każdy jego krok musiał

być pilnie śledzony przez wszystkich Czipewejów. Zachowywał więc ostrożność, aby nie wzbudzić podejrzeń, że knuje coś złego.

Dzień za dniem szybko upływał na obserwowaniu codziennego życia Czipewejów. Dokładna znajomość wrogów mogła mu nie tylko ułatwić ucieczkę z niewoli, lecz również i późniejszą walkę z nimi.

Tehawanka najpierw uważnie rozejrzał się w położeniu obozu. Znajdował się on na brzegu olbrzymiego jeziora, w którego bezkresnych wodach topił się daleki widnokrąg. Na zachodniej stronie obozu jezioro wdzierało się w głąb lądu wąską, rozległą, błotnistą odnogą, która zataczała szerokie półkole w kierunku południowo - wschodnim. Tylko na wschodzie czerniła się odwieczna puszcza. Dzięki temu obóz rozłożony był w miejscu nadzwyczaj dogodnym do obrony, albowiem z trzech stron okalały go wody jeziora i błota.

Tehawanka często spoglądał z tęskną zadumą na długi łańcuch wzgórz o dość stromych ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> zboczach, obramowujący od zachodu rozległą, błotnistą odnogę jeziora, porosłą gęstymi, wysokimi szuwarami.

Podczas wielkiej wędrówki narodu Dakotów z południowego wschodu na północny zachód Santee Dakotowie zatrzymali się w dorzeczu Rzeki Minnesoty i stali się ludem półrolniczym, prowadzącym osiadły tryb życia. Znaleźli tutaj sprzyjające warunki naturalne. Mianowicie u brzegów licznych jezior i spokojnie płynących rzek pienił się dziki ryż wodny, który obok uprawnej kukurydzy stał się ich podstawowym pożywieniem. Zalesione części okolicy obfitowały w płową zwierzynę, a tam, gdzie bory przeplatała preria, można było polować na bizony i antylopy.

Głuchy gniew i nienawiść do Czipewejów ogarniały Tehawanę, gdy spoglądał na błotnistą odnogę jeziora. Była to przecież kraina indiańskiego dzikiego ryżu* [przyp.: Dzikie ryż wodny (*Zizania aquatica*), zwany także indiańskim ryżem, gatunek z rodziny traw pokrewny ryżowi, rosnący w przybrzeżnej strefie słodkowodnych jezior i spokojnych rzek we wschodniej części Ameryki Północnej, na obszarach między Jeziorem Michigan i Jeziorem Górnym oraz przylegających do nich okolic. Tworzy gęste szuwały, długie miejscami na 8, a szerokie na około 3 km. Dzikie ryż uzupełniał pożywienie Santee Dakotów, Indian Cree, Kickapoo, Lisów i Sauków, Winnebago, Czipewejów i Menomini (nazwa tych ostatnich, nadana przez Czipewejów, oznaczała: ludzie dzikiego ryżu). Dzikie ryż jako pożywienie posiadał tylko lokalne znaczenie, lecz jeszcze obecnie Czipewejowie i Menomini zbierają go na większą skalę. Ryż ten zbierany był na przełomie sierpnia i września przed całkowitym dojrzewaniem, aby ziarno samoistnie nie wysypywało się do wody. Zbioru dokonywały kobiety wypływające w kanu na ryżowiska.

Naginały pęki łodyg nad wnętrza łodzi i drewnianymi bijakami wytrząsały ziarno. Na matach rozpiętych nad tłącym się ogniskiem podsuszały ziarna, a omłotu dokonywali już mężczyźni (jamę w ziemi wykładali skórą łosia lub jelenia, wsypywali ziarno i w nowych mokasynach zgniatali je). Następnie kobiety rozsypywały ziarna na matach i potrząsając nimi na wietrze odwiewały łuski.]. Dawniej, przed wtargnięciem Czipewejów w te strony, gromady Santee Dakotów i innych Indian przybywały tutaj w czasie księżycyca dojrzewania ryżu* [przyp.: Księżyc dojrzewania ryżu - wrzesień, w języku Santee Dakotów.], w celu zebrania odpowiednich zapasów na zimę. To właśnie dziki, wodny ryż był w rzeczywistości jednym z głównych powodów długotrwałej, krwawej wojny pomiędzy Dakotami i Czipewejami.

Wojnę o dziki ryż Dakotowie przegrali ulegając broni palnej posiadanej przez Czipewejów.

Wielu Dakotów powędrowało dalej na zachód. Tylko Santee Dakotowie nie ustąpili z dorzecza Minnesoty i dalej zmagali się z najeźdźcami. Młody Tehawanka po raz pierwszy zetknął się z Czipewejami z tak bliska. Postanowił poznać ich jak najlepiej, aby potem tym skuteczniej zwalczać. Przy każdej więc okazji porównywał sposób życia oraz zwyczaje Santee Dakotów i Czipewejów.

Santee Dakotowie prowadzili osiadły tryb życia. Osady swe otaczali obronnymi wałami ziemnymi, fosami bądź palisadami. Budowali trwałe domy, składające się ze szkieletu z grubych drewnianych słupów, który nakrywali płatami kory lub warstwą ziemi. Główne ich pożywienie stanowiły uprawiane w pobliżu osad: kukurydza, fasola, dynie oraz zbierany w jeziorach i rzekach wodny ryż, ryby i jadalne żółwie. Pożywienie swe uzupełniali mięsem dzikiej, płowej ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> leśnej zwierzyny, a dwa razy do roku wyruszali całym plemieniem na prairie, by polować na bizona, które, oprócz mięsa i tłuszczu, dostarczały także cennych materiałów do wyrobu odzienia i różnych przedmiotów, niezbędnych w codziennym życiu. Podczas odległych łowów na bizona Santee Dakotowie używali łatwo przenośnych namiotów, zwanych tipi, ale przez większość roku przebywali w swoich stałych osadach.

Czipewejowie natomiast głównie utrzymywali się z myślistwa. Wędrowali w poszukiwaniu zwierzyny i prowadzili koczowniczy tryb życia. Przenosząc się często z miejsca na miejsce budowali domy zwane wigwamami, które łatwo i prędko mogli stawiać w obozach oraz rozbierać, gdy wyruszali w drogę. Wigwamy posiadały przeważnie owalny kształt i kopulaste sklepienie. Szkielet

wigwamu formowano z młodych, giętkich drzew i pokrywano go szerokimi, długimi płatami kory bądź plecionymi matami, które można było zwijać w rolki w celu przeniesienia w inne miejsce.

Czipewejowie, jak wszyscy Algonkinowie oraz inne ludy zamieszkujące okolice Wielkich Jezior, w odpowiednich porach roku uprawiali kukurydzę, zbierali dziki wodny ryż i sok drzew klonowych zastępujący im cukier, ale główne ich pożywienie stanowiła dzika zwierzyna, ptactwo i ryby.

Koczowniczy, myśliwski tryb życia Czipewejów różnił ich od Santee Dakotów, lecz u jednych i u drugich zakorzenionych było wiele wspólnych zwyczajów, wywodzących się z północno -

wschodniego regionu leśnego. Czipewejowie przynieśli znad wschodnich wybrzeży oceanu kult wampumu, którego Santee Dakotowie nie znali, ale za to wspólna im była głęboka wiara w sny i święte widzenia, tak samo poszukiwali osobistego Ducha Opiekuńczego, budowali lekkie kanu z brzoźowej kory, w zimie używali karpli do chodzenia po śniegu.

W odróżnieniu od wszystkich Dakotów, którzy używali psów tylko do przenoszenia na grzbiecie małych pakunków lub ciągnięcia niewielkich włók z bagażem, nomadzi Czipewejowie w zimie formowali psie zaprzęgi do długich sań zwanych tobogganami, co pozwalało im -

wykorzystywać te zwierzęta do przewożenia większych ciężarów. Miało to dla nich duże znaczenie podczas zimowych polowań.

Tehawanka skrzętnie notował w pamięci wszystkie spostrzeżenia i stale przemyślał nad sposobem wydostania się z niewoli. Przede wszystkim wykorzystywał każdą okazję, aby przyzwycząić Czipewejów do swej obecności wśród nich, co znacznie mogło ułatwić mu ucieczkę. Pewnego dnia samorzutnie zaofiarował swą pomoc przy zbieraniu soku drzew klonowych. Ku jego radości Mem'en gwa uzyskała na to zgodę Ah'mika.

Radość Tehawanki była uzasadniona. Od chwili wzięcia do niewoli po raz pierwszy miał wyjść poza obręb obozu. Oznaczało to, że Czipewejowie nabrali do niego pewnego zaufania. Skupiska drzew klonowych znajdowały się po zachodniej stronie odnogi jeziora, w pobliżu łańcucha stromych wzgórz. Aby dotrzeć do nich należało najpierw przepłynąć się łodziami na zachodni brzeg odnogi, a potem odbyć jeszcze półdniową pieszą wędrówkę. Zbieranie soku klonowego miało potrwać kilka dni.

Był to wieczór poprzedzający wyprawę do klonowego lasu. Tehawanka przebywał w wigwamie. Właśnie przysiadł przy ognisku. Podniecony rozmyślał o wydarzeniach, jakie mógł

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> przynieść dzień następny. A może właśnie teraz nadarzy się okazja do ucieczki? Gdy gubił się w domysłach, do wigwamu weszła Mem'en gwa.. Jak zwykle o tej porze przyniosła mu posiłek.

Postawiła przed nim miskę, po czym przysiadła obok ogniska.

Tehawanka zdziwiony spoglądał na dziewczynę. Zazwyczaj po przyniesieniu pokarmu zaraz

odchodziła, ponieważ matka zabraniała jej przebywania sam na sam z jeńcem. Toteż obecne jej zachowanie się zaintrygowało młodzieńca.

Mem'en gwa uśmiechnęła się przekornie i powiedziała:

- Ojciec z żonami poszedł do pobliskiego obozu w odwiedzin. Powrócą dopiero późnym wieczorem.

- A nie obawiasz się swych dalszych matek i ojców* [przyp.: Większość Indian nazywała ojca oraz jego braci i braci matki tym samym słowem „ojciec”, dokładnie jednak odróżniając „ojców”

- braci ojca, od „ojców” - braci matki. Odpowiednio matkę i jej siostry oraz siostry ojca zwali jednakowo „matką”, lecz odróżniali prawdziwą matkę i jej siostry od sióstr (matek) ze strony ojca. Dzieci - braci i sióstr ojca oraz dzieci - sióstr i braci matki zwały się między sobą „braćmi” i

„siostrami”.]? - zapytał Tehawanka coraz bardziej zaintrygowany, bowiem w domu Ah'mika, stosownie do indiańskich zwyczajów, przebywała niemal cała rodzina pierwszej żony.

- Ojcowie naradzają się z innymi mężczyznami w sprawie jutrzejszej wyprawy po sok klonowy, a matki młode, nie mają długich języków - wyjaśniła Mem'en gwa.

- Więc to dlatego nie obawiasz się dzisiaj pozostać dłużej! - odparł Tehawanka uśmiechając się porozumiewawczo. Polubił tę dziewczynę. Zawsze okazywała mu życzliwość.

- Chciałam cię uprzedzić, że obydwaj jeńcy z plemienia Lisów również będą zabrani na wyprawę po sok klonowy - powiedziała Mem'en gwa. - Ojcowie właśnie radzą, jak mają zabezpieczyć się przed niespodziankami z ich strony...

- Obawiają się, że możemy skorzystać z okazji i umknąć - wtrącił Tehawanka.

- Tak, to próba przed przyjęciem was do naszego grona - odparła i opuściwszy głowę dodała: -

Bądź rozważny... Nie ufaj pozorom. Będziecie dobrze pilnowani.

- Dziękuję, Mem'en gwa. Dobra z ciebie dziewczyna. Dzięki tobie przetrwałem ciężkie chwile.

Mem'en gwa zarumieniła się, spod serdaka wydobyła parę mokasynów i położyła je przed młodzieńcem.

- Zrobiłam je dla ciebie - szepnęła.

Tehawanka zaskoczony spoglądał na mokasyny, wykonane według wzoru stosowanego przez mieszkańców północno - wschodniej Krainy Lasów. Były to więc mokasyny sporządzone w całości z jednego kawałka miękkiej, jeleniej skóry. Zwyczajem Czipewejów szwy na podbiciu i pięcie były pomarszczone, co osiągnięto przez odpowiednie przypalanie. Sporządzanie ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> mokasynów zawsze należało do kobiecych obowiązków,

lecz gdy obca dziewczyna ofiarowywała je mężczyźnie, miało to pewne symboliczne znaczenie. Oznaczało to, że mu sprzyjała.

- Dziękuję, Mem'en gwa - powiedział Tehawanka po dłuższej chwili kłopotliwego milczenia. -

Niestety, nic nie mogę ofiarować ci w zamian, ponieważ sam nic nie posiadam.

- Wiem o tym, wiem! - odparła. - Właśnie dlatego, że nie masz tutaj matki, siostry lub żony i nic nie posiadasz, ja zrobiłam je dla ciebie. Na pewno będą dobre. Gdy leżałeś ciężko chory wzięłam twój stary mokasyn na miarę. Twoje były już bardzo zniszczone. Zapewne nie zabrałeś w drogę drugiej pary?

- Nie miałem zamiaru odbywać tak długiej wędrówki. Jednak trudno było znaleźć zwierzynę -

odpowiedział młodzieniec. - Pewno mój duch opuścił ciało, gdy brałaś mokasyn na miarę. Nic nie zauważyłem.

Umilkł zakłopotany. Istotnie wbrew powszechnemu zwyczajowi nie zabrał zapasowej pary mokasynów opuszczając osadę. Mem'en gwa okazała mu swą sympatię. Czy zaprzyjaźnienie się z nią nie powikła sprawy ucieczki? Z drugiej jednak strony posiadanie czipewejskich mokasynów* [przyp.: Słowo mokasyn pochodzi od algonkińskiego Mockasin lub Mawhcasum. Z

wyjątkiem niektórych Indian znad granicy meksykańskiej, z południowych równin i północno -

wschodniego wybrzeża, gdzie przeważnie chodzono boso, Indianie w pozostałych regionach Ameryki Północnej używali mokasynów. Istniały dwa podstawowe rodzaje mokasynów: 1. o twardej zelówce z niewyprawionej skóry i przyszywanej do niej miękkiej cholewce - noszone na równinach i południowym zachodzie, gdzie sztywny spód chronił stopy przed twardą, spaloną przez słońce ziemią, kamykami i kaktusami; 2. wykrojone całe z jednego kawałka miękkiej skóry, a więc o elastycznej podeszwie, posiadające szwy na podbiciu i pięcie - noszone przez Indian leśnych i dostosowane do chodzenia po miękkim podszyciu, zwalonych pniach drzew, śliskich głazach i do jazdy w kanu. Niektórzy Indianie przyszywali do pięty mokasyna ciężki frędzel, który wlokąc się po ziemi zacierał ślady podczas marszu. Biali koloniści szybko przyswoili sobie indiańskie mokasyny, doskonale dostosowane do właściwości terenu, ponieważ ciężkie, europejskie obuwie po przemoczeniu w dzień nie wysychało przez noc, a po kilkakrotnym przemoczeniu i suszeniu pękało. Mokasyny stanowiły pierwszą część odzieży indiańskiej przejętą przez Europejczyków i zarazem ostatnią część pierwotnego indiańskiego stroju, zarzuconą przez Indian na rzecz zwyczajów europejskich.] mogło także ją ułatwić. Niemal każdy szczep posiadał własny, charakterystyczny sposób wytwarzania i zdobienia mokasynów.

Dzięki różnym kształtom mokasynów zwiadowca indiański mógł rozpoznać po śladach pozostawionych na ziemi, do jakiego plemienia należał tropiony przez niego człowiek. Toteż zdarzało się, że niektórzy Indianie wyruszając na wyprawę wojenną zakładali mokasyny noszone przez inne plemię.

Myśl, że podarunek Mem'en gwa mógłby utrudnić jego prześladowcom pościg, wprawiła Tehawanke

w lepszy nastrój. Począł gawędzić z dziewczyną, która zaciekawiała go coraz więcej.

Nagle, gdzieś poza wigwamem, rozbrzmiały tony fletu. Mem'en gwa poczęła nasłuchiwać.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Rozmowa urwała się, Tehawanka przyglądał się dziewczynie. Zapewne dla niej przeznaczona była gra na flecie przez niewidocznego grajka, gdyż wkrótce na twarzy jej odmalował się wyraz niepewności. Zmarszczyła brwi. Powstała.

- Muszę już iść - rzekła. - Wyruszamy o świcie. Bądź rozważny i... nie daj się sprowokować.

Tehawanka spoglądał na Mem'en gwa. Ostrzegła go, lecz nie powiedziała czego, czy też kogo ma się obawiać. Mem'en gwa tymczasem podeszła do zasłony wyjściowej. Odwróciła się i szepnęła:

- Bądź rozważny, pamiętaj!

Gra na flecie stawała się coraz bliższa. Mem'en gwa zniknęła za zasłoną. Flet wkrótce umilkł.

Tehawanka nadal siedział przy ognisku. Spoglądał na pełzające po drewnie płomyki i rozmyślał.

Był niemal pewien, że odgadł, przed kim ostrzegła go czipewejska dziewczyna.

U Indian mężczyźni często posługiwali się piszczałką w celu wywabienia z domu swej wybranki. Jeśli miłość była wzajemna zakochani ustalali między sobą szyfr, składający się z pewnych tonów, czy melodii, które dla nich miały umówione znaczenie. Dzięki temu mężczyzna mógł z pewnej odległości przekazać wiadomość swej dziewczynie przebywającej w domu, bez zwrócenia uwagi jej rodziny. W ten sposób można było również umówić się na spotkanie.

Santee Dakotowie również posługiwali się piszczałkami we flirtach z kobietami i zwyczaj ten doskonale był znany Tehawance. Potrafił robić podobne instrumenty* [przyp.: Indianie Ameryki Północnej znali zaledwie kilka instrumentów muzycznych. Były to: piszczałka, czy też flecik, używany przeważnie przez mężczyzn przy flirtach; kilka rodzajów świstawek, wykonywanych z kości skrzydłowej ptaków, które przeważnie były używane przez wojowników do wydawania rozkazów; grzechotki, służące również do obrzędów szamańskich; dwa rodzaje bębnów: jeden zbliżony wyglądem do naszych, wydrążony, na stojaku i rozwidlonych kijach, drugi bardziej płaski, ręczny, podobny do tamburynu, obciągnięty skórą tylko z jednej strony - używany przez szamanów, stowarzyszenia wojskowe, społeczne i kobiece. Podczas tańców i obrzędów wszystkim pieśniom akompaniowała gra na bębnach i grzechotkach.]. Toteż obecnie przejrzał

tajemnicę Mem'en gwa. Jakiś mężczyzna interesował się nią. Czy jednak ona również mu sprzyjała?

Coraz większy niepokój ogarniał Tehawankę. Mem'en gwa od pierwszej chwili okazywała mu wielką życzliwość. Dzięki niej niewola nie była tak straszna. Może nawet ratowała mu życie?

Dziewczyna mu sprzyjała, lecz zapewne miała już kogoś, z kim matka jej wiązała małżeńskie zamiary. Teraz Tehawanka zrozumiał powód, dla którego matka dziewczyny pilnowała jej przed nim.

Głęboko zafrasowany ciężko westchnął. Polubił Mem'en gwa. Jeśli jednak już miała kogoś, to przyjaźnienie się z nią mogło stworzyć bardzo niebezpieczną sytuację.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Jeńcy z plemienia Lisów

Już trzeci dzień trwało zbieranie soku klonowego. Mężczyźni uczestniczący w wyprawie zbudowali trzy wigwamy: jeden dla siebie, drugi dla jeńców pomagających w pracy, trzeci dla kobiet. Do obowiązków mężczyzn należało ponadto przygotowanie sprzętu koniecznego do zbierania i przechowywania soku klonowego, natomiast wszystkie inne prace wykonywały kobiety. Najpierw więc musiały wycinać otwory w korze pni klonów, potem umocowywały w nich drewniane rurki, za pomocą których słodki sok spływał do małych koryt ustawionych na ziemi przy drzewach. Następnie zlewały sok z koryt do kotłów zawieszonych nad ogniskiem i gotowały, a w końcu przelewały go do pojemników zrobionych z drewna i kory. W nich to syrop stygwał, krystalizował się i był przechowywany do spożycia. Kobiety rąbały i znosiły drewno na ogień, gotowały strawę, myły naczynia, szyły odzienie dla siebie i mężczyzn, prały, wykonywały wszystkie prace gospodarskie i obozowe.

Tehawanka oraz dwaj jeńcy z plemienia Lisów wyciosywali z kłoców korytka, przeznaczone do gromadzenia soku spływającego z drzew. Pracowali w milczeniu. Nieznacznie obserwowali się wzajemnie. W ciągu dnia Czipewejowie pozornie nie zwracali specjalnej uwagi na jeńców, lecz w nocy dwóch wartowników zawsze czuwało przy nich.

Od trzech dni Tehawanka nie miał okazji do rozmowy z Mem'en gwa. Pracowała z innymi kobietami i zamieszkiwała razem z nimi wspólny wigwam. Pamiętał jednak jej przestrogi.

Wiedział już także, kogo miała na myśli zalecając mu rozwagę. Był to Mish'wa wak, dość jeszcze młody mężczyzna, lecz cieszący się powszechnym szacunkiem, z powodu swych umiejętności leczenia naturalnych urazów ciała. On to właśnie pierwszy udzielił pomocy Tehawance powalonemu przez niedźwiedzia, a potem doradzał Ah'mikowi, aby go zabił.

Mish'wa wak brał udział w wyprawie po sok klonowy. Jemu powierzono dowództwo. Musiał posiadać znaczne doświadczenie w dowodzeniu podobnymi wyprawami. Teraz zanim przystąpiono do budowania wigwamów, rozesłał zwiadowców w okolice i dopiero, gdy powrócili z pomyślnymi meldunkami, zaczęto rozkładać obóz. Potem codziennie dwóch lub trzech zwiadowców myszkowało wokół obozowiska, a na noc rozstawiano warty.

Tehawanka bacznie obserwował dowódcę. Wkrótce zrozumiał, że to właśnie przed nim ostrzegła go Mem'en gwa. Mish'wa wak wciąż wodził wzrokiem za dziewczyną, gdy chodziła po wodę lub drzewo często szedł za nią, zagadywał, a wieczorami grą na flecie wywoływał na spotkania. Zapewne także wiedział, że Mem'en gwa lubiła jeńca. Gdy spoglądał na Tehawanke w oczach jego czaiła się nienawiść.

Tehawanka instynktownie wyczuwał, że Mish'wa wak czeka jedynie na stosowną okazję, aby usunąć go ze swej drogi. Dlatego też nie oddalał się z obozu, pracował pilnie razem z Lisami i ABC Amber

LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter
<http://www.processtext.com/abclit.html> unikał rozmów z Mem'en gwa. Tylko od czasu do czasu tęsknym wzrokiem spoglądał na pobliski łańcuch wzgórz. Za tymi wzgórzami znajdowała się jego rodzinna osada.

Po kilku dniach prace przy zbiorze soku klonowego zaczęły dobiegać końca. Pewnego ranka kilku Czipewejów zaczęło przygotowywać się do powrotu do głównego obozu i około południa wyruszyło w drogę.

Nadszedł wieczór.

Tehawanka i jeńcy z plemienia Lisów znajdowali się w swoim wigwamie. Do tej pory Tehawanka niewiele rozmawiał z Lisami. Nawet mowa znaków byłaby także zrozumiała dla czipewejskiego strażnika, który razem z nimi przebywał w wigwamie. Tego wszakże wieczoru dozorca jakoś nie nadchodził. Tehawanka zaintrygowany zerkał na Lisów, którzy skupieni przy ognisku coś szeptali między sobą. Naraz jeden z nich powstał i począł skradać się ku wyjściu.

Lekko uchylił zasłony. Po chwili wymknął się z wigwamu. Upłynęło sporo czasu zanim powrócił. Był bardzo podniecony. Przykucnął przy swym towarzyszu przy ognisku i za pomocą mowy znaków oznajmił:

- Nikt nas nie pilnuje. Nikogo nie ma w pobliżu. Kobiety są w swoim wigwamie. Po zachodniej stronie obozu zauważyłem tylko jednego wartownika. Oto co znalazłem!

Położył na ziemi nóż o żółtawym, miedzianym ostrzu* [przyp.: 4000 lub 3000 lat temu w zachodniej części Wielkich Jezior - od północnego Illinois do Jeziora Górnego, gdzie miedź

występuje w stanie rodzimym, Indianie zaczęli kuć, szlifować i kształtować kawałki surowej miedzi. Wyrabiali z niej ozdoby, groty do strzał, noże, szydła, dłuta i siekiery. Poznali także proces hartowania i byli pierwszymi obróbkarzami metalu w Ameryce, a może i na świecie.

Rozwinęli w Ameryce Północnej okres zwany Old Copper Culture (Kultura starej miedzi).

Później obróbka miedzi została zaniechana i tylko niektóre grupy Indian nadal wytwarzały z niej noże, małe szydła i ozdoby aż do czasów historycznych w Ameryce.] i drewnianej rękojeści.

Lisy uważnie obejrzeni broń, wymieniając porozumiewawcze spojrzenie. Potem ten, który powrócił ze zwiadu, odezwał się do Tehawanki mową znaków:

- Zbliź się do nas, młody bracie!

Tehawanka przysiadł przy ognisku.

- Czy rozumiałeś, co mówiłem memu bratu? - ponownie zapytał Lis.

- Zrozumiałem - odparł Tehawanka również posługując się mową znaków. Spojrzał na znaleziony nóż i dodał: - Otrzymałem go dzisiaj rano do pracy.

Jeńcy z plemienia Lisów wymienili porozumiewawcę spojrzenia, po czym zwiadowca znów rzekł:

- Wiemy o tym. Nóż posiadał szczerbę w połowie ostrza, taką samą jak ten. Co z nim uczyniłeś?

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter
<http://www.processtext.com/abclit.html>

- Po pracy oddałem go Mish'wa wakowi.

- Może go zgubił lub zapomniał - mówił Lis.

- Nie, on go nie zgubił - zaprzeczył Tehawanka. - Chce, żebyśmy uciekali stąd! Jestem tego pewny.

Lisy znów spojrzeli po sobie. Gniew błysnął w ich oczach.

- Chcesz nas wprowadzić w błąd lub też Wielki Duch pomieszał ci zmysły - odezwał się najstarszy z nich. - Może Ah'mik i jego córka, u których mieszkasz, ci sprzyjają, ale ten Czipewej nienawidzi nas i ciebie.

- Dlatego chce, żebyśmy uciekali. Wtedy nas zabije! - powiedział Tehawanka.

Starszy Lis rozmyślał przez chwilę, po czym rzekł:

- Tak może być. Chcą zachęcić nas do ucieczki, a sami czają się w ukryciu. Dziwnie zachowywali się dzisiaj. Dlaczego część mężczyzn odeszła?

- Mogli potem nieznacznie powrócić - poddał zwiadowca Lisów.

- Dlaczego Mish'wa wak chciałby zabić ciebie? - zapytał najstarszy z Lisów. - Wiemy, że Ah'mik zamierza uznać cię za syna. Co powiesz na to, Wahpekute?

Tehawanka w milczeniu spoglądał na Lisów. Niedowierzali mu. W obozie Ah'mika korzystał z większej swobody niż oni. Nie wiedzieli, po czyjej jest stronie. Musiał im to powiedzieć.

Dakotowie nieraz sprzymierzali się z Lisami i Saukami przeciwko Czipewejom.

- Słuchajcie, moi bracia! - rzekł mową znaków. - Czipewejowie dwukrotnie napadli niedawno na naszą osadę. Zabrali żywność. Przed zimą wszyscy Wahpekute wyruszyli na polowanie na bizona. W osadzie pozostali tylko starcy i niezdolni do marszu. Ja opiekowałem się nimi.

Nadeszły zawieje śnieżne. Myśliwi nie powracali, umieraliśmy z głodu. Wyruszyłem sam na łowy. Zaskoczyła mnie śnieżnica. Schowałem się w pniu wiązu. Potem ujrzałem baribala.

Rozpocząłem walkę. Wtedy Czipewejowie wzięli mnie nieprzytomnego do niewoli. Chciałem zabić Ah'mika jego własnym nożem, ale po uderzeniu przez niedźwiedzia byłem już zbyt słaby.

Córka Ah'mika mówi, że on chce uznać mnie za syna. To dobra dziewczyna, lubię ją.

- Czy ty chcesz przystać do Czipewejów? - zapytał najstarszy z Lisów.

- Moim braciom również mają to zaproponować - odparł Tehawanka.

- Wiemy o tym, ale najpierw ty, Wahpekute, powiedz, co zamierzasz.

- Przrzekłem ceniom duchów, że pomszczę śmierć ojca, który zginął z, rąk Czipewejów.

- My również nienawidzimy Czipewejów. Czy jesteś pewny, że dzisiaj chcą urządzić na nas ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> zasadzkę?

- Tak, Mem'en gwa ostrzegła mnie przed Mish'wa wakiem. On jest zazdrosny o nią. Wie, że ona mi sprzyja.

- Wawatam! - zwrócił się starszy Lis do zwiadowcy. - Odnieś nóż tam, gdzie go znalazłeś.

Pospiesz się i bądź ostrożny. Nie warto ryzykować. Lody na jeziorze już zamieniły się w wodę.

Czekajmy cierpliwie.

- Czy moi bracia zamierzają uciekać łodzią? - zapytał Tehawanka.

- Niech mój brat o nic nie pyta. Gdy nadejdzie pora, mój brat sam wszystko zrozumie i jeśli zechce, przyłączy się do nas.

Zwiadowca wrócił niebawem.

- W obozie nadal pusto. Nóż leży na swoim miejscu - oznajmił. - Żółty nóż dobry, ale nasze noże i siekiery kupowane od „długich noży”* [przyp.: „Długimi nożami” zwali Indianie Wirgińczyków ze względu na noszone przez nich szable. Niektóre plemiona także zwały białych

„owłosionymi piersiami” i „zarośniętymi ustami”, co miało wyrażać wstręt do ludzi noszących zarost. Natomiast Arapahowie zwali białych „pajakami”, co miało oznaczać - mądrzy.] lepsze.

Nigdy się nie łamią.

Jeńcy z plemienia Lasów siedli przy ognisku obok Tehawanki. Dotychczas cała rozmowa prowadzona była za pomocą mowy znaków. Nie mogła więc być przez nikogo podsłuchana.

Teraz jednak, gdy wszystko, co miało pozostać w tajemnicy, zostało już powiedziane, starszy Lis zaczął mówić swym narzeczem algonkińskim. Podobnym posługiwali się również Czipewejowie.

Tehawanka podczas przebywania w niewoli poznał już na tyle to narzecze, że mógł włączyć się do rozmowy uzupełniając niejasności mową znaków.

- Czy moi bracia już widzieli białych ludzi? - zagadnął, słysząc zachwalanie obcej broni.

- Widzieliśmy, jeden chemokemon* [przyp.: Chemokemon - biały człowiek w języku Lisów.

Mowa o ojcu Ciaude Allouez, jezuickim misjonarzu, który w 1670 r. założył wśród plemienia Lisów misję, pragnąc nawracać ich na chrześcijaństwo.] nawet zamieszkiwał wśród Lisów -

odparł najstarszy z jeńców. - Namawiał, żebyśmy porzucili naszych bogów. Mówił, że bóg białych jest najpotężniejszy i dobry. Tylko ciężko chorzy i umierający ulegali namowom, bo obiecywał im, że od razu pójdą do Krainy Wiecznej Szczęśliwości.

My jednak wolimy swoich bogów, którzy obdarzają nas siłą do walki z nieprzyjaciółmi. Bóg chemokemonów nie kocha Lisów, skoro pozwala im dostarczać broń Czipewejom, naszym wrogom. Nasi bogowie zniszczą Ziemię, a plemię Lisów znów będzie stanowiło pierwszych ludzi w nowym świecie, jak to było dawniej.

- Czy mój brat chce powiedzieć, że Lisy byli pierwszymi ludźmi na Ziemi? - zdumiał się Tehawanka, bowiem Czerwony Pies nigdy mu o tym nie mówił.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter
<http://www.processtext.com/abclit.html>

- Powiem ci, mój młody bracie, jak to było - rozpoczął najstarszy z Lisów. - Gdzieś daleko poza Ziemią, tak daleko, że nikt nie zdołałby tam dojść, znajduje się kraina, w której zawsze panuje zima. Tam właśnie mieszka Wisaka.

W zamierzonych czasach Wisaka ze swoim młodszym bratem mieszkali na Ziemi. Bogowie jednak zwołali naradę i postanowili zabić obydwóch braci Zabili młodszego, ale starszy, Wisaka, zdołał uniknąć śmierci. Wtedy bogowie chcieli zgładzić go za pomocą ognia, a gdy i to się nie udało, zesłali na Ziemię wielką powódź. Roztropny Wisaka wspiął się na wysokie drzewo, które rosło na wierzchołku góry. Wtedy w pobliżu pojawiło się kanu. Wisaka wsiadł do łodzi i pływał

po wodzie. Następnie turkawka przyniosła mu kilka gałązek, a piżmoszczur trochę błota. Wisaka ulepił z błota kulkę, zatknął w nią gałązki i wrzucił do wody. Z kulki tej powstała Ziemia, taka, jaką ją dzisiaj znamy.

Wisaka stworzył wszystko, co znajduje się na Ziemi. Człowieka również. Lisy byli tymi pierwszymi ludźmi i mieszkali na brzegu morza. Pewnego razu z wód morza wyszła ogromna ryba o ludzkiej głowie. Za nią wyszły także inne ryby i idąc przemieniły się w ludzi. Ci ludzie utworzyli wspólnotę i zamieszkali w pobliżu Lisów, naśladowując wiernie ich sposób życia.

Gdy Wisaka stworzył Lisów byli oni czerwoni jak krew. Mieszkali między bogami i sami byli bogami. Dopiero później zaczęli oddalać się od bogów i wtedy również zmieniał się świat, na którym żyli.

Potem z morza wyszli chemokemon. Odbierają ziemię Indianom. Zwierzęta i ptaki zaczynają zanikać. Bogowie czuwający nad Ziemią smucą się i kiedyś ją zniszczą. Świat powstanie na nowo i Lisy staną się takimi, jakimi byli, gdy stworzył ich Wisaka.

Tehawanka w skupieniu wysłuchał opowieści o stworzeniu świata i Lisów, po czym zaczął

wypytywać o białych ludzi, przed którymi czuł niemal zabobonny lęk.

Lisy od dość dawna już stykali się z białymi. Opowiadali więc o różnych niezwykłych przedmiotach posiadanych przez białych, o broni palnej, stalowych nożach i siekierach, które wypierały dawne indiańskie maczugi. Z zachwytem wprost mówili o koniach. Fascynowała ich szybkość, siła i inteligencja tych zwierząt oraz wielka przydatność tak do polowań na preriach, jak i do walki.

Tehawanka oszołomiony fantastycznymi opowiadaniem, cicho zawołał:

- Wszystko bym oddał za takiego sunka wakan! Wtedy mógłbym ścigać białych, aż do wielkiej wody, z której przyszli do nas! Nienawidzę ich!

- Indianin i sunka wakan uzupełniają się, każdy z nas gotów jest do wielkich poświęceń, aby go zdobyć - przyznał Lis. - Przystań do nas, młody bracie, a dostaniesz sunka wakan, gdy będziesz chciał wyruszyć na wojenną ścieżkę. Każdy Lis może otrzymać konia od naszych sprzymierzeńców, Sauków.

- Dlaczego Saukowie dają wam sunka wakan? - nie dowierzał Tehawanka.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter
<http://www.processtext.com/abclit.html>

- Aby potem na zabawach i uroczystościach mogli wychwalać swą wspaniałomyślność -

wyjaśnił Lis, uśmiechając się do młodzieńca. - Mają do tego prawo, gdyż znaczą krwią przyjmującego od nich sunka wakan.

- W jaki sposób to się odbywa? - dopytywał się Tehawanka, który od dawna marzył o posiadaniu konia.

- Opowiem memu bratu. Gdy wojownikom Lisów brakuje koni na wojenną wyprawę, wtedy wysyłają wiadomość do swych braci Sauków, że przybędą nazajutrz o ustalonej porze „wypalać” określoną ściśle liczbę koni. Następnego dnia udają się w kierunku osady Sauków i w pobliżu niej, obnażeni do pasa, siadają kołem na ziemi zwróceniem twarzami do siebie. Każdy z Lisów zaczyna palić fajkę. Wkrótce pełnym galopem nadjeżdżają Saukowie. Jest ich akurat tylu, o ile koni proszą Lisy.

Saukowie w pełnym pędzie nadjeżdżają. Każdy z nich trzyma w ręku ciężki, długi bicz.

Zataczają coraz węższe koło wokół palących fajki i każdy jeździec wybiera sobie tego, któremu zechce ofiarować swego konia. Potem galopując wokół palących fajki, za każdym razem gdy mijają wybrańca, biczem uderza go z rozmachem w plecy. Trwa to tak długo, dopóki po plecach proszącego nie popłyną strugi krwi. Wtedy Sauk natychmiast zatrzymuje rumaka, zsiada z niego i uzdę wraz z biczem wręcza Lisowi, mówiąc: Jesteś żebrakiem, ofiaruję ci konia, ale za to będziesz nosił mój znak na swoich plecach. Proszący płaci więc za konia przyjęciem razów bicia i szramą, a ofiarodawca daje dowód, iż stać go na taki dar w zamian za wyrznięcie swego znaku na plecach

proszącego oraz nabywa prawo do wychwalania swej wspaniałomyślności podczas tańców i innych ważniejszych okazji.

Ten starodawny zwyczaj zwie się „wypalaniem koni”* [przyp.: Stary, interesujący zwyczaj istniejący wśród plemienia Lisów i Sauków zaobserwował i opisał George Catlin, malarz i podróżnik amerykański, który w latach 1830- 1837 zwiedził niemal całą Amerykę Północną i przebywał wśród różnych plemion indiańskich. Catlin wykonał wiele rysunków i szkiców z życia Indian o pewnej wartości etnograficznej, choć przedstawiających ich w sposób nieco wyidealizowany. Jako pierwszy biały opisał czerwony kamień pochodzący z kamieniołomu w Pipestone w Minnesocie, z którego Indianie wykuwali główki do swych fajek pokoju, otaczanych największą czcią. Czerwony kamień otrzymał nazwę „Catlinit”, chociaż Catlin nie był pierwszym białym, który widział ów kamieniołom.] - zakończył Lis. - Teraz prześpijmy się, późno już.

Tehawanka leżał na pościeli, lecz nie mógł zasnąć. Nie był pewny swego bezpieczeństwa.

Mish’wa wak chciał się go pozbyć i teraz tylko czekał na odpowiednią okazję. Przecież Mem’en gwa ostrzegła, czyżby wiedziała, co zamierzał uczynić Mish’wa wak?

Tehawanka leżał na pościeli i wciąż gubił się w domysłach. Jednocześnie wsłuchiwał się w nocne odgłosy. Oddechy Lisów milkły czasem, może także czuwali i nasłuchiwali?

Wreszcie przez szczelinę u dołu zasłony wejściowej ukazało się różowawe światło. Już świtało.

Tehawanka odczuł ulgę. Noc pełna niepewności minęła nareszcie.

Naraz w wigwamie pojaśniało. Tehawanka ujrzał Mish’wa waka. Jednym szarpnięciem odsunął

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> zasłonę. Pochylony stał w wejściu trzymając w prawej dłoni nóż. Poranne promienie słońca załamywały się na żółtawym ostrzu. Gniewnym spojrzeniem wodził od pościeli do pościeli. Na pewno liczył jeńców.

Tehawanka nie wykonał najmniejszego ruchu, ale sprężył się w sobie, gotów do skoku. Mish’wa wak na nim zatrzymał swój wzrok. Widać było, jak mocniej zaciska dłoń na rękojeści noża. W tej wszakże chwili jeńcy z plemienia Lisów, jak na komendę, powstali z pościeli.

Mish’wa wak odetchnął głęboko, wyraz napięcia zniknął z jego twarzy. Może zrozumiał, że jeńcy przejrżeli jego podstępne zamiary. Nie odważył się na jawną zaczepkę mając trzech przeciwników przeciwko sobie.

- Szykować się do drogi! - rzucił rozkaz gardłowym głosem i odszedł.

Wtedy najstarszy z Lisów rzekł:

- Nasz młody brat nie mylił się, ten czipewejski pies chciał sprowokować nas do ucieczki.

- Byłem pewny, że rzuci się na mnie - powiedział Tehawanka.

- Tylko moi bracia powstrzymali go od napaści. Dziękuję za pomoc.

- Musimy trzymać się razem - odparł Lis. - Teraz Mish'wa wak na pewno nam wszystkim poprzysiągł zemstę.

W obozie panował już gwar i ruch. Kobiety zwijały płaty kory, którymi były kryte wigwamy, zносиły je do łodzi, pakowały kadzie z syropem klonowym i gotowały posiłek.

Tehawanka odszukał Mem'en gwa. Pochyliła się nad kociołkiem buchającym parą. Gdy ujrzała Tehawankę uśmiechnęła się do niego. Podszedł do niej nie widząc nigdzie Mish'wa waka. Wtedy dziewczyna szepnęła:

- To była straszna noc, bałam się o ciebie...

- Dzięki ostrzeżeniom Mem'en gwa przejrzałem podłe zamiary Mish'wa waka - odparł Tehawanka. - Spotkał go zawód. Gdy rano wszedł do wigwamu omal nie rzucił się na mnie. Obecność Lisów go powstrzymała. Byli po mojej stronie.

Mem'en gwa słysząc to zatrwożyła się i szepnęła:

- Im również za bardzo nie ufaj. To nie tylko wrogowie Czipewejów, lecz także i Wahpekute.

Przecież często walczyacie ze sobą!

- Pamiętam o tym, będę ostrożny.

Przenoszenie sprzętu na brzeg odnogi jeziora potrwało do popołudnia. Toteż dopiero przed ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> samym zapadnięciem zmierzchu wyprawa dotarła do głównego obozu.

Tehawanka zmęczony bezsennością nocą i niezwykłymi przeżyciami zasnął natychmiast, gdy tylko znalazł się w dawnym wigwamie. Gdy przebudził się, był już następny ranek. Tuż przed południem do wigwamu wbiegła Mem'en gwa.

- Mam ważne nowiny dla ciebie - wypowiedziała jednym tchem. - Rada starszych plemienia wzywa cię na rozmowę. Ojciec mój od wczesnego ranka naradzał się z Mish'wa wakiem. Nie wiem, o czym rozmawiali, ale chwilami głosy ich były niezbyt przyjazne. Przypuszczam, że była mowa o mnie i o tobie.

- Czy Ah'mik wie o zasadzce urządzonej na mnie przez Mish'wa waka? - zapytał Tehawanka.

- Wieczorem opowiedziałam o tym matce, ale tak, żeby słyszał to Ah'mik.

- Kiedy mam stanąć przed radą starszych?

- Zaraz, chodź, nie powinni czekać!

Tehawanka pospieszał za dziewczyną pełen niepokoju. Teraz miał się rozstrzygnąć jego dalszy los. Serce biło mu w piersi jak młot, bowiem obawiał się śmierci przy palu męczarni. Nie mógł przystąpić do Czipewejów, ponieważ zaprzysiął Duchowi Opiekuńczemu walczyć z nimi.

Obecnie całą siłą woli starał się zapanować nad sobą, aby wrogowie nie mogli odgadnąć, że przeraża go myśl o męczarniach.

- Tutaj czekają na ciebie - usłyszał głos Mem'en gwa.

Sam wszedł do najobszerniejszego w obozie wigwamu. Po raz pierwszy znalazł się w wigwamie Ah'mika, który zarazem był miejscem obrad rady starszych. Na wprost wejścia w głębi siedzieli na zwierzęcych skórkach członkowie rady starszych. W środku półkola ujrzał Ah'mika przybranego w uroczysty strój wojenny. Jego twarz ubarwioną cynobrem przecinał przekątny zielony pas, który zaczynał się na prawej skroni i kończył na boku lewej szczęki. Głowę jego zdobił sterzący, półkolisty pióropusz z pojedynczym indyjskim piórem. Jak zwykle w ważnych okolicznościach Ah'mik nosił zawieszane na piersi swe zawiniątko ze świętymi przedmiotami.

W rękach opartych na kolanach trzymał fajkę pokoju o pięknie zdobionym cybuchu.

Przy lewym boku Ah'mika, od strony serca, siedział szaman - czarownik. To on właśnie wypędził złego ducha dręczącego chorego Tehawanę. Tak jak wówczas, lisia skóra okrywała jego głowę, z której boku zwisały łapy z ostrymi pazurami. Kolorowe pasy pokrywające twarz przypominały o nadprzyrodzonej mocy szamana. On również nosił na piersiach zawiniątko ze świętymi przedmiotami. Prawą dłoń opierał na płaskim, magicznym bębenku, za pomocą którego porozumiewał się z duchami, natomiast w lewej trzymał wielką grzechotkę.

Pozostałych czterech członków rady starszych plemienia także nosiło uroczyste stroje i odznaki wojenne.

Radę starszych oddzielało od jeńca żarzące się ognisko, którego odblaski migotały w ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> poważnych, surowych twarzach. Młody Tehawanka mimo woli czuł się onieśmielony. Nie był

jeszcze wojownikiem i nie posiadał sławnego nazwiska. Poczul się dopiero nieco pewniej, gdy do wigwamu wprowadzono jeńców z plemienia Lisów. Stanęli obok niego.

Przez pewien czas ciszę w wigwamie mącił jedynie trzask płonącego chrustu. Wreszcie przemówił Ah'mik:

- Na polecenie obecnej tu rady starszych naszego plemienia mam jeńcom oznajmić jej postanowienie.

Mówił wolno, wyjaśniając jednocześnie obcym swe słowa mową znaków.

- Potężny naród Czipewejów żył niegdyś daleko na wschodzie nad wielką wodą. Wtedy nie byliśmy zmuszeni walczyć ani z plemieniem Lisów i Sauków, ani z Dakotami. Nasza wspólna wielka ziemia

niała dosyć miejsca dla nas wszystkich. Przybyli biali ludzie i zabrali nam naszą ziemię. Ich wielki biały ojciec zza wielkiej wody zawarł z Czipewejami przymierze. Przysłał

tutaj wiele swoich czerwonych kurtek* [przyp.: Czerwonymi kurtkami zwali Indianie żołnierzy francuskich, a wielkim białym ojcem francuskiego króla. Natomiast żołnierzy angielskich nazywali niebieskimi kurtkami (od niebieskich mundurów), a królową angielską - wielką matką.], aby strzegli pokoju. Czerwone kurtki posiadają broń, która zabija z daleka. Musieliśmy ustąpić.

Przybyliśmy tutaj między obce plemiona indiańskie. Musimy walczyć o tereny łowieckie i miejsce dla naszych wigwamów, ale gdy cichną wojenne okrzyki zapominamy o krzywdach i gotowi jesteśmy przebaczyć przelaną krew naszych braci.

Plemiona Lisów i Sauków oraz Santee Dakotowie są naszymi nieprzejednanymi wrogami.

Sprzymierzają się nawet z niebieskimi kurtkami wielkiej matki zza wielkiej wody, która walczy z naszymi francuskimi sprzymierzeńcami. Nasze wojenne ścieżki wciąż się krzyżują. Kobiety czipewejskie wciąż oplakują poległych mężów, braci i ojców. Krzywda ich musi być wynagrodzona.

Bracia z plemienia Lisów i Sauków i bracie z plemienia Santee Dakotów, słuchajcie, co postanowiła rada starszych.

Jeżeli jeńcy zechcą przystąpić do plemienia Czipewejów, zostaną przez nas z radością przyjęci.

Uznamy ich za naszych braci i wszystko, co posiadamy będzie należało również do nich, a to, co oni będą mieli, będzie również nasze. Sytość, głód, radość i smutki będą wspólne i nikt nie wypomni im, że byli kiedyś naszymi wrogami.

Jeśli jednak jeńcy odrzucą naszą propozycję, uszanujemy ich wolę. Ceniśmy męstwo i odwagę.

Damy więc im możliwość udowodnienia jeszcze raz swego męstwa i pogardy śmierci. Zginą przy palu męczarni.

Tak postanowiła rada starszych naszego plemienia.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Bitwa na jeziorze

Ah'mik umilkł na chwilę, aby słowa jego głęboko zapadły w serca jeńców. Szaman, który siedział po lewej stronie wodza, wolno uniósł głowę do góry, lekko odchylił ją do tyłu i przymknął oczy. Twarz jego zszarzała, zastygła w bezruchu. Palce dłoni wspartej na napiętej skórze bębna poczęły drżeć nieznacznie. Cichy, głuchy z początku poszum poniósł się po wigwamie, chwilami potężniał, to znów przycichał. Mogło wydawać się, że ptaki nadlatują i przysiadają we wnętrzu wigwamu.

Członkowie rady starszych w wielkim skupieniu nasłuchiwali i zatapiali poważne spojrzenia w skamieniałej twarzy szamana. Jeńcy zatrwożeni cofnęli się nieco do tyłu. Szaman przywoływał duchy zmarłych przodków, aby swą obecnością potwierdziły szczerą intencję rady starszych.

Grzechotka wysunęła się z dłoni szamana. Wyciągnął rękę w kierunku ogniska. Gdy wolno podnosił ją do góry płomienie wydłużały się, opływały wokół jego dłoni, podążały za nią, a gdy opuszczał w dół, niknęły w spopielonym chruście.

Potężne czary wywarły wielkie wrażenie na wszystkich. Tehawanka od dawna już świadom był niezwyklej mocy niektórych wielkich szamanów. Jego dziadek, Czerwony Pies, podczas uroczystych obrzędów potrafił z gołej dłoni wyrzucać iskry ognia. Natomiast czipewejski szaman to pogrązał wigwam w półmroku to znów napełniał go żółtawoczerwonym odblaskiem.

Obecnie wolno wznosił swą dłoń do góry. Płomienie posłusznie podążały za nią napełniając wigwam jasnością. Tehawanka z zapartym tchem śledził potężniejące płomienie. Nagle szarość pokryła jego twarz.

Ah'mik opierał się plecami o trójnog, na którym zawieszane były jego największe trofea wojenne. Jasny odblask właśnie padł na tarczę umieszczoną pośrodku trójnogu. Na niej wisiało zawiniątko ze świętymi przedmiotami. Tehawanka, śledząc wzrokiem płomienie, ujrzał tarczę.

Czarodziejski znak słońca i błyskawicy wymalowany na niej oraz trzy niedźwiedzie pazury umocowane w dole sprawiły, że dech zamarł w piersi jeńca. Zawiniątko ze świętymi przedmiotami również posiadało te same święte znaki. Tarcza i zawiniątko należały do jego ojca i zostały zabrane przez tego, który go zabił.

Tehawanka jak w letargu wpatrywał się w świętości. Zacisnął szczęki z taką siłą, że aż mięśnie drżały w jego twarzy. Prawa dłoń uniosła się do pasa. Gdyby w tej chwili natrafiła na rękojeść noża, bez wahania zabiłby Ah'mika. Na szczęście dłoń nie znalazła broni. Gdyby mógł oderwać wzrok od uświęconej tarczy, ujrzałby wiszący poniżej zdobyczny tomahawk o stalowym ostrzu.

Jednak zanim to nastąpiło, wigwam znów pogrążył się w półmroku.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Nikt nie zwracał uwagi na Tehawanke, bowiem wielki szaman uniósł powieki i zmęczonym głosem rzekł:

- Widziałem krew zmieszana z wodą... Słyszałem zwycięskie okrzyki. To były okrzyki Czipewejów...

Członkowie rady starszych poruszyli się ożywieni nieoczekiwaną, pomyślną wróżbą. Zwycięzcy są skłonna do wspaniałomyślności, toteż Ah'mik przychylnym wzrokiem spojrział na jeńców i odezwał się:

- Moi bracia z plemienia Lisów i Wahpekute słyszeli już postanowienie rady starszych. Słyszeli też pomyślną dla nas wróżbę. Dzisiaj rozpoczynamy uroczystości Midewiwin. Moi bracia mają dwa wieczory czasu do namysłu. Potem moi bracia przyjdą tutaj i dadzą swą odpowiedź radzie starszych. Skończyłem, a teraz odejdźcie i rozważcie, co wam powiedzieliśmy.

Tehawanka pociągnięty za ramię przez jednego z Lisów wyszedł z wigwamu. Był tak wzburzony, że nie wiedział, co się dzieje wokół niego. Jeńcy z plemienia Lisów z trudem kryli zmieszanie.

Widocznie przepowiednia szamana zaniepokoiła ich, niepewnie spojładali po sobie.

Zaraz też zniknęli w swoim wigwamie.

Tehawanka szedł wprost przed siebie, nie zastanawiając się, dokąd idzie. Nieoczekiwane odnalezienie tarczy ojca i jego zawiniątka ze świętymi talizmanami było silnym wstrząsem, zapomniał o wszystkim innym. Znalazł się na brzegu jeziora nie wiedząc nawet o tym. Dopiero gdy zimna fala zmoczyła jego mokasyny przystanął, a potem zaczął iść wzdłuż brzegu. Obóz pozostawał w dali... Wielkie głązy zagroziły mu dalszą drogę. Rozejrzał się półprzytomnym wzrokiem. Pomiędzy dwoma głązami bieleł się nadbrzeżny piasek. Miejsce było osłonięte od wiatru i suche. Tehawanka zwałił się na ziemię i legł na plecach.

Na błękitie popołudniowego nieba bieleły się strzępiaste chmurki. Tehawanka bezwiednie zaczął śledzić ich lot. Przypominały mu wielkie, wspaniałe ptaki. Przywiodły mu one na myśl Ducha Opiekuńczego, który ukazywał mu się pod postacią orła.

„Przyrzekłem Duchowi Opiekuńczemu, że pierwszą wojenną wyprawę odbędę do osad Czipewejów, aby pomścić śmierć ojca oraz zdobyć dla niego zawiniątka ze świętościami i tarczę Czipeweja. Wydało mi się, że Duch Opiekuńczy sprzyjał moim zamysłom - rozmyślał

Tehawanka. - Kim byli pierwsi ludzie, których napotkałem zaraz po opuszczeniu kryjówki? Byli to Czipewejowie. Czyż nie jestem z nimi na wojennej ścieżce, skoro chciałem jednego z nich ugodzić nożem? Może Wielki Duch pozbawił mnie wtedy mocy i przytomności, abym mógł

odnaleźć tarczę i zawiniątka ze świętościami mego ojca. Wszchemocny Wi, ześlij mego Ducha Opiekuńczego, aby wskazał mi, co mam czynić! Duchu Opiekuńczy, wzywam cię!” Leżąc na ziemi modlił się i czekał... W ciszy pustkowie łagodny poszum fal jeziora łagodził jego wzburzony umysł. Przez jakiś czas śledził wzrokiem lot strzępiastych chmur, czasem jakiś ptak zawisł nad nim na chwilę, a potem odlatywał dalej. Niezwykłe przeżycia wyczerpały Tehawanę.

Oddech jego stawał się coraz bardziej miarowy, aż wreszcie zamknął powieki...

W dali na niebie ukazał się złocisty punkt, płynął w powietrzu, przybliżał się coraz bardziej.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Nadlatywał olbrzymi złocisty orzeł. Gdy znalazł się w górze nad Tehawanką zatoczył duże koło, po czym łagodnym, cichym lotem osiadł na głązie tuż nad jego głową. Oczy orła nabiegłe krwią rzucały iskrzące spojrzenie.

„Wzywałeś mnie, więc przybyłem” - usłyszał Tehawanka.

Od razu rozpoznał swego Ducha Opiekuńczego. Zaraz też złożył mu głęboki pokłon i rzekł:

„Dzięki ci. Duchu Opiekuńczy! Wskaż mi drogę, którą mam pójść. Dzięki tobie odnalazłem magiczną tarczę ojca, która osłaniała go przed ciosami wrogów i zawiniątka ze świętymi talizmanami. Odnalazłem też zabójcę. Powiedz, w jaki sposób najlepiej ukoję smutek ojca?” Iskrzące spojrzenie

orła przenikało Tehawankę do głębi duszy. Naraz wspaniałą ptak wolno wznosił w górę szeroko rozpięte skrzydła, bezgłośnie zatrzepotał nimi w powietrzu i rzekł:

„Oto odpowiedź!”

Z dala zbliżało się olbrzymie stado wędrownych gołębi. Było ono tak wielkie, że gdy przelatywało nad Tehawanką przyćmiło na jakiś czas blask słońca. Stado gołębi* [przyp.: Amerykański gołąb wędrowny (*Ectopistes migratorius*) aż do połowy XIX w zamieszkiwał

Amerykę Północną od Zatoki Hudsona po Zatokę Meksykańską i od Gór Skalistych po wybrzeża wschodnie. W czasie przelotów w poszukiwaniu żeru stada amerykańskich gołębi wędrownych były tak olbrzymie, że nieraz przysłaniały słońce, a gałęzie drzew, na których osiadały, łamały się pod ich ciężarem. Ostry kał tych gołębi niszczył lasy na dużych przestrzeniach, czyniły więc duże szkody tak w lasach, jak i na polach. Obecnie gołębie te wyginęły już całkowicie.] poczęło rozpierzchać się na wszystkie strony. To goniona przez gołębie drapieżna sowa spowodowała popłoch. Przywiedziona do ostateczności, uderzyła na stado, chwyciła jednego gołębia w swe szpony. Gołębie próbowały zmusić drapieżnika do porzucenia łupu. Z kłębowiska wirującego w powietrzu wypadały wyrwane pióra, potem sowa przebiła się z łupem w szponach poniżej stada i odfrunęła w kierunku pobliskiej puszczy.

Tehawankę z zapartym tchem spoglądał - w niebo. Trzepot skrzydeł i krzyk ptaków nie milkły ani na chwilę. Spojrzał na wielki głaz. Nie było już na nim złocistego, wspaniałego orła, pod postacią którego pojawiał się Duch Opiekuńczy. Pozostały tylko wędrowne gołębie. Poczęły formować stado do dalszego lotu. Potem nad jeziorem znów zapanowała cisza, mącona jedynie poszumem fal.

Tehawankę usiadł. Niepewnym wzrokiem rozglądał się wokoło. Nie opodal na piaszczystym wybrzeżu bielilo się kilka gołębih piór, a wśród nich jedno większe, ciemniejsze. Tehawankę podniósł się, by pozbierać znaki pozostawione przez Ducha Opiekuńczego. Najpierw z należąną czcią podniósł pióro sowy. Sowy i orły były na Ziemi posłańcami Wielkiego Ducha. One to razem z orłami podpatrywały ludzi i donosiły mu, jak się zachowują. W ten sposób Wielki Duch dowiadywał się o wszystkich dobrych i złych uczynkach ludzi, ponieważ orły swoim wszystko widzącym wzrokiem podpatrywały ich podczas dnia, a sowy doskonale widziały w nocy.

Nie było niczym dziwnym, że gołębie w dzień atakowały nocnego drapieżnika. Tysięczne stado wędrownych gołębi musiało podczas osiadania na odpoczynek natrafić na sowę. Wszystkie ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> dzienne ptaki nienawidzą nocnych drapieżników i gdy je napotkają atakują na oślep, nie zważając na niebezpieczeństwo. Tak zapewne było i tym razem, jednak Tehawankę nie odróżniał

snów i majaczeń od rzeczywistości. Dla niego stanowiły one jedno ciągłe pasmo rzeczywistego życia. Toteż obecnie pragnął jedynie odgadnąć, co miał oznaczać znak dany przez Ducha Opiekuńczego.

Tehawankę stał i rozmyślał, wpatrując się w znalezione pióra. Gołębie prowadziły wędrowny tryb życia, czym mogły przypominać Czipewejów. Atakowały sowę. Kim mogła być sowa?

Naraz olśniła go pewna myśl. W zawiniątku ze świętymi przedmiotami ojciec jego posiadał skrzydło sowy. Czyżby więc sowa nie mogła symbolizować Dakotów osaczanych przez Czipewejów? A może sową był jego ojciec? Chyba jednak nie o ojca chodziło, gdyż poległ on w walce, a sowa umknęła gołębiom i w dodatku porwała jednego z nich.

Tehawką spojrzął w niebo.

„To ja byłem sową. Mam umknąć z niewoli i porwać Czipeweję. Kogo mógłbym uprowadzić?”

- rozmyślał.

Teraz dopiero spostrzegł, że jest sam na pustkowiu. W dali, o kilkanaście strzałów z łuku w kierunku zachodnim, widać było obóz Czipewejów rozłożony nad jeziorem.

Tehawką zdumiony podejrzliwie spoglądał wokoło. Nie wiedział, w jaki sposób się tu znalazł.

Czy nikt go nie śledził tutaj na pustkowiu, gdy rozmawiał z Duchem Opiekuńczym? Czyżby nikt nie spostrzegł jego wyjścia z obozu?

Rozglądał się wokoło, ale nie zauważył niczego podejrzanego. Tymczasem słońce już chyliło się ku zachodowi. Tehawką szybkim krokiem zaczął iść ku obozowi.

Tymczasem w pewnej odległości za nim, skrycie podążał Czipewej uzbrojony w broń palną.

Był to Mish'wa wak, gniewny i trawiony zazdrością. Tego właśnie ranka rozmawiał z Ah'mikiem. Rozmowa nie była przyjemna. Mem'en gwa powiedziała ojcu o wydarzeniach podczas zbierania soku klonowego. Prawdą było, że Mish'wa wak umyślnie stworzył warunki, w których jeńcy mogli spróbować ucieczki. On wszakże z ukrycia śledził ich poczynania. Czy chciał sprowokować do ucieczki i zabić? Sam nie mógł odpowiedzieć, co by uczynił. Pragnął

pozbyć się Tehawanki, któremu Mem'en gwa tak bardzo sprzyjała. Może nawet pozwoliłby mu umknąć, ścigając przede wszystkim Lisów?

Ah'mik czynił mu ostre wyrzuty. Miał swoje plany wobec młodego Wahpekute, a Mish'wa wak mógł je samowolnie udaremnić. Imię Mem'en gwa nie padło ani razu podczas porannej rozmowy, choć Ah'mik domyślał się pobudek działania Mish'wa waka. Chcąc zapobiec dalszym niespodziankom, zwołał radę starszych plemienia, by zdecydowała o losie jeńców.

Mish'wa wak nie był członkiem rady starszych, wiedział jednak, jakie powzięła postanowienie.

Jeśli jeńcy przystąpią do plemienia Czipewejów, będą traktowani na równi z wszystkimi.

Tehawanka będzie mógł wziąć Czipewejkę za żonę. Wprawdzie matka dziewczyny sprzyjała ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> zamysłom Mish'wa waka, ale u Indian rodzice pozostawiali swoim córkom możliwość wyboru męża.

Mish'wa wak obserwował wigwam, w którym jeńcy rozmawiali z radą starszych. Od razu zauważył, że Tehawanka wyszedł stamtąd w dziwnym nastroju. Gdy opuścił obóz, Mish'wa wak wziął broń i podążył za nim.

Nie spuszczał wzroku z jeńca. Szedł za nim w pewnej odległości. Wreszcie Tehawanka położył się na ziemi w skalistej niszy. Mish'wa wak przyczał się w pobliżu i czekał. Tehawanka leżał nieruchomo, patrząc w niebo. Potem przymknął oczy.

„Czyżby zasnął? - pomyślał zdumiony Mish'wa wak. - Nie, to niemożliwe. Nikt nie śpi, gdy ma zdecydować o swoim życiu lub śmierci. Szukał samotności. A może przywołuje Ducha Opiekuńczego?”

Zaledwie ta myśl przyszła mu do głowy, zaraz opuścił strzelbę. Ostrożnie wycofywał się, aż od jeńca dzieliło go co najmniej jedno strzelenie z łuku. Wtedy dopiero przysiadł za głazem i czekał

cierpliwie. Człowiek poszukujący wizji stawał się nietykalny.

Potem Mish'wa wak widział wielkie stado wędrownych gołębi goniące sowę, jej ucieczkę z przypadkowym łupem i Tehawankę zbierającego pióra pogubione przez ptaki. Nieco zalekniony spoglądał na odlatujące gołębie. Przecież mogły to być duchy, które pod postacią ptaków przybyły na wezwanie modlącego się jeńca.

Tehawanka przyspieszał kroku wracając do domu. Zbyt długa nieobecność mogła wzbudzić podejrzenia. Mish'wa wak coraz wolniej szedł za nim.

Tehawanka znalazł się w wigwamie, zanim Mem'en gwa przyniosła pożywienie. Była bardzo wesoła.

- Teraz, gdy przystaniesz do nas, nikt nie będzie mógł ci szkodzić - mówiła. - Ah'mik i wielu naszych rozpoczęli obrzędy Midewiwin. Mish'wa wak też już tam poszedł. Opłacił swoje przyjęcie. Nie ma go tu, więc do zakończenia obrzędów możesz nie obawiać się niczego. Potem będziecie sobie równi.

- Miła z ciebie dziewczyna - odparł Tehawanka. - Nie dziwię się, że Mish'wa wak chce wziąć cię za żonę.

- Ale ja go nie chcę!

- Czy Mem'en gwa już powiedziała to swojej matce?

- Powiedziałam - potwierdziła Czipewejka.

- Czy bardzo się gniewała?

- Nie miała czasu. Matka jest na obrzędach Midewiwin.

- A co będzie później?

- Zobaczymy! - zawołała i śmiejąc się wybiegła z wigwamu.

Tehawanka pozostał sam. Nie tknął jedzenia. Błysk w oczach zdradzał jego podniecenie.

Nadeszła decydująca chwila. Wiedział, że musi umknąć z niewoli, zanim skończą się obrzędy Midewiwin. Potem miałby tylko do wyboru przystąpienie do Czipewejów lub śmierć. Duch Opiekuńczy wskazał mu, co ma uczynić, więc nie mógł postąpić inaczej.

Postanowił, że ucieknie następnej nocy. Tuż przed samą ucieczką zabierze z wigwamu Ah'mika tarczę ojca i zawiniątko ze świętymi przedmiotami, stamtąd weźmie także jakąś broń. Kogo jednak mógłby uprowadzić? Na pewno nie obejdzie się bez walki, a do osady Wahpekute czekała go daleka droga. Może mógłby obezwładnić jednego ze strażników strzegących obozu?

Czipewejowie przed udaniem się do tajnego wigwamu na obrzędy Midewiwin na pewno pomyśleli o zabezpieczeniu.

„To dobra myśl - szepnął. - Zaskoczę strażnika, zmuszę, aby poszedł ze mną. Jeśli nie zechce, zabiję i wezmę skalp. Zabiorę jego duszę”.

Tehawanka położył się, lecz wzburzone myśli długo nie pozwalały mu zasnąć. Już od dawna obmyślił plan ucieczki, teraz jednak, gdy wreszcie nadszedł sposobny czas, sytuacja uległa zasadniczej zmianie. Nawet samotna ucieczka z niewoli nastęczała wiele nieprzewidzianych niebezpieczeństw, a cóż dopiero porwanie i uprowadzenie kogoś z Czipewejów. Czy w tych warunkach ucieczka miała szansę powodzenia? A może Duch Opiekuńczy chciał wskazać mu drogę do zaszczytnej śmierci?

Myśl ta sprawiła, że Tehawanka począł się uspokajać, a nawet odczuł pewną dumę. Wszak od chłopięcych lat przysłuchiwał się opowiadaniom uwielbianego Czerwonego Psa oraz innych sławnych wojowników, że jedynie odwaga i brawura stanowiły najlepszą drogę do osiągnięcia wyróżnień i zaszczytów. Śmierć w młodym wieku podczas bitwy okrywała sławą.

Oczyma wyobraźni widział siebie przystrojonego w piękne orle pióra. Za pomyślnie dokonaną ucieczkę i porwanie jeńca na pewno otrzymałby prawo do noszenia dwóch, a może nawet i trzech piór! Jeśli zaś zginie, zyska wieczną sławę. Czerwony Pies będzie mówił o nim z dumą...

Uspokojony i rozpodgodzony z wolna począł usypiać.

* * *

Tehawanka zbudził się, otworzył oczy. W wigwamie jeszcze panował półmrok. Zaczął

nasłuchiwać. Nie, to nie było złudzenie. Przeróżliwe okrzyki wojenne rozbrzmiewały coraz silniej od strony jeziora. Tehawanka zerwał się z posłania, poskoczył ku wyjściu.

Niebo już różowiło się na wschodzie. Z porannej mgły nad jeziorem wyłaniały się łodzie ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> płynące ku wybrzeżu. Łodzie rozciągnięte w długi szereg wypełnione były zbrojnymi ludźmi.

Niektórzy z nich klęczeli trzymając w rękach napięte do strzału łuki. Wojenne okrzyki potęgniały z każdą chwilą.

Czipewejowie wybiegali z wigwamów. Nawoływania mężczyzn, lamenty kobiet i płacz dzieci mieszały się z wyciem kundli. Wojownicy już z bronią w rękach biegli ku łodziom wyciągniętym na piaszczysty brzeg jeziora.

Tehawanka zaskoczony nieoczekiwanym widokiem spoglądał z zapartym tchem. Roziskrzonym wzrokiem patrzył na wojowników w łodziach. Natychmiast przypomniał sobie rozmowę z Lisami podczas zbierania soku klonowego. Mówili, że należy czekać cierpliwie, ponieważ lody na jeziorze już zamieniły się w wodę.

„To Lisy atakują - szepnął. - Zaskoczyli Czipewejów, przybywają z najmniej oczekiwanej strony...* [przyp.: Plemiona indiańskie zamieszkujące nad brzegami wielkich rzek i jezior dość często staczały między sobą bitwy na wodzie, które czasem przybierały rozmiary regularnych bitew „morskich”. Czipewejowie, Cree, Nenenot, Lisy i Saukowie, dzięki swym lekkim i zwrotnym kanu z brzozy kory, przeważnie zdobywali przewagę w bitwach na wodzie nad budzącymi powszechny postrach wojownikami Irokezów, którzy używali ciężkich i niezwrrotnych łodzi z kory wiązów. Wśród szkiców wykonanych około 1850 roku przez Seth Eastmana znajduje się rysunek przedstawiający bitwę na Jeziorze Górnym pomiędzy Czipewejami i Lisami.]”

Naraz w samym środku obozu rozbrzmiała bitewna wrzawa. Tehawanka pojął, że nie ma chwili do stracenia. Szybko nałożył na stopy mokasyny podarowane mu przez Mem'en gwa, chwycił

oponczę i wybiegł z wigwamu. Jeńcy z plemienia Lisów właśnie już umykali ku wybrzeżu jeziora. Dwaj Czipewejowie leżeli martwi obok ich wigwamu.

Tehawanka odgadł, że Lisy chcą rzucić się do wody i popłynąć ku swoim. Jednak kilkunastu czipewejskich wojowników już spychało kanu na jezioro, by powstrzymać wroga. Lada chwila mogli jeńcom odciąć drogę. W obozie tymczasem wzrastał zamęt. Nawoływano, aby kobiety, dzieci i starcy kryli się w lesie. Mężczyźni biegli do łodzi.

Tehawanka pojął, że każda chwila zwłoki może okazać się zgubna. Lisy przelali krew, więc gdy Czipewejowie go zauważą, gniew ich obróci się przeciwko niemu. Wbiegł między wigwamy.

Korzystając z zamieszania chciał przede wszystkim odzyskać świętości ojca. Zatrzymał się przed wigwamem Ah'mika. Szarpnięciem ręki odsłonił matę. Ujrzał tylko dwie kobiety, żonę Ah'mika i Mem'en gwa. Pakowały do skórzanych worków najcenniejsze przedmioty.

Na widok Tehawanki pierwsza żona Ah'mika krzyknęła przestraszona. Mem'en gwa cofnęła się zalękniona w głąb wigwamu. Tehawanka dłonią nakazał milczenie. Podbiegł do ściany, na której

wisiała broń. Żona Ah'mika natychmiast rzuciła się na niego, lecz silnie odepchnięta, upadła w kąt wigwamu.

Tehawanka przewiesił przez ramię kołczan z łukiem i strzałami. Potem zatknął za ramię przywiązany w pasie tomahawk o stalowym ostrzu i nóż. Tak uzbrojony przystanął przed trójnogiem z wojennymi trofeami Ah'mika. Z nabożną czcią zdjął zawiniątko ze świętymi ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> przedmiotami i tarczę ojca.

- Nie bierz tego! - cicho zawołała Mem'en gwa. - To duma Ah'mika, a on był ci życzliwy!

Tehawanka zbliżył się do dziewczyny. Zmierzył ją przenikliwym wzrokiem i rzekł:

- To święte talizmany mego ojca, którego zabójcą jest Ah'mik.

Mem'en gwa pobladła. Teraz już wiedziała, że młody jeniec szukał pomsty. Wypełniał swój obowiązek.

- Tobie jednak Ah'mik ocalił życie! - szepnęła.

Tehawanka spochmurniał.

- Pamiętam o tym, ale jeśli teraz tutaj nadejdzie, będę musiał go zabić!

Naraz pewna myśl przyszła mu do głowy. Schwycił dziewczynę za ramię mówiąc:

- Mem'en gwa, bierz trochę żywności i chodź ze mną! Spiesz się, zanim tu przybędzie Ah'mik!

Dziewczyna cofnęła się wystraszona, lecz Tehawanka wydobył z pasa nóż.

- Spiesz się, jeśli miłe ci życie! - ponaglił.

Mem'en gwa wrzuciła do skózanego worka trochę żywności. Tehawanka podał jej ciepłą derkę i popchnął ku wyjściu. Nim wyszedł z wigwamu odwrócił się ku żonie Ah'mika.

- Jeśli pościg nas dogoni, będę musiał zabić Mem'en gwa, aby chociaż w ten sposób uradować cień mego ojca. Pamiętaj o tym i milcz!

Obóz był już opustoszały. Tylko od strony jeziora niósł się potężniejący gwar bitewny.

Tehawanka przemykał pomiędzy wigwamami popychając przed sobą zalęknioną dziewczynę.

Miał jeńca, wypełnił wolę Ducha Opiekuńczego. Wkrótce znaleźli się poza obozem. Teraz podążył ku odnodze jeziora, którą niedawno płynęli do klonowego lasu.

Musieli przebyć znaczne wzgórze. Gdy już stanęli na szczycie, Tehawanka pozwolił

dziewczynie odpocząć. Obydwoje spojrzeli ku obozowi. Jak na dłoni widać było wigwamy przyczajone wśród rozłożystych drzew i piaszczyste wybrzeże.

Bitwa na jeziorze trwała w całej pełni. Nie można było odgadnąć, na którą stronę przechylała się szala zwycięstwa ani odróżnić wojowników Lisów od Czipewejów. Indiańskim zwyczajem wojownicy zachowywali zwarty szyk bojowy tylko do chwili bezpośredniego starcia się z przeciwnikiem. Potem każdy już prowadził walkę na własną rękę i stosował własną taktykę.

Toteż bitwa na jeziorze przemieniła się w walkę poszczególnych załóg kanu, Rozgorzały pościgi, taktyczne ucieczki i zwody. Tu i tam na łodziach szepionych burtami kłębiły się ciała ludzi walczących wręcz, od czasu do czasu rozbrzmiewał huk broni palnej, w powietrzu świstały ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> chmury strzał z łuków, topór uderzał o maczugę. Wojenne okrzyki zwycięstwa i głosy trwogi konających szeroko niosły się po jeziorze. Gdziegdzie załogi wywróconych, bądź rozbitych -

kanu ratowały się ucieczką wpław.

Naraz na jeziorze ukazało się kilka łodzi, nad którymi czerniły się, jakby rozpostarte skrzydła ptaków wolno lecących nisko nad wodą.

- Spójrz, Mem'en gwa! Cóż to za dziwne łodzie się zbliżają? - zawołał Tehawanka.

- Pomoc nadpływa dla Lisów - odparła dziewczyna i ukryła twarz w dłoniach.

- A może Ah'mik pospiesza z odsieczą? Członkowie Midewiwin odbywający obrzędy poza obozem na pewno już zostali powiadomieni o napadzie.

- To Lisy - odpowiedziała Mem'en gwa rwącym się głosem. - Tylko oni zwiększają w ten sposób szybkość swoich kanu.

- Nie smuć się przedwcześnie. Los bitwy jeszcze nie jest przesądzony.

- Czy naprawdę tak myślisz? - zapytała Mem'en gwa spoglądając na Tehawanke.

Skinał potakująco głową.

- Skoro Lisy nie plądrują obozu, to znak, że do tej pory nie zdobyli przewagi - potwierdził.

- Tak, tak, w obozie ich jeszcze nie ma - dodała Mem'en gwa nieco pocieszona.

- Powiedz mi, coż to unosi się nad łodziami Lisów? - zagadnął Tehawanka.

- To skóry zwierzęce lub derki - wyjaśniła. - Lis stojąc przydeptyje stopami obydwie dolne rogi skóry, a dwa górne trzyma rozpostarte w rękach, żeby wiatr popychał kanu* [przyp.: Według wszelkiego prawdopodobieństwa Indianie północnoamerykańscy nie znali użycia żagli przed przybyciem Europejczyków. W regionie Wielkich Jezior lekkie kanu z brzozy kory budowano z

wysoko, półkuliście zadartym do góry przodem i tyłem w celu ochrony przed dużymi falami. Tylko plemię Lisów i Sauków w razie pomyślnych wiatrów używało skór lub derek, by ułatwić sobie żeglugę. Często też kobiety pełniły rolę sterników posługując się wiosłami.]. Oni często tak robią, gdy wiatr im sprzyja.

Tehawanka słuchał wyjaśnień obserwując bitwę. Zaledwie Mem'en gwa umilkła, zza skały wdzierającej się w jezioro poczęły ukazywać się nowe łodzie. Płynęły długim szeregiem. Część z nich ruszyła ku nadpływającej pomocy dla Lisów, inne zawróciły do zatoki, w której trwała bitwa. Rozbrzmiał przeraźliwy bojowy okrzyk.

- Teraz, teraz Ah'mik przybywa z pomocą! - zawołała Mem'en gwa klaszcząc w dłonie.

Nie myliła się, - wkrótce po gwałtownej walce pojedyncze łodzie zaczęły wymykać się w kierunku otwartych wód jeziora. Lisy uciekali...

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Tehawanka znów położył dłoń na ramieniu dziewczyny.

- Twoi zwyciężają, tak jak przepowiedział wasz szaman. Idziemy! - rozkazał.

Ucieczka

Odgłosy bitwy na jeziorze już pozostały w dali, lecz Tehawanka wciąż ponaglał dziewczynę, aby szła szybciej. Czipewejowie odparli atak Lisów. Kobiety, dzieci i starcy, którzy schronili się w lesie, zapewne zaczną powracać do opuszczonego obozu. Żona Ah'mika ochłonie z przestachu i powie, że Mem'en gwa została uprowadzona. Wtedy wyruszy pościg.

Tehawanka czynił sobie w duchu wyrzuty, że zbyt wiele czasu stracił na obserwowanie bitwy na jeziorze. Po raz pierwszy w życiu ujrzał tego rodzaju walkę i najpierw, powodowany własną ciekawością, chciał jej się przyjrzeć. Potem zwlekał z odejściem ze względu na Mem'en gwa. Żał mu było tej miłej dziewczyny. Widział łzy, których nie starała się ukryć przed nim. Uprowadzał

ją do obcego dla niej plemienia spełniając wolę Ducha Opiekuńczego, ale czy mógł pozostawić brankę w niepewności o życie jej najbliższych? Wyruszył więc w drogę dopiero wtedy, gdy zwycięstwo Czipewejów było już przesądzone.

Obecnie wciąż przyspieszał kroku i ponaglał Mem'en gwa. Gdyby pogoń doścignęła ich teraz, mógłby tylko zginąć w nierównej walce.

Niebawem znaleźli się na brzegu odnogi jeziora. Stąd właśnie niedawno przeprawiali się na drugą stronę do klonowego lasu. Tehawanka odszukał ukryte w szuwarach kanu. Po chwili mknęli ku drugiemu brzegowi. Branka co chwila zerkała za siebie, jakby wypatrywała pościgu.

Przeciwległy brzeg był już bardzo blisko. Tehawanka wprowadził kanu w przybrzeżne szuwary.

Dopiero teraz, zatrzymał łódź. Rozchylił łodygi traw dzikiego ryżu i długo penetrował wzrokiem okolicę po przeciwnej stronie jeziora. Nie zauważył niczego podejrzanego. Najprostsza droga na

zachód wiodła przez las klonowy. Pogoń powinna podążyć przede wszystkim w tamtym kierunku. Toteż po krótkim namyśle, stale kryjąc kanu w szuwarach, popłynął na południe.

Słońce stało już wysoko na niebie, gdy Tehawanka wreszcie przybił do brzegu. Ukrył kanu głęboko w szuwarach, po czym poprowadził Mem'en gwa ku widocznemu w dali pasmu wzgórz.

Chciał obejść je z południowego krańca, a potem pójść na północny zachód. Tam właśnie leżały jagodowiska ulubione przez baribale. Stamtąd już dobrze znał drogę do osady Wahpekute.

Tehawanka szedł pierwszy. O kilka kroków za nim podążała Mem'en gwa. Szli w milczeniu.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Tehawanka wsłuchiwał się w odgłosy puszczy, wzrokiem penetrował gąszcze. Jak dotąd ucieczka odbywała się pomyślnie. Jeśli pogoń ruszyła za nimi, to podążała w przeciwnym kierunku. Tehawanka domyślał się, że jego branka również to pojęła. Szła z opuszczoną na piersi głową. Nawet nie spoglądała za siebie.

Przed zapadnięciem zmierzchu Tehawanka począł rozglądać się za miejscem na nocleg. Gdyby był sam, szedłby dalej przez całą noc. Wtedy już ewentualny pościg nie mógłby go dogonić.

Jednak Mem'en gwa zupełnie widocznie utraciła siły. Z trudem podążała za nim, potykała się co chwilę, choć ani jedno słowo skargi nie wyszło z jej ust.

Wreszcie Tehawanka zatrzymał się pod rozłożystym konarem wiązu. Ze świeżych, miękkich gałązek i mchu przygotował posłanie dla dziewczyny, po czym polecił jej natychmiast położyć się do snu. Była tak bardzo zmęczona i przygnębiona, że nawet nie tknęła ani odrobiny pemmikanu* [przyp.: Pemmikan, w języku Dakotów „wasna” (indiański pimekan), dawna potrawa Indian północnoamerykańskich, używana głównie podczas wędrówek, na Iowach i wyprawach wojennych. Pemmikan sporządzano z mięsa bizonów lub dziczyzny pociętego na cienkie jak papier paski, które potem wysuszano na słońcu. Następnie mięso rozcierano na proszek, mieszano z tłuszczem i suszonymi dzikimi owocami i sprasowywano w ciasto, które przechowywano w skórzanych workach.], który na polecenie Tehawanki zabrała z zapasów w wigwamie. Tehawanka otulił dziewczynę kocem i własną opończą, a sam siadł nieopodal. Z

nadejściem zmroku chłód stawał się coraz dotkliwszy. Tehawanka nie miał czym rozpaść ogniska, a poza tym blask zdradzałby miejsce noclegu. Postanowił więc czuwać całą noc. Mógł

związać brankę, aby uniemożliwić jej ucieczkę, ale przecież zagrażały mu również i inne niebezpieczeństwa. Dzikie zwierzę dzięki wczesnemu nadejściu wiosny znów pomykał po puszczy, a Czipewejowie także mogli prowadzić pościg w kilku kierunkach naraz i teraz podążać właściwym tropem. W takiej sytuacji musiał czuwać.

Zmrok wpełzał pomiędzy drzewa. Tehawanka wsłuchiwał się w nocne odgłosy puszczy.

Drapieżne ptaki rozpoczęły łowy, słychać było podejrzane szelesty, łopot skrzydeł, czasem gdzieś blisko rozbrzmiał przeraźliwy okrzyk, po którym zapadała wymowna cisza.

Tehawanka nasłuchiwał, wzrok zagłębiał w ciemności. Nie odczuwał lęku przed pościgiem. Na jego piersiach, zawieszona na rzemieniu na szyi, spoczywało zawiniątko ojca ze świętymi przedmiotami, a obok, oparta o drzewo, stała magiczna tarcza. Odzyskał świętości swego ojca.

Uzbrojony w tak potężne talizmany nie obawiał się nikogo. Teraz był już kimś w pojęciu Indian i nawet gdyby zginął, zyskałby zasłużoną sławę.

Podniecenie wywołane niezwykłymi przeżyciami z wolna ustępowało. Tehawanka zaczął odczuwać zmęczenie i głód. Poprzedniego wieczoru, pochłonięty planami ucieczki, nie zjadł nawet posiłku przyniesionego przez Mem'en gwa. Teraz obydwójce posiadali jedynie trochę pemmikanu, który musiał wystarczyć im na całą drogę. Toteż Tehawanka dla odpędzenia snu, od czasu do czasu wkładał do ust odrobinę pemmikanu i wolno go przeżuwał.

Pemmikan w stanie surowym nie był tak dobry jak duszony, ale posiadał jednakowe wartości odżywcze. Tehawanka od najmłodszych lat przywykł do jedzenia go na surowo, bowiem dzieci bawiące się z dala od osady zawsze zabierały kilka garści pemmikanu, którym zaspokajały głód poza domem. Tak samo jedli go na surowo mężczyźni na wojennych ścieżkach i na łowach.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Noc dłużyła się w nieskończoność. Chłód coraz więcej dawał się Tehawance we znaki, więc wstawał, biegał naokoło drzewa, przysiadał, poruszał rękami, aż wreszcie puszcza zaczęła szarzyć i otulać się poranną mgłą. Natychmiast obudził Mem'en gwa. Niemal zmusił ją, aby zjadła garść pemmikanu i zaraz ruszyli w drogę.

Około południa pasmo wzgórz poczęło pozostawać na wschodzie. Teraz Tehawanka poprowadził brankę wprost na północny zachód. Tam znajdowały się jagodowiska, na których Czipewejowie wzięli go do niewoli.

Słońce już chyliło się ku zachodowi. Tehawanka szedł coraz wolniej, ponieważ dziewczyna z trudem nadążała za nim. Obydwójce odczuwali wyczerpanie. Przez cały dzień zaledwie trzykrotnie zatrzymywali się na krótkie odpoczynki.

Naraz Tehawanka przystanął. Nie opodal czernił się kontur naprędce skleconego wigwamu.

Tehawanka mową znaków polecił brance, aby ukryła się za drzewem, a sam począł skradać się ku domostwu. Wrócił po pewnym czasie i zaraz rzekł:

- To jest wigwam zbudowany przez Ah'mika, gdy wziął mnie do niewoli. Wokoło mnie ma żadnych świeżych śladów, możemy tutaj zatrzymać się na noc. W trzy, a może nawet w dwa wieczory będziemy w osadzie Wahpekute.

Mem'en gwa nic nie odpowiedziała. W wigwamie zaraz zasnęła. Senność ogarniała również i Tehawanke. Usłyszał więc sobie posłanie przy samym wyjściu z wigwamu. Zasnął z dłonią wspartą na rękojeści noża.

Przebudził się pod przemożnym uczuciem, że dzieje się coś niezwykłego. Jak człowiek nawykły do niebezpieczeństw najpierw otworzył oczy nie wykonując najmniejszego ruchu. Spojrzał w głąb wigwamu. Mem'en gwa jeszcze spała. Było już jasno. Udając uśpienie Tehawanka wolno przewrócił się z boku na bok. Teraz mógł spojrzeć przez otwór na zewnątrz. Nie zauważył

niczego podejrzanego. Powstał więc i wyszedł przed wigwam. Zaczął rozglądać się i naraz znieruchomiał...

Z boku wigwamu, o kilka kroków przed nim, stał Mish'wa wak. Strzelbę trzymał wspartą na prawym biodrze. Przez dłuższą chwilę w milczeniu mierzyli się wzrokiem, po czym Mish'wa wak odezwał się:

- Gdzie jest Mem'en gwa?

- W wigwamie - odparł Tehawanka.

- Odejdź na bok - rozkazał Mish'wa wak i zaraz zawołał: - Czy Mem'en gwa mnie słyszy?

Dziewczyna wybiegła z wigwamu. Błyszczącym, podnieconym wzrokiem obrzuciła obydwóch mężczyzn.

- Mish'wa wak, odnalazłeś nas! - krzyknęła wzburzona. - Gdzie jest Ah'mik?

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter
<http://www.processtext.com/abclit.html>

- Sam wytropiłem tego... przypiekacza! Przeczulem, że tędy będzie uciekał.

- Więc Ah'mik nie wyruszył w pościg? - szepnęła Mem'en gwa.

- Twój ojciec przeniósł się do Krainy Wielkiego Ducha. Zabił wielu zdradzieckich Lisów, zanim sam zginął.

Mem'en gwa cofnęła się, opadła na kolana i ukryła twarz w dłoniach.

- Twój ojciec zginął jak przystało sławnemu wojownikowi - powiedział Mish'wa wak. - Cienie jego przodków witają go z radością w Krainie Wielkiego Ducha.

Mem'en gwa płakała. Mish'wa wak ponurym spojrzeniem mierzył Tehawanke.

- Słuchaj Wahpekute - rzekł wreszcie. - Gdybym zastał Mem'en gwa związaną, zabiłbym ciebie jak złego wilka! Jednak nie wiązałeś jej nawet na noc, nie liczyłeś się z próbą ucieczki. Skoro tak jest, niech los rozstrzygnie, który z nas odejdzie z nią stąd.

Mówiąc to położył strzelbę na ziemi, a obok niej woreczek z kulami i róg napełniony prochem.

- Masz nóż i tomahawk - dodał. - Więc ja też zatrzymam tę broń.

Tehawanka zdumiony cofnął się kilka kroków. Spodziewał się, że zazdrosny Mish'wa wak wykorzysta zdobytą przewagę. Mógł przecież po prostu zabić go teraz i odejść z dziewczyną. On jednak potraktował go jak równego sobie rywala i w myśl indiańskich zwyczajów zaproponował

uczciwą walkę. Widząc, że przeciwnik zrzuca odzienie, uczynił to samo. Półnaczy stanęli naprzeciw siebie.

Mish'wa wak był znacznie starszy, roślejszy i przewyższał Tehawanke o głowę. Ponurym spojrzeniem mierzył przeciwnika. Zapewne wierząc w swą przewagę, nie dobywał broni. Wolno, krok za krokiem, zaczął zbliżać się do rywala.

Tehawanka mimo woli cofał się przed przeciwnikiem. To była jego pierwsza w życiu walka na śmierć i życie z drugim człowiekiem. Zdawał sobie sprawę, że siłą i doświadczeniem wojennym nie dorównuje Mish'wakowi. Niezbyt wielkie miał szansę na zwycięstwo. Cicho powtarzał

słowa pieśni śmierci:

„Kuna sogobi, kuna yana wakara...”

W nagłym odruchu samoobrony postanowił pierwszy zaatakować. Błyskawicznie pochylił się do przodu, podskoczył do przeciwnika. Z rozmachem uderzył go głową w brzuch.

Zamroczony Mish'wa wak opadł na kolana. Tehawanka całym ciężarem swego ciała zwałił się na niego. Zwarci w uścisku potoczyli się po ziemi.

Walczyli w milczeniu. Najpierw Mish'wa wak zaczął zdobywać przewagę, ale w miarę upływu czasu oddechy obydwóch walczących stawały się coraz szybsze i głośniejsze.

W normalnych warunkach bardziej doświadczony i silniejszy Mish'wa wak z łatwością rozprawiłby się z rywalem, lecz gwałtowna, krwawa bitwa z Lisami na jeziorze, a potem dwudniowy, samotny pościg bez odpoczynku i snu zaczynały obecnie wyrównywać siły walczących.

Mish'wa wak obejmował Tehawanke obydwojma ramionami, chcąc potężnym uściskiem zdławić opór, ale czuł, że sam słabnie. Toteż postanowił zakończyć zmaganie, zanim przeciwnik zdobędzie nad nim widoczną przewagę. Szybkim ruchem sięgnął prawą ręką po nóż tkwiący za rzemieniem przewiniętym w pasie. Tehawanka natychmiast odczuł znaczne zelżenie zapierającego dech uścisku. Domyślił się, że Mish'wa wak dobywa broni, więc lewą ręką schwycił go za gardło. Mish'wa wak gwałtownym ruchem zrzucił z siebie Tehawanke. Obydwaj powstali jednocześnie, ale mniej zmęczony i zwinniejszy Tehawanka przypadł do przeciwnika.

Lewą ręką schwycił w przegubie jego uzbrojoną w nóż prawą dłoń, a drugą zacisnął na gardle.

Mish'wa wak próbował oderwać dławiącą oddech dłoń, to rzucił się do przodu, to gwałtownie cofał, aż naraz pośliznął się na mokrym korzeniu drzewa wystającym z ziemi. Stopy jego straciły oparcie, runął na plecy zbijając również z nóg przeciwnika. Rozległ się głuchy, przerażający okrzyk

bólu, Mish'wa wak wyprężył się i znieruchomiał.

Tehawanka, ciężko oddychając, przez dłuższy czas nie mógł pojąć, co się właściwie stało?

Wciąż jeszcze leżał na Mish'wa waku przygniatając go swoim ciałem do ziemi i zaciskał rękę na jego uzbrojonej dłoni. Dlaczego Mish'wa wak nagle przestał walczyć?

Czyżby to był jakiś wojenny fortel? Mish'wa wak dalej leżał nieruchomo. Nawet dłoń zaciśnięta na rękojeści noża stała się dziwnie bezwładna.

Tehawanka zebrał się w sobie. Powstał. Mish'wa wak leżał na plecach. Na jego twarzy zastygał grymas bólu i zdziwienia. Tehawanka pochylił się nad nim, chciał unieść, ale ziemia jakąś niewidoczną mocą przykuwała go do siebie. Wreszcie dźwignął nieszczęsnego i wtedy zrozumiał, że to niezwykle zrządzenie losu przechyliło szalę zwycięstwa na jego stronę.

Otóż w ziemi tkwił pieńek po ściętym młodym drzewku, którego prawdopodobnie użyto do budowy wigwamu, gdy Tehawanka został wzięty do niewoli przez Czipewejów. Na jednej krawędzi nierówno ściętego pnia sterczała długa, twarda drzazga, która wbiła się w plecy padającego na nią Mish'wa waka. Zapewne trafiła w serce, bowiem śmierć nastąpiła natychmiast po nieszczęśliwym upadku.

Tehawanka oszołomiony nieoczekiwanym odkryciem z nabożną czcią spojrział w kierunku wigwamu. Tam znajdowało się zawiniątko ze świętymi talizmanami ojca i jego tarcza pokryta czarodziejskimi znakami. W mniemaniu Tehawanki to one właśnie go ocaliły.

Tehawanka złożył martwego Mish'wa waka na ziemi i rozejrzał się wokół. Podczas walki zapomniał o Mem'en gwa, a teraz nie było jej tutaj. Czyżby skorzystała z okazji i uciekła do swoich? Ogarnęło go przerażenie na myśl, że dziewczyna mogła także zabrać zawiniątko ze świętymi przedmiotami i tarczę. Pobiegnął w kierunku wigwamu, lecz zaledwie stanął w progu ujrzał Mem'en gwa. Kryjąc twarz w dłoniach siedziała skulona w kącie. Zapewne nie chciała być ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> świadkiem walki toczonej o nią. Tehawanka przez jakiś czas spoglądał na dziewczynę, po czym odezwał się:

- Wyjdź, Mem'en gwa, już po wszystkim!

Drgnęła usłyszawszy jego głos i szybko uniosła głowę. Nie mógł odgadnąć, czy jego widok uradował ją, czy zasmucił

- Więc jednak ty zwyciężyłeś... - rzekła cicho.

- Żyję, jak widzisz.

- Zabiłeś go...

- Wyzwał mnie do walki i zginął, ale ja go nie zabiłem - odparł Tehawanka.

- Nie zabiłeś?! Więc, jak to się mogło stać? - zapytała zdumiona.

- Chodź, sama zobaczysz!

Mem'en gwa wybiegła z wigwamu. Tehawanka opowiedział jej o niezwykłym wydarzeniu.

Zdawało mu się, że na twarzy dziewczyny pojawił się wyraz ulgi. Pochyliła się nad zmarłym i przymknęła mu powieki.

- Co chcesz z nim zrobić? - zapytała nie patrząc na Tehawanke.

- Przenieś go do wigwamu. Twój na pewno odnajdą zwłoki i pochowają według waszych zwyczajów* [przyp.: Czipewejowie często grzebali zmarłych w siedzącej pozycji w kwadratowo wykopanych mogiłach, lub też w płytkich dołach, nad którymi usypywali z ziemi małe kopce.].

Byliśmy wrogami, ale zasłużył sobie na szczęśliwe życie w Krainie Wielkiego Ducha.

Niech wszystko, co jest jego, pozostanie przy nim.

Obydwoje ani razu nie wymienili nazwiska Mish'wa waka, ponieważ według indiańskich zwyczajów, zmarłych nigdy nie nazywało się nazwiskiem, które nosili za życia.

Mem'en gwa przygotowała w wigwamie świeże posłanie, po czym razem przenieśli na nie Mish'wa waka. Tehawanka położył przy boku zmarłego jego broń, aby mu służyła w Krainie Wielkiego Ducha.

Długo spoglądał na strzelbę. Broń palna białych ludzi umożliwiła Czipewejom zdobycie przewagi nad Dakotami. Od dawna marzył o posiadaniu takiej strzelby. Gdyby zabił Mish'wa waka w walce na wojennej ścieżce, miałby prawo do zabrania broni i skalpu. Jego autorytet wzrósłby wśród Wahpekute, stałby się wojownikiem, któremu wielu chciałoby towarzyszyć w wojennych wyprawach. Jednak Tehawanka nie uległ pokusie. Nawet zawstydził się własnych myśli. Mish'wa wak postąpił uczciwie wobec niego i zasługiwał na szacunek, mimo że należał

do wrogiego plemienia. Strzelba przestała fascynować Tehawanke. Spojrzał na Mem'en gwa.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Dziewczyna przykucnęła przy martwym Mish'wa waku, lecz myślami znajdowała się daleko stąd, przy matce, która obecnie opłakiwała nie tylko porwanie córki, ale także i utratę Ah'mika.

Po śmierci pierwszego męża, w myśl starego czipewejskiego zwyczaju, przez czas żałoby trwającej dwanaście księżyców, matka jej wszędzie nosiła ze sobą zawiniątko, w którym znajdowało się odzienie zmarłego. Czy obecnie również tak postąpi? Ah'mik zapewne jeszcze spoczywał na śmiertelnym łożu w rodzinnym wigwamie, a matka jej raniła swe ciało na znak wielkiego żalu* [przyp.: W wielu plemionach Indian północnoamerykańskich krewni zmarłego podczas obrzędów pogrzebowych przywdziewali najskromniejsze odzienie, malowali twarze na czarno, okaleczali swe ręce i nogi, a często obcinali sobie kawałek palca (do pierwszego stawu) i śpiewali pieśni śmierci. U Dakotów wdowy na znak żałoby przez pewien czas chodziły obnażone do pasa, z gołymi

piersiami.]. Mem'en gwa gubiła się w domysłach, w którym miejscu wigwamu zrobią otwór w celu wyniesienia zwłok ojca do grobu* [przyp.: Zwyczaj, iż zmarłego nie należy wynosić z domu przez normalny otwór drzwiowy istniał wśród wielu plemion Krainy Lasów (Czipewejowie, Menomini, Sauiteaux), jak i wśród różnych plemion Wielkich Równin, a także wśród Eskimosów na Grenlandii i u Lapończyków. Wierzyli oni, że wyniesienie zmarłego przez normalne drzwi powodowało rychłą śmierć jednego z domowników. Aby tego uniknąć robiono specjalny otwór w ścianie, przez który zmarłego wynoszono z domu.]

Tehawanka począł zbierać się do wyruszenia w drogę. Najpierw zawiesił na rzemieniu na szyi zawiniątko ze świętymi przedmiotami, które z należną czcią nosił na swej piersi, potem założył na ramię kołczan z łukiem i strzałami, okrył się opończą, a w końcu ujął czarodziejską tarczę i rzekł:

- Chodź, Mem'en gwa, już musimy iść!

Dziewczyna bez słowa podniosła derkę, podróżny worek i stanęła przed Tehawanką. Wyszli z wigwamu, po czym otwór wejściowy zasłonili grubymi gałęziami, aby zwierzęta nie mogły dostać się do wnętrza.

Ruszyli w drogę.

Tehawanka niebawem odnalazł wiąz, w którego pniu przetrwał niedawno śnieżną nawałnicę.

Stąd w kierunku południowym znajdowało się znane mu leśne jezioro. Przed nieoczekiwanym spotkaniem z Mish'wa wakiem zamierzał uciekać tym samym szlakiem, którym szedł przedtem na niefortunne łowy. Teraz wszakże najkrótsza droga do osady Wahpekute wydała mu się najniebezpieczniejsza. Skoro Mish'wa wak odgadł, w którym kierunku zamierzał umykać, inni Czipewejowie również mogli przeniknąć jego plany. Zamiast więc na południe przez puszcę, postanowił iść na zachód, gdzie o pół dnia marszu bór ustępował miejsca szerokiemu pasowi prerii.

Szli bez odpoczynku, aż puszcza wreszcie zaczęła rzednąć. Coraz obszerniejsze polany rozdzielały zwarty dotąd bór. Szeroki lazur nieba wdzierał się na zachodzie pomiędzy drzewa.

Wartko płynący strumień zagroził im drogę. Strudzeni przysiedli na jego brzegu w gąszczu łóz.

Zaspokoił pragnienie i zjedli trochę pemmikanu. Siedzieli w pobliżu siebie nie rozmawiając.

Mem'en gwa zasmucona wciąż powracała myślami do swoich bliskich. Porwanie i ucieczka ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> nastąpiły tak nieoczekiwanie. Co porabiała matka? Dlaczego Mish'wa wak samotnie wyruszył w pościg? Gubiła się w domysłach, co mogło zdarzyć się w obozie po jej porwaniu? Może czipewejscy wojownicy ścigali Lisów po bitwie na jeziorze?

Nieznacznie zerknęła na również zamyślonego i milczącego Tehawankę. Polubiła go i źle mu nie życzyła. Gdyby przystał do Czipewejów, mogłaby zostać jego żoną. Teraz jednak uprowadzał ją jako branke, to zmieniało sytuację. Co uczyniłby, gdyby spróbowała uciec pod osłoną nocy?

Dotąd stale czuwał, ale przecież zmęczenie zmoże go wreszcie. Okazja do ucieczki na pewno się nadarzy zanim dojdą do osady Wahpekute. Czy ścigałby ją? Bała się wrogich Dakotów, o których okrucieństwie opowiadali czipewejscy wojownicy.

Tehawanka w rzeczywistości odczuwał znużenie, ale wielka radość dodawała mu sił. Nie tylko zdołał oswobodzić się z niewoli, lecz także odzyskał świętości ojca i powracał z branką.

Powodzenie na wojennej ścieżce czyniło go kimś wśród Wahpekute. Czerwony Pies i Poranna Rosa na pewno będą dumni z niego. Jak wielką sprawi im niespodziankę swoim powrotem! Byle tylko nie natknął się na ewentualny pościg Czipewejów!

Pogrążony w radosnych rozmyślaniach jednocześnie rozglądał się i nasłuchiwał. Naraz drgnął, a jego prawa dłoń natychmiast spoczęła na kołczanie z łukiem. Złowił uchem podejrzaną odgłosy dobiegające z głębi puszczy. Mem'en gwa również uniosła głowę. Ręką dał znak, żeby się nie ruszała.

Niebawem był już pewny, że to zwierzęta nadbiegają. Czy umykały przed niebezpieczeństwem, czy też tylko biegnęły do wodopoju? Tętent potężniał z każdą chwilą.

Wreszcie spomiędzy drzew i krzewów wychynęło na polanę stadko jeleni. Były to wapiti*

[przyp.: Wapiti (*Cervus elaphus canadensis*) jest indiańską nazwą tego jelenia szlachetnego nadaną przez Szaunisów, którego kilka odmian żyło dawniej w lasach strefy umiarkowanej w Ameryce Północnej. Pod względem wielkości wapiti po łosiu zajmuje na świecie drugie miejsce wśród płowej zwierzyny. Długość ciała dochodzi do 2,5 m, a wysokość w kłębie ponad 1,5 m.

Posiada na zadzie białe lustro. Tylko byki mają bardzo duże poroża, które zrzucają w każdą wiosnę, jednakże do okresu parzenia się, we wrześniu, odrasta im ono całkowicie. Łanie rodzą potomstwo w maju. Największymi ich wrogami były wilki, kojoty, pumy i niedźwiedzie.

Obecnie wapiti najliczniej występują w Kanadzie.]. Biegły wolnym truchtem, z wyciągniętymi szyjami. Prowadził je olbrzymi samiec, który jeszcze nie zrzucił swych poroży. Za nim podążało kilka starszych i młodych łań, a na końcu dwa dalsze samce już bez rogów. Wapiti znajdowały się teraz zaledwie o kilkadziesiąt kroków od Tehawanki i dziewczyny przyczajonych w nadbrzeżnych łożach, lecz biegnąc z wiatrem dotąd nie zwierzyły niebezpieczeństwa.

Widok spokojnie biegnących jeleni uradował Tehawanę. Bojaźliwe i płochliwe wapiti posiadały doskonały słuch, wzrok i powonienie. Człowieka zazwyczaj wietrzyły na znaczną odległość, skoro więc teraz, podczas dnia, żerowały i szły do wodopoju, musiały czuć się bardzo bezpiecznie. Oznaczało to, że w okolicznej puszczy nie było nikogo.

Wapiti tymczasem zatrzymały się na brzegu strumienia. Niektóre piły wodę brodząc po płyciźnie. Jeden młody samiec wolno szedł w górę strumienia, coraz bardziej podchodził do kryjówki Tehawanki i Mem'en gwa. Nagle przystanął, łeb uniósł do góry. Krótki, głuchy, ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ostrzegawczy ryk podział jak smagnięcie bicia. Wapiti

długimi skokami, z głowami w tył

odchylonymi, pognały ku puszczy, z łatwością przeskakując napotkane zarośla. Ostatnie umknęły samce.

Tehawanka podniósł się, niewiele czasu pozostało do zmierzchu.

- Niech Mem'en gwa zdejmie mokasyny - odezwał się. - Pójdziemy po wodzie przy brzegu.

Strumień płytki, dno gładkie.

Mem'en gwa bez sprzeciwu wypełniła polecenie. Zrozumiała, że Tehawanka w ten sposób chciał zatrzeć ślady i utrudnić ewentualny pościg.

Długo brodzili po przezroczystym, wartkim strumieniu, który płynął po białym, piaszczystym dnie wprost na południowy zachód. Na obydwóch brzegach kępami rosły topole i karłowate wierzby. Chmury ptactwa wciąż podrywały się z łoż.

Słońce wreszcie niemal już dotknęło krańca zachodniego horyzontu. Wśród odbłasku złota i purpury nadchodził wieczorny zmrok. Preria poczęła otulać się szafirową mgiełką.

Tehawanka wyprowadził dziewczynę na prawy brzeg strumienia, bielący się skalnym rumowiskiem. Tutaj postanowił zatrzymać się na noc.

Na prerii

Tehawanka przebudził się z drzemki. Wokół panowała nieprzenikniona ciemność. Wyciągnął rękę w kierunku wgłębienia utworzonego przez zwietrzałe głązy. Uspokojony cofnął dłoń, branka spała skulona. Spojrzał na niebo. Czarne chmury gnane z północnego zachodu zakryły gwiazdy.

Wiatr stale przybierał na sile, niósł przenikliwy chłód. Tehawanka przysunął się do Mem'en gwa, aby osłonić ją swoją opończę przed ostrymi podmuchami lodowatego wichru, który od strony prerii* [przyp.: Preria (z francuskiego prairie - łąka) potoczna nazwa Wielkich Równin Wewnętrznych, które zajmują obszary leżące pomiędzy Górami Skalistymi i rzeką Missisipi oraz od basenu rzeki Saskatchewan w Kanadzie do środkowego Teksasu. Wyróżniamy w nich dwa typy krain, za których środkową granicę ogólnie można przyjąć 100 południk: 1. na wschód od 100 południka rozciąga się preria właściwa, dość wilgotna ze średnimi rocznymi opadami 500 -

1000 mm, porośnięta wysokimi, kępowymi trawami (sięgającymi do 120 cm) o długich, głęboko zapuszczanych w ziemię korzeniach, dzikimi słonecznikami i łubinami (*Lupinus*), a z roślinnością drzewiastą w dolinach rzek przechodząca w lasostep u styku ze Wschodnią Krainą Lasów. 2. Na zachód od 100 południka aż do podnóża Gór Skalistych, wysokie równiny, bardziej ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> suche o średnich opadach 250 - 400 mm, porośnięte niskimi (o wysokości ok. 10 cm) trawami grama (*Bouteloua gracilis*), trawą bizonów (*Buchloe dactyloides*) i licznymi roślinami zielnymi, przy jednoczesnym, całkowitym braku lasów. Należy zaznaczyć, że poszczególne typy krain nie posiadają wyraźnie zakreślonych granic, ponieważ na styku dwóch odmiennych typów powstaje strefa mieszana flory i fauny. Obecnie prerie w znacznej części zostały już zamienione w pola uprawne (wschodnie rodzą kukurydzę, centralne pszenicę, a zachodnie stanowią pastwiska).]

niósł posępne wycia drapieżników.

Bliska obecność wilków nie wzbudziła jego obaw. Wszystkie ich gatunki żyjące na prerii, a więc bardzo duże białe, brunatne i szare, jak również małe preriowe kojoty* [przyp.: Kojot lub kujot (*Canis latrans*) amerykański wilk preriowy, występujący w Nowym Świecie od Kostaryki aż do 55 stopnia szerokości północnej. Dorosły okaz sięga długości 1,4 m łącznie z 40

cm ogonem. Ma jasnobrązowe oczy o okrągłych źrenicach. Futro brudnożółte. Pożera wszystko, co tylko pozwala mu się zjeść. W okresie parzenia się mieszka parami w jamach, a samica rodzi 6 - 10 szczeniąt. Kojoty posiadają przemyślny sposób łowów. Gdy polują na zwierzęta szybciej biegające od nich, rozstawiają się pojedynczo na prerii na całych dziesiątkach kilometrów, niczym do biegu sztafetowego. Gdy kojot rozpoczynający pościg się zmęczy, zastępuje go następny, czający się w pewnej odległości, potem drugiego zastępuje trzeci itd. W ten sposób potrafią dogonić nawet antylozę widłorogą, słynącą z wielkiej szybkości.] należały do tchórzliwych zwierząt. Jeżeli nie zostawały zmuszone wielkim głodem, unikały zbliżania się do ludzi. Natomiast z niezwykłą przemyślnością i cierpliwością same polowały na inne zwierzęta.

Teraz prawdopodobnie, gdzieś w niedalekiej odległości na prerii, znajdowały się bizony, które

wiosną powracały na północne pastwiska z cieplejszych, południowych okolic. Sfory wilków i kojotów zawsze ciągnęły za nimi, czatując na cieleta lub chore, bądź zranione bizony.

Toteż Tehawanka nie zwracał uwagi na przeciągłe, przeraźliwe skowyczenie. Z niepokojem wpatrywał się w czarne niebo. Gwałtowny północno - zachodni wiatr i jednoczesny spadek temperatury nie wróżyły niczego dobrego. Czyżby nadciągał blizzard? Śnieżne wichury dość często nawiedzały te okolice wczesną wiosną.

Obawy Tehawanki rychło się sprawdziły. Lodowata wichura przeistoczyła się w śnieżną nawałnicę. Śnieg począł sypać jednocześnie ze wszystkich stron, smagał, oślepił i mroził. Nawet przeraźliwe wycia wilków zamarły w dali.

Tehawanka potrząsnął Mem'en gwa za ramię. Przebudziła się i siadła dygocąc z zimna. Pochylił się ku niej i zawołał, chcąc przekrzyczeć poświsty wichury:

- Nie śpij! Musimy poruszać się lub zamarzniemy!

- Zostaw! - krzyknęła. - Manito* [przyp.: Manito lub Manitu w algonkińskim języku Wielki Duch, nadnaturalna siła magiczna mieszkająca na stałe lub przejściowo w pewnych przedmiotach bądź zjawiskach.] widocznie nie chce, abym żyła wśród Wahpekute!

- Przetrywamy, jeżeli będziesz posłuszna! Musimy przetrwać! - odkrzyknął.

Chwycił ją mocno za ramiona, zmusił, aby powstała. Próbowwała odepchnąć go od siebie. Była silna, Indianki przecież wykonywały od wczesnej młodości wszystkie prace obozowe, ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> uczestniczyły w polowaniach i znosiły trudy wędrówek na równi z mężczyznami. Była więc przeciwnikiem, który mógł stawić opór. Teraz wszakże wiedziała, że Tehawanka pragnie jedynie uratować jej życie. Tylko rozgrzewający ciało ruch mógł ocalić ich przed zamarznięciem.

Instynktownie opierała się Tehawance, aby siebie i jego zmusić do wysiłku. Chwilami nawet zdobywała przewagę, ponieważ Tehawanka nie zapominał, że ma do czynienia z kobietą.

Niebawem obydwójce porządnie zmęczeni walką w śnieżnej zawiei ciężko oddychali, pot - perlił się na ich twarzach. Wtedy Tehawanka wepchnął Mem'en gwa z powrotem we wgłębienie skalne. Siedli blisko przy sobie, otulili się derką i opończą.

- Czy Mem'en gwa cieplej teraz? - zapytał. Musiał niemal przyłożyć usta do jej ucha, aby słyszała go mimo nawałnicy.

- Ciepłej, ale i tak zamarzniemy! - odkrzyknęła.

- Nie, bo znów będziemy się bili!

Zdawało mu się, że Mem'en gwa poweselała.

- O tej porze śnieżyce nie trwają zbyt długo - dodał. - Byle przetrwać do świtu!

Przez jakiś czas siedzieli wsłuchując się w jęklive poświsty. Głazy osłaniały niszę skalną przed bezpośrednimi zimnymi podmuchami blizzardu, ale ziemia już bieliła się wokoło. Przenikliwy ziąb zmuszał ich jeszcze kilkakrotnie do opuszczenia kryjówki i rozgrzewki.

Dopiero tuż przed świtem zawierucha osłabła, a potem nagle ucichła. Gwiazdy poczęły przeświecać pomiędzy strzępami chmur. Zrobiło się trochę cieplej. Przeciągłe wycia kojotów i wilków znów rozbrzmiały na prerii. Wkrótce wschodni horyzont poszarzał, potem wśród czerwonych odbłasków, na już całkowicie wypogodzone niebo, wypłynęło słońce i poczęło rozpraszać nocne opary.

Tehawanka wyprowadził Mem'en gwa z kryjówki skalnej. Stąd już tylko dwa dni drogi dzieliło ich od osady Wahpekute.

Nocny blizzard zmienił wygląd prerii. Wczoraj przypominała ona falujący pod podmuchami wiatru zielony ocean, obecnie zaś wyglądała jak śnieżna pustynia. Tehawanka mrużył oczy i jednocześnie uśmiechał się na widok rażącej wzrok bieli. Ślady stóp, które pozostawia rankiem na śniegu, znikną razem z nim, gdy słońce wzejdzie wyżej na niebo i przygrzeje ziemię. Gdyby pościg nawet dążył za nimi, już na prerii nie odnajdzie tropów.

Tehawanka ruszył przez równinę wprost na południe, gdzie leżało, znane mu jako punkt orientacyjny, małe pasmo wzgórz. Stamtąd należało pójść w kierunku południowo - wschodnim ku osadzie Wahpekute.

Długo brnęli po śniegu. Tehawanka wciąż wypatrywał pasma wzgórz na linii horyzontu. Od czasu do czasu przystawał, osłaniał dłońią oczy przed rażącym blaskiem słońca i zatapiał wzrok w dali. Właśnie znów zatrzymał się na niewielkim wzniesieniu. Na południowym zachodzie ukazały się jaskrawe błyski, jakby promienie słoneczne odbijały się od ruchomej, gładko ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> wypolerowanej powierzchni. Niemal w tej samej chwili Tehawanka ujrzał umykające wielkie stado brunatnożółtawych zwierząt.

Były to antylopy widłorogie* [przyp.: Antylopa widłoroga (*Antilocapra americana*) stanowi wśród pustorogich jedyny gatunek z rozwidłonymi rogami, które są regularnie co roku odrzucane i odnawiane w okresie czterech miesięcy. Antylopa ta, trochę większa od europejskiej sarny, posiada mocny tułów, długi do 1,5 m, bardzo smukłe i dość wysokie nogi. Ogon podobny więcej do szczątkowego ogona niektórych jeleniowatych. Pokryta jest gęstym futrem z długich włosów, tworzącym na karku krótką grzywę - na grzbiecie brunatnożółtym, a na bokach i spodzie tułowia, na części łba podobnego do owczego oraz na dwóch łatach na spodzie szyi i na dużym lustrze na zadzie - białym. Antylopa widłoroga występowała wyłącznie na Wielkich Równinach Wewnętrznych w Ameryce Północnej, mniej więcej od 53 stopnia szerokości północnej aż do Meksyku.] w, które niewątpliwie można zaliczyć do wyłącznie amerykańskich zwierząt, jakie zamieszkiwały ten kontynent. One bowiem w większym stopniu, niż nawet bizony, przystosowały się do życia na

otwartych równinach stepowych. Tak więc posiadały doskonały wzrok, umożliwiający spostrzeganie niebezpieczeństwa na znaczną odległość, potrafiły biec z szybkością ponad osiemdziesiąt kilometrów na godzinę i utrzymywać to tempo przez około dziesięć kilometrów; nawet kilkudniowy jelonek już z powodzeniem umykał wilkowi. Po afrykańskich i azjatyckich gepardach* [przyp.: Gepard afrykański (*Acinonyx guttatus*), azjatycki (*Acinonyx jubatus*) - zwierzęta stepowe z rodziny kotów. Na krótkich dystansach mogą biec z szybkością do 110 km na godzinę.] były one najszybciej biegającymi ssakami świata, co stanowiło ich naturalną ochronę przed największymi wrogami: kojotami, wilkami, pumami i człowiekiem. Posiadały także niezwykle u zwierząt sposób ostrzegania się przed niebezpieczeństwem.

Mianowicie, gdy antylopa - wartownik dostrzegła coś podejrzanego, wtedy mięśnie pod jej puszystym, białym lustrem na zadzie gwałtownie się kurczyły, powodując sztywnienie i stawanie włosów, o które odbijało się tyle światła, że w słoneczny dzień jaskrawe błyski były widoczne na znaczną odległość. Świetlne sygnały alarmowe, przejmowane i kolejno nadawane przez rozstawionych wokoło „wartowników”, natychmiast podrywały całe stado do ucieczki.

Oprócz tak charakterystycznych dla prerii północnoamerykańskich niezliczonych stad szybko nogich antylop widłorogich i potężnych bizonów monotony krajobraz równin urozmaicały różne małe gryzonie, które nie mogąc zaufać szybkości swych nóg ani sile, kryły się pod ziemią przed swymi wrogami: kojotami, wilkami, lisami, czarnonogimi łasicami, borsukami i amerykańskimi rysiami. Było to więc królestwo małych gryzoni, a szczególnie, tak osobliwych dla Dalekiego Zachodu, piesków preriowych* [przyp.: Piesek preriowy (*Cynomys socialis*) posiada ciało długości do 20 cm i ogon około 10 cm, krótkie nogi, dużą głowę, szarobrunatne, gęste, krótkie futro na grzbiecie, a jasne pod spodem. Ze względu na szczekliwy głos otrzymał nazwę pieska preriowego. Stworzenie roślinożerne, lecz w okresie plag koników polnych i szarańczy, żywi się także nimi. Wychodząc z nor pieski preriowe wystawiają strażę, które szczekliwym poświstywaniami ostrzegają przed niebezpieczeństwem. Zimą przeważnie przesypiają, a razem z nimi w norach często gnieźdzą się ziemne sowy i grzechotniki.] i królików amerykańskich* [przyp.: Tak zwane „Jack rabbits”, które doskonale przystosowały się do życia na preriach.].

Pieski preriowe były w rzeczywistości wiewiórkami ziemnymi żywymi w olbrzymich stadach ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> na Wielkich Równinach Wewnętrznych. Budowały rozległe podziemne osady o labiryntowych korytarzach, do których każdy piesek preriowy posiadał własne, oddzielne wejście. Dzięki temu preria była podziurawiona norami, które obecnie, zasypane śniegiem, stanowiły niebezpieczne pułapki dla nóg wędrowców. Toteż Tehawanka i Mem'en gwa, dość już utrudzeni przystanęli, by popatrzeć na śmigłe antylopy widłorogie, które łatwo rozpoznali po charakterystycznych, świetlnych sygnałach alarmowych.

Tehawanka z pewnym żalem spoglądał na błyskawicznie umykające antylopy. Był zmęczony i głodny. Gdyby nie miał przy sobie czipewejskiej branki i nie obawiał się pościgu, mógłby spróbować szczęścia w łowach. Może wróciłby do domu ze świeżo upolowaną zwierzyną? Teraz jednak musiał jak najprędzej dążyć do swoich. Nie wiedział przecież, czy przetrwali zimowy okres głodu. Jeśli szczęście im dopisało, to wkrótce wyruszą w prerię na łowy. Skoro już w tej okolicy pokazały się antylopy, to i bizona rozpoczęły swą wędrówkę na północ.

Gdy stado antylop zniknęło w dali. Tehawanka i Mem'en gwa znów poczęli iść w kierunku południowym. Szli coraz wolniej utykając w otworach nor.

Około południa słońce już mocno przygrzewało. Szybko topniejący śnieg iskrzył się jaskrawym blaskiem. Tehawanka wciąż wypatrywał na horyzoncie pasma wzgórz, coraz częściej przystawał, osłaniał oczy, aż wreszcie zatrzymał się i dłońmi zakrył twarz. Mem'en gwa szła nieco w tyle, teraz zrównała się z nim. Stała zdumiona. Tehawanka opuścił głowę na piersi, dłońmi zasłaniał twarz, a spod jego palców płynęły łzy.

Widok płaczącego dzielnego młodzieńca sprawił na niej niemałe wrażenie. Przez chwilę spoglądała niepewnie, a potem szepnęła:

- Co się stało, Tehawanka? Co ci jest?!

Bez słowa opuścił dłonie. Spod zaciśniętych, zaczerwienionych, obrzękłych powiek spływały łzy. Grymas bólu przewinął się po jego twarzy, którą zaraz ukrył w dłoniach.

- Co się stało? - ponowiła pytanie Mem'en gwa. - Dlaczego płaczesz?!

- Nie płaczę - odparł Tehawanka stłumionym głosem. - Łzy same płyną. Oczy mnie boją, nie mogę patrzeć na blask. Nic nie widzę...

Mem'en gwa podejrzliwie spoglądała na młodego Wahpekute. Drgające mięśnie twarzy zdradzały, że starał się ukryć swe cierpienie.

- Czy naprawdę mimo otwartych oczu nic nie widzisz? - niedowierzająco zapytała po chwili.

- Wszystko widzę niewyraźne, jakby zamazane* [przyp.: Na preriach Ameryki Północnej, wczesną wiosną, Indianie często zapadali na czasową ślepotę, zwaną także śnieżną ślepotą (Ophtalmia nivalis, po angielsku snow blindness), powodowaną paraliżem wzroku przez promienie słoneczne odbite na śniegu. Jałowe zapalenie oczu przejawiało się silnym przekrwieniem spojówki i siatkówki, mocnym pieczeniem, obrzękiem, łzawieniem i światłowstrętem. W czasie choroby występują czasem ubytki w polu widzenia, w cięższych ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> przypadkach może grozić ślepota na całe życie.] - odpowiedział Tehawanka.

- Pewno zły duch cię nawiedził - szepnęła zalekciona. - Może to klątwa naszego szamana dosięgła cię za to, co uczyniłeś?

- Wasz szaman jest wielkim czarownikiem, ale to nie jest jego sprawka - zaprzeczył. - Tak nieraz zdarza się ludziom na prerii w śnieżne zimy. Widziałem już takich, którzy nagle oślepli.

- Czy jesteś pewny, że to nie zły duch w nich wstępuje?!

- Czerwony Pies, który jest potężnym i mądrym szamanem sam mi to wyjaśniał. Czy wiesz, skąd się bierze śnieg?

- Nie wiem...

- Małe niewidzialne owady są zarodkami śniegu. Gdy śnieg pada wlatują one ludziom do oczu, drażnią je i oślepiają. Dlatego choroba ta nawiedza ludzi tylko w śnieżne zimy.

- Nigdy o tym nie słyszałam! A cóż się staje z tymi owadami, gdy śnieg stopnieje?

- Wtedy przemieniają się w pasikoniki* [przyp.: Pasikoniki (Tettigowioidea) - nadrodzina owadów obejmująca około 4000 gatunków. Pasikoniki osiągają długość 1,5 - 10 cm, są barwy zielonej lub brunatnej. Mają długie lub skrócone skrzydła, a czasem są bezskrzydłe. Niektóre gatunki wydają dźwięki (ćwierkanie). Większość gatunków żyje w krajach zwrotnikowych lub podzwrotnikowych. Indianie chwyтали pasikoniki i szarańczę, które piekli i jedli.] - wyjaśnił

Tehawanka.

- A cóż stanie się z owadami, które wpadły do twoich oczu? Czy także przemienia się w pasikoniki?

- Nie, one wypłyną ze łzami.

- Czy długo to potrwa zanim wypłyną?

Tehawanka nie odpowiedział od razu. Nie był pewny, co uczyni branka, gdy pozna prawdę. Czy zechce dobrowolnie pójść z nim dalej? Co się stanie, jeśli pozostawi go samego na łasce losu na prerii i umknie do swoich?

Mem'en gwa bacznie obserwowała młodzieńca. Zapewne odgadła, o czym rozmyślał, poblądła bowiem i spojrzała ku północy. Jeszcze potrafiłaby sama odnaleźć drogę do obozu Czipewejów.

Nagle oślepy Wahpekute był wobec niej bezsilny. Mogła odebrać mu broń i wszystko, co zabrał z jej domu, wszystko, co było dla niego świętością. Mogłaby nawet go zabić!

Podniecona, badawczym wzrokiem obrzuciła Tehawanke. Stał bezradny osłaniając twarz. Po krótkim namyśle podeszła do niego bliżej.

- Kiedy owady wyjdą z twych oczu? - zapytała. - Powiedz prawdę!

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Tehawanka wahał się jeszcze przez chwilę, po czym odparł:

- Sam nie wiem. Różnie bywa... Czasem to mija nawet w ciągu jednej nocy, a czasem trwa znacznie dłużej.

- Dłużej? Jak długo?!

- Czerwony Pies opowiadał o wodzu Yankton Dakotów, który oślepił na zawsze. Owady nawiedziły go podczas samotnego polowania w zimie na prerii. Przez wiele nocy błakał się, aż wreszcie inni

myśliwi znaleźli go prawie umierającego i doprowadzili do osady.

- Odsłoń twarz i spojrzysz na mnie! - poleciła dziewczyna.

Bez sprzeciwu opuścił dłonie. Łzy obficie płynęły mu z obrzękłych, mocno zaczerwienionych oczu. Nie uchylił głowy, gdy gwałtownie przysunęła dłoń do jego twarzy. Naprawdę utracił wzrok.

Mem'en gwa jeszcze raz odwróciła się ku północy. Pierś jej unosiła się w przyspieszonym oddechu. Jeszcze nie była zdecydowana. Potem znów spojrzała na Tehawanę. Stał z odsłoniętą twarzą, lecz kurczowo zaciskał napuchnięte powieki.

- Daj mi nóż! - odezwała się stłumionym głosem.

Nie mogła oderwać wzroku od błyszczącego w słońca stalowego ostrza. Wreszcie zdecydowanym ruchem zrzuciła z siebie derkę i odcięła długi, wąski pas. Potem sama wsunęła ostrze noża do pochwy, przytroczonej do rzemienia opasującego Tehawanę.

- Siadaj, zasłonę ci oczy. Mniej będą bolały - powiedziała.

Obmyła mu twarz i zapuchnięte powieki topniejącym śniegiem, po czym owinęła czoło przepaską, jednocześnie zasłaniając oczy.

- Czy będziesz mógł iść dalej i wskazywać mi drogę? - zapytała.

- Mogę, Mem'en gwa - odparł krótko, jak gdyby nic się nie stało.

- Chodź, będę twoimi oczami - powiedziała to cichym i miłym głosem, jak wtedy, gdy po raz pierwszy ujrzał ją w czipewejskim wigwamie.

Tehawanka powstał, ujęła go za rękę i poprowadziła na południe.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter
<http://www.processtext.com/abclit.html> Powrót do domu

Pałące promienie słońca szybko zacierały ślady po nocnym blizzardzie. Jeszcze tylko gdzieniegdzie wśród traw bielily się płachty topniejącego śniegu.

Życie znów budziło się na prerii. W dali czerniało stado bizonów, wokół którego buszowały wiecznie żarłoczne wilki i kojoty. Od czasu do czasu widać było umykające bystrookie, szybkonogie antylopy, a pieski preriowe harcowały w pobliżu nor, ostrzegając się szczekliwymi poświstywaniami, gdy w górze nad nimi pojawiał się polujący sokół.

Mem'en gwa uśmiechała się na widok zabaw piesków preriowych, które widząc ludzi stawały słupka i ciekawie na nich spoglądały. Z Tehawaną podczas drogi niewiele rozmawiała.

Młodzieniec siedł milczący, nasłuchiwał z uwagą, zdawał się węszyć i tylko co pewien czas wymieniał z Mem'en gwa uwagi o krajobrazie okolicy, w której, jak wynikało z jego objaśnień, orientował się dość dobrze.

W rzeczywistości Tehawanka był zaledwie jeden raz w tych stronach, towarzysząc wyprawie łowieckiej Wahpekute, ale zdołał zapamiętać szereg szczegółów, które obecnie były dla niego punktami orientacyjnymi.

Jak większość ludów pierwotnych, które żyły w surowych, prymitywnych warunkach, Indianie posiadali doskonały zmysł orientacyjny, spostrzegawczość oraz niezawodną pamięć. Właśnie dzięki temu nie błędzili podczas długich, dalekich wypraw łowieckich i wojennych. Nawet w chmurny dzień potrafili w nieznannej okolicy zachować właściwy kierunek, obserwując nie tylko położenie słońca, ale i sposób rośnięcia drzew, krzewów, szlaki zwierzęce, podczas gdy w nocy gwiazdy i księżyc służyły im za drogowskazy. Posiadali także doskonały węch, wzrok i słuch, potrafili zdumiewająco subtelnie wychwytywać drobne różnice kierunku, z którego napływały odgłosy. Dzięki tym cechom Tehawanka, choć zaniewidział, pewnie udzielał wskazówek Mem'en gwa, która teraz go prowadziła.

Tehawanka mężnie znosił swe cierpienie, nie skarżąc się ani jednym słowem. Tymczasem oczy jego łzawiły i piekły, przenikliwy ból zdawał się rozsadzać głowę, ale patrząc na niego niczego nie można było odgadnąć. Jak zwykle był spokojny, opanowany i czujny* [przyp.: Ludy prymitywne posiadały mniejszą wrażliwość zmysłu bólu i o wiele lżej niż współcześni ludzie cywilizowani znosili wszelkie cierpienia i katusze. Samoudręczanie i samotorturowanie było rozpowszechnione nie tylko wśród Indian obydwóch kontynentów amerykańskich, zwyczaj ten bowiem istniał także w południowej Azji. W parze z większą odpornością na ból szła mniejsza wrażliwość na zmęczenie i głód.].

Tehawanka rozmawiał z Mem'en gwa jedynie w celu wskazania właściwego kierunku drogi.

Obojętny wyraz twarzy i powściągliwość były wynikiem wpojonej od najmłodszych lat umiejętności panowania nad sobą. Zwłaszcza wobec obcych, a szczególnie w niezwykłych sytuacjach, Indianin zwykł odgradzać się murem pozornej obojętności. Publiczne okazywanie ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> uczuć wywoływało pogardę.

Tehawanka nie podziękował brance, gdy już dobrowolnie zdecydowała się doprowadzić go do osady Wahpekute, a przecież przez chwilę, która wtedy zdała mu się wiecznością, był

przygotowany na wszystko najgorsze. Instynktownie wyczuwał jej rozterkę, wahanie, był pewny, że spoglądała ku północy na powrotną drogę do Czipewejów.

Szlachetny postępek branki wzruszył Tehawanke, lecz tego nie uzewnętrznił. Zapewnianie o wdzięczności w tak dramatycznej dla niego sytuacji łatwo mogłoby być poczytane za proszenie o łaskę, o litość. Na to zaś nie zdobyłby się nawet za cenę własnego życia. Choć więc w jego sercu budziło się wiele uczucia dla szlachetnej dziewczyny, zachował tak charakterystyczną dla Indian obojętność.

Mem'en gwa tymczasem nie oczekiwała podziękowań. W społeczności indiańskiej przede wszystkim liczyły się uczynki, a nie słowa. Obecnie prowadząc Tehawankę za rękę czuła delikatny uścisk jego twardej, męskiej dłoni, który był wymowniejszy od jakichkolwiek zapewnień. Wiedziała, że los jej rozstrzygnie się po przybyciu do osady Wahpekute. Oczywiście nie mogła być pewna, jak zdany obecnie na jej łaskę i niełaskę Tehawanka zachowa się, gdy już będzie całkowicie bezpieczny wśród swoich, lecz mimo to jakoś nie odczuwała obawy. Indianin nigdy nie odpłacał złem za dobro.

Gdyby Ah'mik nie przyprowadził Tehawanki do obozu Czipewejów, Mem'en gwa, zgodnie z wolą matki, prawdopodobnie została by żoną Mish'wa waka. Potem jednak bardzo polubiła łagodnego Tehawankę, który był prawie jej - rówieśnikiem. Ah'mik zamierzał usynowić jeńca, wychwalał jego odwagę podczas walki z niedźwiedziem oraz męską postawę w chwili wzięcia go do niewoli, podkreślał jego dumę i pogardę śmierci. Dzięki temu właśnie Tehawanka wyrósł w oczach młodej dziewczyny na godnego podziwu junaka. Zachowanie jego świadczyło, że i on również ją polubił. Wtedy dała mu znać, że nie jest jej obojętny. Ofiarowała mu mokasyny.

Podczas bitwy z Lisami na jeziorze Mem'en gwa poznała tajemnicę Tehawanki. Ah'mik był zabójcą jego ojca, któremu także zabrał zawiniątko ze świętymi przedmiotami i czarodziejską tarczę. W myśl odwiecznych indiańskich zwyczajów Tehawanka miał obowiązek pomścić śmierć ojca.

Tehawanka umykając z niewoli zmusił Mem'en gwa, żeby z nim poszła. Czyn ten również nie był niczym niezwykłym w pojęciu Indian. Wielu wojowników właśnie w ten sposób zdobywało sobie żony. Porywanie kobiet z innych plemion było niemal codziennym zjawiskiem, a życie branek przeważnie niczym nie różniło się od zamążpójścia w normalnych warunkach. Tak więc Mem'en gwa pogodziła się z losem. Później, gdy Mish'wa wak doścignął Tehawankę i wyzwał

do walki, znalazła się w rozterce. W myśl zwyczajów obydwaj rywale mieli prawo zbrojnie rozstrzygnąć spór. Mem'en gwa skryła się w wigwamie, nie chcąc patrzeć na pojedynek. Wynik sprawił jej pewną ulgę. Mish'wa wak zginął w niezwykłych okolicznościach. Tehawanka uszanował poległego Czipeweja. Czynem tym zdobył sobie jej szacunek. Dlatego nie opuściła go, gdy później zaniewidział, stał się bezbronny i bezradny.

Słońce właśnie chyliło się ku zachodowi, gdy Mem'en gwa przystanęła i oznajmiła: ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html>

- Widzę zarośla, drzewa! Nareszcie chyba jest ten strumień, o którym mówiłeś!
- Czy zarośla znajdują się na wprost przed nami? - zapytał Tehawanka.
- Nie, są bardziej na południe.
- Więc musimy pójść w tamtym kierunku. Jeśli Mem'en gwa nie pobłądziła, to idąc w górę strumienia wkrótce ujrzy wzgórze.
- Niewiele już dnia przed nami. Przy strumieniu zapewne będziemy musieli zatrzymać się na noc.

Nie wspomniała, że jest bardzo wyczerpana i głodna. Skromny zapas pemmikanu już się skończył, a przez ostatnie trzy dni nie mieli nic innego do jedzenia. Nie skarżyła się jednak, bo przecież Tehawanka mniej jadł od niej, był również zmęczony i w dodatku chory. Obydwoje od urodzenia przywykli do niedostatków, bowiem głód i niepewność jutra zawsze towarzyszyły Indianom od kolebki aż do śmierci.

Tuż przed zachodem słońca stanęli na skraju podłużnej kotliny o wklęsłym dnie, środkiem której płynął strumień. Po obydwóch jego brzegach rosły topole, jesiony, wiązy, wierzby i jałowce. Widok ich uradował Mem'en gwa, wychowana była w lasach Wschodu i monotonia prerii działała na nią przygnębiająco. Ochoczo więc wyszukała wśród drzew miejsce odpowiednie na nocleg, sporządziła posłanie z gałązek, po czym usadowiła na nim Tehawanke.

- Czy rozpalenie ogniska mogłoby tutaj zwabić nieprzyjaciół? - zapytała, gdy młodzieniec siadł na posłaniu.

- Jesteśmy już na terenach łowieckich Santee Dakotów - odparł. - To nasza ziemia.

- Więc rozpalę ognisko, ogrzejemy się i wysuszymy ubranie. Mokasyny nasiąkły wodą. Mam krzesiwo, którym z łatwością mogę rozpalić ogień.

- Więc Mem'en gwa odchodząc z domu zabrała to magiczne krzesanie iskier?

- Ten, który był moim drugim ojcem często kupował różne niezwykle rzeczy od białych ludzi.

Ofiarował mi krzesiwo i polecił, abym zawsze nosiła je przy sobie, gdy oddalam się od obozu.

Daj mi nóż, przygotuję drewno na opał. W nocy będzie przyjemniej przy ognisku.

Minęło trochę czasu zanim Tehawanka usłyszała trzaskanie płonącego ognia. Dziewczyna zdjęła mu z nóg mokasyny i położyła je na gałązkach w pobliżu ogniska. Potem ucięła róg opończy i w tak zaimprovizowanym naczyniu przyniosła trochę wody ze strumienia.

Wkrótce wycia kojotów oznajmiły Tehawance nadejście wieczoru. Wtedy poprosił Mem'en gwa o zdjęcie mu opaski z głowy. Otworzył oczy i rozglądał się wokoło.

- Czy widzisz blask ognia? - zapytała dziewczyna. Jego oczy były w dalszym ciągu mocno zaczerwienione i opuchnięte.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html>

- Widzę błyski... - odparł Tehawanka. - Owady jeszcze nie opuściły moich oczu.

- Wobec tego trzeba znów owinać głowę.

Siedzieli blisko przy ognisku. Mem'en gwa niespokojnie spoglądała na młodzieńca, który z takim

opanowaniem znosił swe kalectwo. Rozmyślała właśnie, jak długo choroba może naprawdę potrwać? Czy Tehawanka odzyska wzrok? Wreszcie pełna wątpliwości odezwała się:

- Mówiłeś o wodzu, którego zarodki śniegu oślepiły na zawsze. Któż to był?

Tehawanka wyrwany z zadumy westchnął i odparł:

- Miałem na myśli Wah na tah wodza grupy Yankton Dakotów, odważnego i sławnego wojownika. Zanim oślepl prowadził wiele zwycięskich wypraw wojennych przeciwko Mandanom i innym plemionom. Niestety podczas polowania niewidzialne owady wtargnęły do jego oczu i tak im tam było dobrze, że pozostały w nich na zawsze. Było ich tak dużo, że nawet zdołały zasnuć bielą jego oczy. Nieszczęście nawiedziło go, gdy był jeszcze w pełni sił i sławy.

- Czy ten wódz Yankton Dakotów jeszcze żyje?

- Nie, wkrótce potem, gdy zaniewidział, został zabity przez jednego ze swych ludzi, którzy przedtem bardzo się go obawiali. On był obdarzony nadludzką mocą. Toteż odważyli się go zabić dopiero wtedy, gdy sam stał się bezsilny* [przyp.: W rzeczywistości Wah na tah (Uciekające Zwierzę), wielki i sławny wódz Indian Yanktonai, żył dopiero o kilkadziesiąt lat później.

Walczył po stronie Anglików przeciwko Amerykanom podczas wojny 1812 r. i wyróżnił się w kilku potyczkach, za co otrzymał patent kapitana. Odtąd nosił europejskie ubranie oficerskie, buty z cholewami, zielone okulary, szablę i pistolety, czym stanowił niezwykle kontrast ze swymi półnagimi wojownikami. Uchodził za człowieka otoczonego nadludzką opieką, odkąd wyleczył się ze śmiertelnej rany (kula muszkietu przebiła mu brzuch i wyszła blisko, stosu pacierzowego). Plemieniem rządził despotycznie i budził postrach, jego słowo było prawem.

Pobierał wysokie opłaty od białych kupców zimujących w jego obozie, ale w zamian otaczał ich swą opieką. Wówczas plemię liczyło około 400 chat. Urządzał wyprawy wojenne przeciwko Mandanom i Gros Ventre Podczas jednej z nich, przechodząc koło posterunku handlowego kupca Primeau, zażądał amunicji i spotkał się z odmową. Po przegranej bitwie, podczas której zabrakło mu kuł, zabił Primeau i ograbił posterunek. Wah na tah zapadł na śnieżną ślepotę, która spowodowała całkowitą utratę wzroku i utworzenie się katarakty na obydwóch oczach. Wtedy wodzem obrano Wahh pai sha (Czerwony Liść), a oślepl Wah na tah został zastrzelony przez jednego ze swych wojowników w 1848 r].

- Tylko tchórze tak postępują! - z oburzeniem powiedziała Czipewejka.

- Mem'en gwa, chociaż jest kobietą, myśli jak prawdziwy mężczyzna. Teraz jednak prześpijmy się trochę. Może złośliwe owady opuszczą moje oczy podczas snu.

- Skoro śniegi stopniały, to i one muszą zniknąć - szepnęła Mem'en gwa. - Odpocznij, będę czuwała.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Otuliła go opończą, a sama owinęła się derką i przysiadła na brzegu posłania.

Tej nocy Mem'en gwa niewiele spała. Co pewien czas dorzucała chrustu do ogniska. Z

niepokojem spoglądała na kojoty, które podchodziły bardzo blisko i wysuwały swe ostro zakończone pyski wężąc za żerem. Tehawanka uspokajał ją, zapewniając, że kojoty rzadko napadają na ludzi, ale mimo to sam często budził się z drzemki i nasłuchiwał.

Wreszcie nastał świt. Zaraz ruszyli w górę strumienia. Zgodnie z przewidywaniami Tehawanki niebawem na południowym horyzoncie wyłoniło się pasmo wzgórz. Zaledwie Mem'en gwa to oznajmiła, młodzieniec rzekł:

- Teraz niech Mem'en gwa prowadzi wprost na wschód. Nim słońce stanie w zenicie, wejdziemy w las. Tam już znajdziemy wiele ścieżek wiodących wprost do jeziora, nad którym leży osada Wahpekute.

- Może napotkamy kogoś, zanim dojdziemy do osady - odezwała się dziewczyna.

- To jest możliwe. Nasi myśliwi często tutaj polują, a bizona już pojawiły się w okolicy.

Mem'en gwa trwożliwie rozejrzała się wokoło. Bała się Dakotów. Tyle nasłuchiwała się o ich gwałtownym usposobieniu i okrucieństwie. W opowiadaniach tych musiało być wiele prawdy, skoro różne plemiona indiańskie nazywały ich podrzynaczami gardeł, ucinaczami rąk i przypiekaczami. Zatrwożona możliwością rychłego zetknięcia się z Wahpekute zerknęła na Tehawankę. Był jak zwykle spokojny i opanowany. Na ustach jego błąkał się uśmiech. Zapewne rozmyślał o radosnym powitaniu oczekującym go w rodzinnej osadzie. Widok młodzieńca uspokoił ją trochę. Pomyślała, że może Czipewejowie zbyt surowo osądzali Dakotów, stykając się z nimi jedynie na wojennych wyprawach.

Weszli w las, Mem'en gwa natrafiła na ścieżkę, a wkrótce zatrzymała się i oznajmiła:

- Ścieżka rozwidła się tutaj w kierunku północnym i na południowy wschód. Którą drogą mamy pójść teraz?

- Obydwie wiodą do osady Wahpekute - odparł Tehawanka.

- Idąc na południowy wschód okrążalibyśmy jezioro, to dalsza droga. Pójdziemy na północ, wprost do osady.

Przez jakiś czas szli przez puszcę. Naraz, gdzieś za nimi rozbrzmiał nawołujący zew indyka*

[przyp.: Indyk dziki (Meleagris gallopavo) dawniej, w swojej ojczyźnie, zamieszkiwał lasy Ohio, Kentucky, Illinois, Arkanzasu, Tennessee i Alabamy, obecnie zaś prawie wytępiony zachował się tylko w południowej części USA i w Meksyku. Podgatunek południowy, występujący w Meksyku, był ptakiem - domowym Azteków i stamtąd został przewieziony do Hiszpanii w pierwszej połowie XVI w. Obecnie hodowane w USA i w zachodniej Europie. Dzikie indyki często zbierały się w olbrzymie stada i podejmowały nieregularne wędrówki. We dnie wędrowały przez lasy i żerowały na ziemi, w nocy odpoczywały na drzewach. Napotykanie rzeki przebywały ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter

<http://www.processtext.com/abclit.html> przelotem, a gdy wpadały do wody, usilnie wiosłowały nogami. Swój okres godowy rozpoczynały w połowie lutego.]. W odpowiedzi rozległy się nieco oddalone, szybko następujące po sobie, gulgoczące głosy indyczek.

- Indyki się zwołują - zauważyła Mem'en gwa. - Mogłabym upolować jednego, mielibyśmy pożywienie.

Tehawanka przystanął zasłuchany w rozbrzmiewające głosy, a gdy ucichły, rzekł uśmiechając się do dziewczyny:

- Mięso indyków czyni człowieka tchórzliwym, a poza tym te ptaki prędzej mogłyby zapolować na nas.

- Nie kpij ze mnie! - oburzyła się. - Umiem strzelać z łuku i na pewno dogonię ociężałego ptaka.

- Czy Mem'en gwa nie zwróciła uwagi, że głos indyka rozległ się za nami, a indyczki odpowiedziały mu z kierunku, w którym podążamy?

- Cóż w tym dziwnego? Całe stada indyków włączają się po puszczy.

- To prawda i dlatego też ich nawoływania, zwłaszcza w obecnej porze godowej, najmniej budzą podejrzeń. Jestem pewny, że to zwiadowcy Wahpekute ostrzegają się wzajemnie, naśladując indycze głosy.

- Więc już zostaliśmy spostrzeżeni?

- Do osady niedaleko, więc strażę czuwają. Nie mogli mnie rozpoznać, ponieważ głowę mam obwiązaną, a na nogach noszę mokasyny, które otrzymałem od ciebie. Ślady stóp pozostawione na ziemi wprowadziły zwiadowcę w błąd. Przypuszcza, że obydwójce jesteśmy Czipewejami.

- Dlaczego strażę nas nie zatrzymują?

- Dziewczyna i mężczyzna nie mogą zagrozić dużej osadzie. Zwiadowcy już na pewno przeszukują najbliższą okolicę, aby sprawdzić, czy więcej Czipewejów nie podąża za nami.

- Daj im się poznać! Mogą strzelić z ukrycia!

- Niech Mem'en gwa wyzbędzie się obaw. Niosę tarczę tego, który niegdyś był wojennym wodzem Wahpekute. Zwiadowcy musieli to spostrzec. Nasi wojownicy pamiętają czarodziejskie znaki wymalowane na tarczy. To przede wszystkim ich intryguje.

Przez jakiś czas szli przez puszczy nie niepokojeni przez nikogo. Wreszcie pomiędzy drzewami zaczęła przeświecać tafla wód jeziora. Mem'en gwa, która przez cały czas podejrzliwie spoglądała wokoło, naraz obejrzała się i szepnęła: ABC Amber LIT Converter
<http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter
<http://www.processtext.com/abclit.html>

- Są, są, idą za nami! Jest ich kilku. Za nimi również podąża grupka kobiet.

- Strażnicy ubezpieczają się, odcinają nam odwrót. Kobiety na pewno zbierały drzewo w lesie i dołączyły się do nich - cicho wyjaśnił Tehawanka. - Nie zwracaj na nich uwagi. Już niedaleko do osady!

Na brzegu jeziora ukazało się rozległe osiedle okolone wysokim ostrokołem, w którym widniały strzelnicze otwory. Ponad ogrodzeniem widać było okrągłe, kopulaste dachy chat krytych ziemią, które z dala wyglądały jak dymiące pagórki. Zbliżała się pora głównego posiłku dnia, toteż dym z ognisk płonących w ziemiankach ulatywał przez otwory pozostawione w tym celu pośrodku dachów. Na dachach niektórych ziemianek bieleły się czaszki bizonów, a przed wejściem do wnętrza domostw, na wysokich tykach wbitych w ziemię, powiewały godła znaczących wojowników. Gwar podnieconych ludzkich głosów mieszał się z naszczekiwaniem psów.

- Czy wejście do osady pozostawiono w ostrokołe otwarte? - zapytał Tehawanka.

- Tak, tak, czy mamy przejść przez nie?

- Tak właśnie uczynimy - potwierdził Tehawanka. - Potem niech Mem'en gwa idzie dalej prosto, aż napotka największą chatę. Przed nią ujrzy białe wilcze ogony zawieszane na wysokich tykach, to godło Czerwonego Psa, mego dziadka. Do niego mnie prowadź!

Przekroczyli bramę w ostrokołe. Mieszkańcy osady uprzedzeni przez zwiadowców tłumnie wylegli na majdan. Gdy dwoje przybyszów weszło do osady gwar głosów przycichł, tylko gromada psów rzuciła się ku obcym szczekając i szczerząc kły.

Mem'en gwa przestraszona napaścią cofnęła się gwałtownie, lecz Tehawanka ostrym głosem krzyknął kilka słów w języku Dakotów i sfora psów z podtulonymi ogonami rozbiegła się natychmiast.

Mem'en gwa poprowadziła Tehawanke w głąb osady. Zaintrygowany tłum mężczyzn, kobiet i dzieci w milczeniu rozstępował się przed nimi, śledził bacznie spojrzeniem. Znow zaczęły padać ciche uwagi, które z każdą chwilą stawały się coraz głośniejsze. Młody przybysz niósł

magiczną tarczę poległego wodza Wahpekute, sprawiał wrażenie niewidomego i był prowadzony przez Czipewejkę.

Naraz rozległ się stłumiony okrzyk. Młoda dziewczyna roztrąciła szpaler i przypadła do niezwykłego przybysza, który jakby wyczuł jej obecność, gdyż zatrzymał się tuż przed nią. Ona tymczasem pełnym niedowierzania wzrokiem spoglądała na zawiniątko ze świętymi przedmiotami na piersiach przybysza i na tarczę, którą dzierżył w prawej ręce. Potem zatopiła swe spojrzenie w jego poważnej twarzy. Łzy napłynęły do jej oczu. Uniosła rękę i drżącymi palcami ostrożnie dotknęła jego ust.

- Tehawanka... Jedyny bracie mój, żyjesz naprawdę... wróciłeś... - szepnęła zdławionym głosem.

- Witaj, Poranna Roso, moja sestro... - cicho rzekł Tehawanka nie mniej wzruszony.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Wśród Wahpekute rozbrzmiały radosne okrzyki. Imię Tehawanki, wnuka szamana i wodza, Czerwonego Psa, podawane było z ust do ust. W tej podniosłej i pełnej wzruszenia chwili nikt nawet nie poczytał za złe ani Tehawance ani Porannej Rosie tych kilku powitalnych słów, chociaż surowy obyczaj zabraniał dorastającym braciom i siostram bezpośrednich rozmów.

Wszyscy jednakowo cieszyli się i byli wzruszeni.

Poranna Rosa oczami pełnymi łez spoglądała na ukochanego brata. Nie odważyła się już o nic zapytać, chociaż przerażała ją jego obwiązana głowa. Ręką dała znak towarzysze brata, aby szła za nią.

Mem'en gwa poprowadziła Tehawanę. Trzymając się za ręce szli wprost ku najokazalszej chacie wodza, a tłum podnieconych radością Wahpekute podążał za nimi.

Poranna Rosa odchyliła skórę bizona zasłaniającą wejście do chaty. Mem'en gwa po raz pierwszy ujrzała dom Wahpekute Dakotów. Kopulasty strop obszernej ziemianki, mogącej pomieścić kilkadziesiąt osób, podierały w środku cztery centralne, grube słupy, pomiędzy którymi żarzyło się ognisko. Na tylnej ścianie za ogniskiem, na wprost wejścia, stał domowy ołtarzyk. Wzdłuż kolistej ściany mieściły się legowiska dla poszczególnych domowników, odgrrodzone od siebie skórzanymi zasłonami, a pomiędzy nimi pozostawiono wolne miejsca na sprzęty gospodarskie, ubranie, zapasy żywności, opał i uprzęż z włókami dla psów.

Mem'en gwa zdążyła zaledwie zerknąć na wnętrze ziemianki, gdyż przy ognisku, na jednej ze skór leżących na klepisku, ujrzała siedzącego wysokiego, starszego mężczyznę. Futrzana czapka z czterema sokolimi piórami, naszyjniki z kłów i pazurów wilków i niedźwiedzi oraz święte znaki pokrywające twarz i piersi wskazywały na niezwykle zasługi i wysokie stanowisko zajmowane w plemienu. Za jego plecami, na specjalnym stojaku, spoczywały liczne trofea wojenne, wśród których naczelnym miejsce zajmowały skalpy napięte na okrągłe ramki. Poważny, skupiany wyraz twarzy i jego przenikliwy wzrok nakazywały wszystkim szacunek. To był

właśnie Czerwony Pies, dziadek Tehawanki.

Mem'en gwa onieśmielona podprowadziła Tehawanę do starego wodza - szamana, po czym sama zaraz chciała się cofnąć, ale młodzieniec silniej przytrzymał jej dłoń i zmusił, aby została przy nim.

Czerwony Pies siedział nieruchomo jak posąg wykuty z kamienia. Ani jeden mięsień nie drgnął

w jego twarzy. Tylko przenikający na wskroś wzrok prześliznął się po przybyszach. To mu jednak wystarczyło do stwierdzenia, że jego wnuk musiał zaniewidzieć lub stracić oczy.

Czipewejska dziewczyna, którą jeszcze teraz trzymał za rękę, zapewne pomogła mu wrócić do osady. Od razu też rozpoznał zawiniątko ze świętymi przedmiotami i magiczną tarczą ojca Tehawanki, który poległ w walce z Czipewejami. W jaki sposób jego ukochany wnuk zdobył te świętości?! Duma i radość rozpieierały męzną pierś szamana, ale nadal pozostał nieruchomy jak posąg.

Po długiej, wymownej chwili milczenia powstał i rzekł:

- Witaj, synu! Wróciłeś do domu. Z wielką troską o ciebie długo czekaliśmy na twój powrót.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter
<http://www.processtext.com/abclit.html> Tehawanka pochylił się nisko w pokłonie.

- Wybacz, ojcze, że nie zdołałem wypełnić swego zadania - powiedział. - Łowy nie były dla mnie pomyślne...

- Później, synu, opowiesz wszystko radzie starszych - przerwał mu Czerwony Pies. - Widać po tobie trudy dalekiej drogi. Dlaczego kryjesz swe oczy?

- Podczas ucieczki z niewoli u Czipewejów blizzard zaskoczył mnie na prerii. Zarodki śniegu wtargnęły do moich oczu i pozbawiły mnie wzroku. Pozwól, ojcze, przyprowadziłem do naszego domu mego przyjaciela. To Mem'en gwa, mój gość. Może stąd odejść i wrócić do swoich, kiedy tylko zechce.

Szaman uważnie spojrział na Czipewejkę. Odgadł prawdę. Dziewczyna była załęczniona, więc uśmiechnął się do niej, położył swą dłoń na jej ramieniu i odezwał się w narzeczu algonkińskim:

- Witaj, córko, w naszym domu! Gość mego syna jest moim gościem, gościem wszystkich Wahpekute. Gdy nasza gościna cię znudzi odprowadzimy bezpiecznie, dokąd tylko zechcesz.

Jesteś zmęczona i na pewno głodna. Poranna Rosa zaopiekuje się tobą jak własną siostrą.

- Dziękuję, mój ojcze - powiedział Tehawanka, pochylając się przed starcem.

Mem'en gwa dopiero teraz pojęła, że została potraktowana jako gość i tym samym nie musiała już obawiać się krzywdy ze strony Wahpekute. Łzy radości pojawiły się w jej oczach. Razem z Tehawanką pochyliła się przed szamanem.

Czerwony Pies uśmiechnął się do wnuka i czipewejskiej dziewczyny. Posągowa obojętność zniknęła z jego twarzy. Po chwili odezwał się:

- Synu mój, zawiniątko ze świętymi talizmanami twego ojca, które nosisz na swej piersi i jego magiczna tarcza znów radują moje stare oczy. Czy dłoń twa dosięgła zabójcy?

- Nie zastałem go w wigwamie, gdy zabierałem świętości. On wtedy walczył z Lisami na jeziorze i zginął - odparł Tehawanka, a potem cicho dodał: - To był drugi ojciec Mem'en gwa.

Postąpiłem w myśl wskazówek mego Ducha Opiekuńczego.

- Cień twego ojca raduje się dzisiaj w Krainie Wielkiego Ducha. Złóż świętości na należnym im miejscu.

Tehawanka prowadzony przez szamana podszedł do domowego ołtarzyka i położył na nim talizmany

ojca obok zawiniątka ze świętymi przedmiotami Czerwonego Psa.

Wtedy szaman klasnął w dłonie. Z głębi chaty wynurzyły się jego dwie żony, starsza i młodsza.

Zaledwie powitały Tehawanę, Czerwony Pies rzekł:

- Powiadomcie obwoływacza* [przyp.: „Tak zwani „obwoływacze” byli jakby heroldami ogłaszającymi ogółowi ważne polecenia lub wydarzenia. Obwoływacz mógł oznajmiać nowo ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> nadane komuś imię, zamiar urządzenia wyprawy wojennej lub łowieckiej, ważną naradę, ucztę itp., za co otrzymywał wynagrodzenie od tego, kto go najmował.], aby zaprosił członków rady starszych na wieczorną ucztę. Musimy godnie uczcić dzisiejszy dzień. Zabijcie najbardziej utuczonego psa* [przyp.: Pies był jedynym zwierzęciem domowym Indian przed przybyciem białych ludzi. Na preriach były dwie odmiany psów: duża, wielkości wilka i mała, wzrostu kojota. Psy przede wszystkim były używane jako zwierzęta juczne i do ciągnięcia włók (travois)].

Niektóre plemiona (Szoszoni i Kutenai; używały psów do ścigania płowej zwierzyny i łosi, a Komancze trzymali je jedynie jako ulubieńców domowych. Szereg plemion jadało psie mięso jako przysmak godny zasłużonych ludzi (Arapahowie zyskali przydomek - Zjadacze Psów), a Dakotowie szczególnie przypisywali wiele wagi do poczęstunku psim mięsem podczas ważnych ceremonii i narad. Toteż w osadach i obozach indiańskich znajdowały się całe sfory psów i każda rodzina miała ich co najmniej 20.]. Najpierw wszakże zajmijcie się Tehawaną i gościem. Są zmęczeni i głodni. Podejź do ogniska, synu, muszę zajrzeć w twoje oczy!

Czerwony Pies przede wszystkim przebrał wnuka w nowe, suche odzienie, a potem długo badał jego oczy, szepcząc przy tym jakieś zaklęcia czy modlitwy. Potem sporządził wywar ziołowy, namoczył w nim bandaż z włókna brzoźowego, nałożył kompresy na chore oczy i owinął głowę.

Po dokonaniu zabiegu przez pewien czas siedział zapatrzony w ognisko. Twarz jego znieruchomiała, w chacie zapanowała pełna niepokoju cisza. Kobiety skupione w zakamarku ziemianki trwożliwie oczekiwały na orzeczenie szamana.

Czerwony Pies wreszcie otrząsnął się z zadumy. Na jego skamieniałej twarzy znów pojawił się uśmiech. Pochylił się ku wnukowi i rzekł:

- Oczami ducha widziałem ciebie na dalekiej, samotnej wyprawie wojennej. Jest to nieomylny znak, że zarodki śniegu niebawem opuszczą twe oczy. Wkrótce odzyskasz wzrok.

Radosne okrzyki kobiet zawtórowały pomyślniej przepowiedni. Teraz, nie tracąc czasu, rozpoczęły przygotowania do uczy, na którą już zapraszał obwoływacz. Mem'en gwa przebrana w świeże odzienie Porannej Rosy i nakarmiona pomagała kobietom, które, ciekawe przeżyć Tehawanki, pytywały ją za pomocą mowy znaków.

Młodsza żona Czerwonego Psa schwyciła grubą, drewnianą pałkę i wybiegła z chaty. Po chwili

rozbrzmiał przeraźliwy skowyt psa.

Przybądź bizonie!

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Minęło kilka dni od uroczystej uczytu urządzonej przez Czerwonego Psa dla uczczenia zwycięskiego powrotu wnuka z niewoli u Czipewejów. Tehawanka właśnie stał na pagórku, skąd mógł obserwować wylot wąwozu, gdzie gromada kobiet przygotowywała poletka pod uprawę kukurydzy* [przyp.: Kukurydza (*Zea mays*) jest jedynym zbożem pochodzącym z Ameryki, gdzie stanowiła zboże chlebowe Majów, Azteków oraz Inków i była przez nich spożywana pod postacią placków i kaszy. Indianie ci stosowali nawet sztuczne nawodnienie. Ojczyzną kukurydzy, której istnieje wiele odmian, jest płaskowyż centralny oraz południowy Meksyk.

Kukurydza nie znana jest w stanie dzikim, jej pierwotne formy odkryto w znaleziskach sprzed 4500 lat. Kukurydza została sprowadzona z Ameryki do Hiszpanii i Włoch w pierwszych latach XVI w., skąd bardzo szybko rozpowszechniła się w Europie, Azji i Afryce. W Polsce występuje przy końcu XVIII w. Z wyjątkiem ryżu, tylko pszenica może rywalizować z kukurydzą pod względem obfitości plonów. Obecnie główne ośrodki uprawy kukurydzy stanowią: USA (od południowego Meksyku aż po jeziora amerykańsko - kanadyjskie, tzw. corn belt - pas kukurydzy), Chińska Republika Ludowa, ZSRR, Brazylia, Meksyk, Republika Południowej Afryki, Jugosławia, Rumunia, Indie, Argentyna, Włochy i Węgry (kolejność według rozmiarów produkcji). Fasola, pomidory i kartofle pochodzą z Peru.], dyń, fasoli i słoneczników. Oprócz Tehawanki, który już całkowicie odzyskał wzrok, jeszcze kilku Wahpekute czuwało nad bezpieczeństwem pracujących kobiet, ponieważ obawiano się odwetu za uprowadzenie Mem'en gwa.

Ostrożność nie była pozbawiona podstaw. Na dwa dni przed powrotem Tehawanki, kilku Wahpekute polowało na płową zwierzynę w puszczy na północ od osady. Podczas łowów natknęli się na pięciu zbrojnych Czipewejów myszkujących po puszczy, urządzili więc zasadzkę i po krótkiej walce zmusili do ucieczki. Myśliwi natychmiast powrócili do osady, aby ostrzec, że wrogowie włóczą się w pobliżu.

Rada starszych zaraz rozesała zwiadowców i wyznaczyła strażę wokół osady. One też spostrzegły powracającego Tehawankę i Mem'en gwa, biorąc ich obydwójce za Czipewejów. Po powrocie Tehawanki sprawa stała się zupełnie jasna. Oprócz Mish'wa waka jeszcze druga pogoń ścigała uciekinierów. W takiej niebezpiecznej sytuacji konieczne jeszcze było zachowanie ostrożności przez dłuższy czas.

Z pagórka, na którym obecnie czuwał Tehawanka, doskonale było widać wąwóz oraz szeroki pas prerii. Wylot wąwozu znajdował się w pewnej odległości od osady, ale za to ziemia była tu urodzajna, miękka, a murawa niezbyt wysoka.

Uprawa roli całkowicie należała do obowiązków kobiet. One spulchniały ziemię i formowały z niej rzędy miniaturowych kopczyków posługując się motyką z łopatki bizona lub łosia, przymocowanej do drewnianego styliska. Następnie w kopczyku drażyły kijem otwór na ziarno kukurydzy i po zasianiu wyrównywały ziemię drewnianymi grabiami. Wreszcie później dozorowały, aby ptaki i zwierzęta nie niszczyły zasiewów.

Tehawanka spoglądał w kierunku kobiet, wśród których znajdowały się Poranna Rosa i Mem'en gwa. Kobiety rozmawiały podczas pracy, żartowały i tylko od czasu do czasu zerkały na niemowlęta spoczywające w indiańskich kołyskach* [przyp.: Indiańska kołyska (po angielsku cradleboard) u różnych plemion posiadała inne kształty. Najbardziej typowa składała się z dwóch odpowiednio długich, płaskich deseczek, złożonych w kształcie litery V, połączonych ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> poprzeczkami. Do tej drewnianej ramy przymocowywano skórzany pokrowiec, sznurowany od dołu aż do otworu pozostawionego na twarz dziecka. „Kołyska” mogła być noszona przez matkę na plecach, można było umocować ją na włókach, zawiesić na końskim siodle lub gałęzi i oprzeć o drzewo, u Indian prerii kołyska pierwotnie służyła jedynie do przenoszenia dziecka podczas wędrówki, lecz na przykład u Indian Salish na Północno - Zachodnim Wybrzeżu pełniła rolę kołyski w naszym pełnym pojęciu tego słowa.], zawieszonych na gałęziach drzew u wylotu wąwozu. Kołyski te, oprócz włók dla psów, były jednym z kilku praktycznych urządzeń, które wymyślili Indianie prerii jeszcze jako typowi piechurzy. Dzięki indiańskiej „kołysce” dziecko nie mogło sobie zrobić krzywdy i było bezpieczne, a zarazem nie przeszkadzało rodzicom podczas wędrówki i w pracy.

Tehawanka spoglądając ku kobietom rozmyślał o brance i siostrze. Dziewczęta prawie od razu zaprzyjaźniły się ze sobą i Mem'en gwa nie wspominała o powrocie do Czipewejów. Tehawanka bardzo polubił Mem'en gwa, ale teraz nie mógł jeszcze myśleć o wzięciu jej za żonę. Podczas uczyty u Czerwonego Psa rada starszych plemienia z uwagą wysłuchiwała jego wyjaśnień na temat niefortunnych samotnych łowów, zakończonych niewolą u Czipewejów.

Członkowie rady pochwalili wykazaną roztropność, cierpliwość i odwagę. Uznali, że odebranie wrogom zawiniątka ze świętymi przedmiotami i magicznej tarczy ojca było zaszczytnym czynem wojennym, przewyższającym nawet jego pomyślną ucieczkę z niewoli.

Jednocześnie rada starszych oznajmiła Tehawance, że podczas nadchodzących uroczystości

„Tańca Słońca”* [przyp.: „Taniec Słońca” (Sun Dance) był charakterystyczną dla Indian prerii uroczystością religijną, gromadzącą w jednym miejscu raz na rok, przeważnie w połowie lata, całe plemię. Około dwudziestu plemion prerii dokonywało tego obrzędu, a nie spotykano go tylko u Paunisów, Wichite i Omaha oraz u kilku południowych plemion z rodziny Sju.

Szczególnie dużą wagę do obrzędów „Tańca Słońca” przywiązywali Dakotowie, Szejenowie i Arapahowie. Cała uroczystość obejmowała czterodniowe przygotowania i cztery dni tańców ku czci Słońca. Uroczystości towarzyszyły uczyty, modlitwy i pieśni cierpienia, a sam „Taniec Słońca” stanowił punkt kulminacyjny, podczas którego młodzieńcy byli poddawani próbom męstwa połączonym z samotorturą. Wielu Indian uczestniczyło w obrzędach „Tańca Słońca” dla wypełnienia ślubowań złożonych w zamian za pomoc otrzymaną od sił nadnaturalnych. Podczas tańców, doprowadzających nieraz do stanów ekstazy, tancerze czasem doznawali wizji. Ze względu na samotortury i wizje, rząd USA w 1904 r. zakazał odprawiania „Tańca Słońca” i zakaz ten został zniesiony dopiero w 1935 r.], na które Santee Dakotowie zbierali się w połowie lata, będzie mógł poddać się próbom męstwa, jeśli przedtem odbędzie jeszcze jedną wyprawę wojenną i udowodni na najbliższych łowach, że potrafi zdobywać pożywienie dla rodziny. Wtedy zostanie uznany za dorosłego i będzie przyjęty do grona wojowników.

Tehawanka cieszył się z pochwał i niecierpliwie oczekiwał wyruszenia na polowanie na bizony.

Właśnie teraz wielkie stada ciągnęły przez prerię z południa na północ, a kobiety potrzebowały dużo skór do sporządzenia nowych tipi, którymi Wahpekute posługiwali się podczas częstych wypraw.

Ku zadowoleniu Tehawanki wiosenne siewy już dobiegały końca. Po ich zakończeniu Wahpekute zawsze urządzali wielkie, plemienne łowy na bizony, by móc w połowie lata wyruszyć na uroczyste obrzędy „Tańca Słońca”. Potem powracali do osady w połowie sierpnia ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> na małe zbiory zielonej kukurydzy. Wtedy kaczany osiągały już normalną wielkość, ale ziarna jeszcze były miękkie i zawierały sok mleczny. Taka kukurydza uchodziła za przysmak. Zbiory zielonej kukurydzy wiązały się z dziękczynnymi obrzędami religijnymi i tańcami.

Zamyślony Tehawanka naraz zaczął nasłuchiwać. Po chwili ujął łuk i strzały. Ktoś szybko biegł przez gęszcze puszczy. Nieprzyjemny krzyk sowy rozbrzmiał trzykrotnie. Tehawanka uśmiechnął się i odłożył broń. Poznał hasło swego rówieśnika i przyjaciela z lat chłopięcych, którego nazywano Sha'pa, czyli sową, ponieważ potrafił do złudzenia naśladować głos tego ptaka. Wkrótce też ujrzał go wybiegającego z lasu.

- Sha'pa, tutaj jestem! - krzyknął

- Przynoszę dobrą wiadomość! - już z dala wołał Sha'pa.

- A ja myślałem, że umykasz przed niedźwiedziem - zażartował Tehawanka, patrząc na zadyszanego przyjaciela. - Robiłeś tyle hałasu, że niemal się przestraszyłem. Cóż to za dobra wiadomość?

Sha'pa usiadł na ziemi, po czym odetchnął głęboko i oznajmił:

- Rada starszych postanowiła, że już czas wyruszyć na łowy! Dzisiaj rozpocznie się przywoływanie bizonów! Czy jeszcze masz ochotę żartować ze mnie?!

- To naprawdę wspaniała wiadomość! - zawołał Tehawanka.

- Teraz rozumiem, dlaczego biegłeś do mnie bez wytchnienia. To wielka nadzieja dla nas obydwóch!

- Musimy czymś wyróżnić się na tych łowach - przywodził Sha'pa. - Oby tylko bizony raczyły wysłuchać naszych prośb!

- Wysłuchają nas, wysłuchają! - uspokoił go Tehawanka. - Taniec „Przybądź bizonie” jest niezawodny* [przyp.: Indianie prawie nigdy nie tańczyli dla rozrywki. Wspólne tańce mężczyzn i kobiet, chociaż nie były im całkowicie nieznane, nie stanowiły jakiegokolwiek charakterystycznej formy zabawy. Taniec był dla Indian rytuałem związanym z wieloma obrzędami oraz uroczystościami religijnymi i większość ich tańców miała ściśle określony cel. Tak więc Indianin tańcem wyrażał do bóstw prośbę o deszcz („Taniec Węża” Indian Hopi), tańczył na cześć sianego ziarna i tańcem

czcił zbiory, przed łowami tańcem przyzywał zwierzynę (taniec „Przybądź bizonie”), odbywał tańce wojenne przed wyruszeniem na wyprawę, którą wieńczył „Taniec Skalpu”, tańcem wyrażał wdzięczność za doznane łaski („Taniec Słońca” Indian równin), tańcem zwalczał złe duchy powodujące choroby („Wielki Taniec Uleczający” wschodnich plemion leśnych), tańcem czcił swe bóstwa: słońce, księżyc, planety, wiatr, deszcz, grzmot, błyskawicę i różne zwierzęta, bowiem we wszystkich przejawach życia na Ziemi upatrywał obecność i działanie nadprzyrodzonych mocy. Tańce podczas ważnych ceremonii religijnych były wielkimi widowiskami dla ogółu i pod pewnymi względami przypominały przedstawienia teatralne, ale forma ich odprawiania była dość statyczna. Natomiast inne tańce, a zwłaszcza wojenne i stowarzyszeń żołnierskich, zawierały wiele ekspresji.], a poza tym ojciec mego ojca, Czerwony ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Pies, posiada swoje sposoby na nie. Zawsze potrafi odnaleźć miejsce, w którym one przebywają.

Obydwaj młodzieńcy z ożywieniem snuli plany łowów i ani się spostrzegli, gdy kobiety zaczęły schodzić z poletek. Ochocho pobiegli za nimi, gdyż Poranna Rosa i Mem'en gwa umyślnie szły na samym końcu.

- Mem'en gwa może powiedzieć memu bratu, że siewy już skończone - odezwała się Poranna Rosa, nie zwracając się zgodnie z obyczajem bezpośrednio do Tehawanki.

Tehawanka zaś, chociaż słyszał jej słowa, poczekał dopóki Mem'en gwa nie powtórzyła mu tak upragnionej wiadomości i dopiero wtedy rzekł:

- Niech Mem'en gwa powie mojej siostrze, z czym przybiegł do nas Sha'pa. Już dzisiaj rozpocznie się przywoływanie bizonów!

Mem'en gwa, jako mieszkanka wschodniej krainy lasów, nie znała tego obrzędu plemion z północnej prerii, jednak od razu odgadła, że musiał on odgrywać ważną rolę w ich surowym, codziennym życiu. Toteż zaintrygowana zapytała:

- Nigdy dotąd nie słyszałam o przywoływaniu bizonów. Cóż to oznacza?

- Przed wyruszeniem na łowy myśliwi pod przewodnictwem szamanów muszą uprosić bizony, aby szlak swej wędrówki skierowały na nasze tereny łowieckie - wyjaśnił Tehawanka.

- Czy bizony zawsze wysłuchują waszych próśb? - dopytywała się zaciekawiona dziewczyna.

- Zawsze tak czynią! - zapewnił Tehawanka. - Tańczymy taniec bizonów tak długo, dopóki próśby nasze nie wpadną w ich uszy i nie skłonią do przybycia w nasze strony* [przyp.: W

rzeczywistości obrzęd „Przybądź bizonie” zawsze przynosił pożądany skutek, ponieważ szamani i myśliwi tańczyli na zmianę dzień i noc, nieraz nawet przez wiele tygodni, dopóki bizony nie pojawiły się w okolicy, co było wówczas rzeczą zupełnie naturalną, biorąc pod uwagę nieprzeliczone stada

wędrujące po prerii.]. Nasz uświęcony obrzęd zmusza je do przyjścia i zaspokojenia naszych potrzeb.

- W takim razie wkrótce rozpoczną się łowy!

- Wszyscy Wahpekute wyruszą na nie. Nawet kobiety i dzieci! Już od dawna nie mamy w osadzie mięsa. Pomyślnie łowy odsuną widmo głodu, zapewnią dostatek i radość. Czeka nas wszystkich wiele ciężkiej i odpowiedzialnej pracy. Gdy tylko myśliwi zakończą zabijanie bizonów, kobiety będą pomagały przy zdejmowaniu skór. One najlepiej wiedzą, do czego skóry będą im potrzebne, więc zastosują właściwy sposób zdejmowania i wyprawy. Musimy mieć nowe tipi, a do tego najlepiej nadają się skóry samic, cieńsze niż skóry byków. Potem kobiety będą pomagały przycięciu i dzieleniu mięsa, suszeniu na zapas, a wreszcie muszą przenieść je do osady.

- Czipewejki, jak sam widziałeś, również wykonują takie prace - wtrąciła Mem'en gwa. - Nasi myśliwi wciąż polują na płową zwierzynę.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html>

- Czy Mem'en gwa zechce pójść z nami na polowanie? - zapytał Tehawanka.

Dziewczyna zerknęła na młodzieńca. Wydawało się jej, że pod pozorną obojętnością ukrywał niepewność i obawę. Toteż uśmiechnęła się i po krótkiej chwili odparła:

- Czipewejowie na pewno już zwinęli obóz i także ruszyli na łowy. Teraz trudno byłoby mi ich odszukać. Jeżeli więc zależy ci na tym, mogę pójść z wami.

- Dziękuję, Mem'en gwa! - cicho rzekł Tehawanka. - To jest niezwykle ważne dla mnie polowanie. Pomyślnie łowy i jedna wyprawa wojenna umożliwią mi poddanie się próbom męstwa. Wtedy już będę wojownikiem!

- Kiedy to ma nastąpić?

- W połowie lata, gdy wszyscy Santee Dakotowie zbiorą się na uroczystości „Tańca Słońca”.

- To już niezadługo! - powiedziała Mem'en gwa i umilkła.

Niebawem znaleźli się w osadzie. Było tu rojno i gwarno. Mężczyźni przygotowywali broń: łuki, strzały i włócznie używane do polowania na bizona. Sprawdzali znaki na strzałach, po których potem rozpoznawano, czyj cios zadał śmierć zwierzęciu. Kobiety natomiast przygotowywały przenośne tipi, używane przez Wahpekute podczas dalekich wypraw poza osadę, przeglądały zapasowe mokasyny, włóki dla psów i pakowały żywność na drogę. W

pracach tych pomagały im dziewczynki, a chłopcy, uzbrojeni w dziecinne łuki, bawili się w polowanie na bizona goniąc gromady wyjących kundli.

Główny plac pośrodku osady był już uprzątnięty do zapowiedzianej uroczystości. Zaledwie słońce pochyliło się ku zachodowi, mieszkańcy osady zaczęli gromadzić się wokół placu zebrania i obrzędów. Wkrótce też pojawili się grajkowie z bębnami i grzechotkami. Naraz wszyscy umilkli.

Nadchodził wódz i zarazem potężny szaman, Czerwony Pies.

Szaman przybrał swą głowę w ceremonialny, czarodziejski pióropusz z orlich piór, który stanowił swego rodzaju odmianę zwykłego, wojennego pióropusza. Ten strój głowy składał się z obcisłej, skórzanej czapki zakrywającej ciemię, do której przytwierdzony był pojedynczy pas sterzących orlich piór, opadający poprzez plecy aż do kolan. Na skroniach, po obydwóch bokach głowy czerniły się rogi bizona, przymocowane do obcisłej czapki. Taki ceremonialny strój głowy mogli nosić tylko nieliczni, bardzo zasłużeni ludzie obdarzeni nadnaturalną mocą.

Oprócz niezwykłego pióropusza Czerwony Pies przywdział także obrzędową koszulę ze skóry jelenia, przybraną na szwach i u dołu kępami włosów* [przyp.: Koszule te często mylnie nazywano „wojennymi” lub „skalpowymi”, ponieważ Europejczycy mniemali, że zdobiące je włosy pochodzą ze zdobytych loków skalpowych. W rzeczywistości jednak nie były to stroje wojenne, gdyż Indianie na wojennej ścieżce, dla zachowania całkowitej swobody ruchów, ubierali się jedynie w przepaskę biodrową, nogawice i mokasyny. Ponadto włosy obramowujące koszulę nie musiały pochodzić z ludzkiej głowy. Na przykład Dakotowie i Szejenowie do zdobienia ich używali końskich włosów, a Czarne Stopy i niektóre inne plemiona używały do tego celu wąskich pasków ze skór białych łasic. Koszule tego typu stanowiły strój na niezwykle ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> uroczyste okazje dla starszych, zasłużonych mężczyzn oraz wielkich wodzów.]. W rękach niósł

swój szamański bębenek.

Czerwony Pies, otoczony radą starszych plemienia, siadł na skórkach rozestanych na ziemi.

Wolno uniósł do góry głowę, przymknął oczy. Usta jego poruszyły się bezgłośnie. Zanosił modły do pierwszego na świecie bizona, który pod postacią białego ducha narodził się dawno temu w jednej z pieczar na północy, a później co pewien czas, ponownie pojawiał się na Ziemi* [przyp.: Wśród nieprzeliczonych stad bizonów zdarzały się czasem okazy bizona albinosa. Te białe biony uważane były przez Indian za ponownie przybyłego na Ziemię pierwszego bizona -

ducha. Skóra białego bizona traktowana była jako świętość i miała zawierać wielką moc w leczeniu ran. Używano jej do specjalnych ceremonii religijnych.]. Dłonie szamana dotknęły bębenka spoczywającego na jego kolanach. Ciche z początku tony stawały się coraz silniejsze, potężniały, aż wreszcie brzmiały jak tętent nadbiegającego stada bizonów. Teraz inne bębny i grzechotki przyłączyły się do szamańskiego wezwania. Widzowie w uniesieniu zaczęli przytupywać nogami do taktu, aż naraz rozległy się radosne okrzyki. Oto na skraju tanecznego kręgu pojawił się „bizon”.

Tancerz odtwarzający bizona nosił na głowie łeb zwierzęcia wymodelowany z prawdziwej skóry razem z rogami. Z tyłu miał przymocowany do przepaski biodrowej oryginalny, długi bizoni ogon.

„Bizon” ociągając się wolno wkroczył na krąg taneczny, udając, że skubie trawę. Spoglądał na boki, przed siebie i w ten sposób powoli zbliżył się do środka placu. Potem, wciąż niby to skubiąc trawę, czterokrotnie zataczał małe kręgi, dopóki nie pojawili się myśliwi. Szli drobnymi krokami jeden za drugim skrajem tanecznego kręgu. Ubiór ich stanowiły przepaski biodrowe, nogawice i mokasyny. W lewych dłoniach trzymali tarcze, a w prawych długie włócznie.

Myśliwi idąc tanecznym krokiem zataczali szerokie koła, udając, że szukają śladów bizonów.

To pochylali się ku ziemi, to znów spoglądali w dal osłaniając dłonią oczy przed blaskiem słonecznym. Bębny grzmiały coraz głośniejsze, brzęczały grzechotki... Widzowie poczęli śpiewać pieśni łowieckie, niektórzy okrzykami zachęcali myśliwych.

Naraz kroczący na czele przystanął. Uniósł wysoko do góry prawą rękę uzbrojoną w włócznię.

Na ten znak śpiewy i okrzyki zamilkły. Myśliwi jednocześnie odwrócili się twarzami do

„bizona”, jakby dopiero teraz go dostrzegli. Przystanęli na krótką chwilę, a potem rytmicznymi, drobnymi krokami to zbliżali się do niego, to cofali.

„Bizon” również ujrzał myśliwych. Gniewnie wstrząsnął łbem, stopami zaczął bić w ziemię.

Przechylając się na boki dokonywał krótkich, ostrych szarż na myśliwych, a potem zaraz cofał

się ku środkowi placu. Myśliwi tanecznymi krokami postępowali ku „bizonowi”, a gdy ten szarżował na nich, uskakiwali na boki. Wreszcie najodważniejszy z myśliwych podbiegł z tyłu do

„bizona”, szybko uniósł do góry włócznię i zadał cios.

Włócznia została zręcznie wsunięta pomiędzy lewe ramię i bok „bizona”, który teraz przytrzymał ją rękami. „Bizon” jeszcze wykonał kilka chwiejnych skoków, po czym przodem ciała runął na ziemię w ten sposób, aby włócznia „wbita” w jego ciało sterczała pionowo. Leżąc drżał w agonii, bił stopami o ziemię.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Myśliwi cofnęli się nieco do tyłu i obserwowali konające „zwierzę”. Potem drobnymi krokami zaczęli je okrążyć, tworząc coraz bardziej zwarte koło. Przodownik myśliwych znów uniósł do góry prawą dłoń dzierżącą włócznię. Wszyscy myśliwi otaczający bizona kołem jednocześnie klęknęli na jedno kolano, unieśli do góry włócznie i pionowo opuścili je w dół. Dolne końce broni z głuchym łoskotem uderzyły o ziemię.

Myśliwi, wciąż klęcząc na jednym kolanie, prawymi rękami trzymali włócznie wzniesione ostrzami do góry. Rozbrzmiała cicha gra bębnów. Myśliwi nisko pochylili głowy na piersi pogrążeni w modlitwie. Dziękowali Wielkiemu Duchowi za pomyślny przebieg łowów i wybawienie od głodu, błagali „bizona” o przebaczenie za zadaną mu śmierć...

Widzowie otaczający taneczny krąg dziękczynnie wzruszeni nawet nie usiłowali skrywać łez płynących im z oczu. Byli uszczęśliwieni pomyślną wróżbą. Wkrótce będą mogli najeść się do syta,

zaspokoją swe potrzeby.

Podniosła chwila trwała krótko, bo oto na znak przewodnika myśliwi powstali i rozpoczęli radosny taniec zwycięstwa. Towarzyszyły im pieśni i okrzyki widzów, brzęczenie grzechotek i grzmot bębnow.

Mem'en gwa po raz pierwszy uczestniczyła w obrzędzie „Przybądź bizonie”, lecz widowisko było tak wyraziste, że rozumiała je bez jakichkolwiek wyjaśnień Tehawanki i Porannej Rosy, którzy stali przy niej. Nie obce jej były troski o zaspokojenie głodu, więc cieszyła się razem z wszystkimi z pomyślnej wróżby.

Myśliwi tymczasem ukończyli dziękczynny taniec. Teraz umownymi ruchami zaczęli odtwarzać zdejmowanie skóry z bizona i dzielenie mięsa. Kobiety włączyły się do obrzędu i udawały, że odnoszą mięso do chat.

Czerwony Pies powstał, w otoczeniu rady starszych udał się do swej chaty na ostateczną naradę.

Wkrótce też obwoływacze rozbiegli się po osadzie, aby przekazać ogółowi jej postanowienia.

Jeden z nich właśnie wołał:

„Ludzie, wszyscy słuchajcie! Przeprowadzenie wielkich łowów na bizony rada starszych zleciła żołnierzom „Złamanej Strzały”. Odtąd, aż do powrotu z łowów do osady, wszyscy mają wykonywać polecenia żołnierzy „Złamanej Strzały”, którzy w razie nieposłuszeństwa będą surowo karali winnych”.

Wahpekute pilnie nasłuchiwali obwieszczenia, które oddawało całkowitą władzę w ręce żołnierzy „Złamanej Strzały”* [przyp.: Indianie preriowi posiadali wiele stowarzyszeń i bractw o celach religijnych, wojskowych i społecznych. Większość z nich była stowarzyszeniami męskimi, ale w niektórych, nawet militarnych, kobiety pełniły pomocnicze funkcje. Kobiety miały ponadto własne, kobiece stowarzyszenia. Ogólnie jednak dominowały stowarzyszenia męskie, a wśród nich stowarzyszenia typu „Żołnierze Psy”, które wypełniały zadania militarne i policyjne oraz grupowały mężczyzn w odpowiednim wieku. Podobne stowarzyszenia, lecz nie ograniczające wieku, szeroko rozpowszechnione były u Dakotów, Assiniboin, Szejenów, Crow, Paunisów i u Arikara, a w mniejszych rozmiarach u południowych plemion z rodziny Sju oraz u ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Sarsi i Szoszonów znad Wind River. Członkowie stowarzyszeń żołnierskich nie tylko brali na siebie niebezpieczne zadania wojenne, lecz także wypełniali ważne czynności na rzecz ogółu, a zwłaszcza przejmowali funkcję policji w czasie wędrówek, polowań plemiennych i podczas uroczystości „Tańca Słońca”]. Tehawanka z niemym uwielbieniem spoglądał na dom zborny członków zaszczytnego stowarzyszenia żołnierskiego. Tam właśnie oni zbierali się zazwyczaj, jedli, spali, tańczyli i śpiewali swe pieśni obrzędowe, opowiadali niezwykle wydarzenia wojenne, układali plany wypraw. To był ich dom.

Tehawanka od lat chłopięcych marzył o przystąpieniu do żołnierzy „Złamanej Strzały”, ale członkowie tego stowarzyszenia przyjmowali w swe szeregi tylko najdzielniejszych wojowników o

wysokim poczuciu honoru i nieposzlakowanej uczciwości. Tak być musiało, gdy bowiem rada starszych powierzała im pełnienie społecznej roli policji, wtedy ich słowa stanowiły prawo dla wszystkich. Oni także sądzili doraźnie wszelkie wykroczenia przeciwko porządkowi i sprzeczne z korzyścią dla ogółu, wymierzali bardzo surowe kary, na co nie mógł się poważyć nawet żaden z wodzów plemienia.

Tehawanka stał na uboczu i rozmyślał o swej przyszłości, gdy naraz ze zbornego domu stowarzyszenia żołnierskiego wyszedł Czarny Wilk. Był to niezwykle śmiały wojownik, budzący nawet we wrogach szacunek i obawę. Jemu też przypadło dowodzenie „Złamanymi Strzałami” na obecnym plemiennym polowaniu na bizony. Według reguły obowiązującej członków stowarzyszenia Czarny Wilk układał swe włosy w ten sposób, że tworzyły one nad czołem dużą, szczeciniastą grzywę, dzięki czemu zdawał się wyższy, niż był w rzeczywistości. Obecnie miał

wpięte we włosy trzy sokole pióra jako oznakę dowódcy, lecz gdy na niezwykle uroczyste okazje zakładał swój ceremonialny pióropusz, wtedy można było w nim naliczyć około trzydziestu orlich piór. Z oznakowań na poszczególnych piórach wynikało, że kilkakrotnie podczas walki pierwszy dotknął przeciwnika gołą ręką lub odebrał mu broń, iż sam sześciokrotnie był ranny, zdobył dwie czarodziejskie tarcze wrogów, wziął siedem skalpów oraz kilku niewolników.

Zaszczytne blizny na jego ciele były widowym dowodem chwalebnych czynów.

Obecnie Czarny Wilk ubrany był w przepaskę biodrową, nogawice i mokasyny. W szwach nogawic miał wszyte długie ludzkie włosy. Na szyi nosił cztery naszyjniki z kłów i pazurów zwierzęcych oraz świstawkę z kości skrzydłowej orła.

Czarny Wilk zauważył Tehawanę stojącego na uboczu. Obrzucił go przenikliwym spojrzeniem i przystanął. Skinął na niego długą laską uderzeń* [przyp.: Największym dowodem odwagi podczas walki było dotknięcie ciała żywego wroga gołą ręką lub specjalną laską uderzeń. Za taki czyn wojownik otrzymywał wyższe odznaczenie niż za zabicie i oskalpowanie. Zwyczaj ten zwano „counting coup”, czyli zaliczanie uderzeń (z francuskiego coup - uderzenie). Na przykład Szejenowie pozwalali swoim trzem wojownikom kolejno zaliczać uderzenia na jednym wrogu, a Assimboin, Crow i Arapaho nawet czterem. Również w wielu plemionach zabicie nieprzyjaciela nie było uznawane za bojowy wyczyn, jeżeli przedtem nie został on dotknięty dłonią bądź laską uderzeń.], którą trzymał w dłoni. Pomyślna ucieczka Tehawanki zniewoli oraz odzyskanie zawiniątka ze świętymi przedmiotami ojca i jego tarczy zostały wysoko ocenione przez Wahpekute. Czarny Wilk przyjaźnie uśmiechnął się do młodzieńca i rzekł:

- Słyszałem, że rada starszych wyraziła zgodę, abyś przeszedł próby męstwa podczas nadchodzących uroczystości „Tańca Słońca”.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter
<http://www.processtext.com/abclit.html>

- Tak, Czarny Wilku, przedtem jednak muszę jakoś wyróżnić się na polowaniu i odbyć jedną wyprawę wojenną - odparł Tehawanka.

- Właśnie wyruszamy na łowy, masz więc okazję do spełnienia pierwszego warunku.

- Oby tylko szczęście mi sprzyjało!

- Wybieramy odpowiednich ludzi do pomocy, rozmawialiśmy również o tobie. Podczas łowów będę potrzebował gońca do przenoszenia rozkazów. Czy chcesz pełnić tę funkcję?

- Dziękuję, Czarny Wilku, za to wyróżnienie! - odpowiedział uradowany młodzieniec. -

Postaram się nie zawieść twego zaufania.

- Nazajutrz o swacie stawisz się gotów do drogi w domu „Złamanych Strzał” - polecił Czarny Wilk i odszedł w głąb osady.

Awantura w obozie

Zaledwie świt zaróżowił się na wschodzie, w osadzie zapanowało niezwykle ożywienie.

Wszyscy przygotowywali się do wyruszenia w drogę. Mężczyźni zbroili się, kobiety chwyciły psy do zaprzęgnięcia we włóki, wносиły z chat tobołki. Nawoływania dorosłych, krzyki dziatwy oraz szczekanie psów mieszały się z donośnymi głosami żołnierzy „Złamanej Strzały”, którzy zaprowadzali ład w całym rozgardiaszu i przypominali wszystkim o obowiązkach, wołając:

- Kobiety, słuchajcie! Opuszczając chaty wygaście ogniska! Przysypcie je popiołem! Uważajcie, aby nigdzie mię zaproszyć ognia! Zwracajcie uwagę na małe dzieci, zapewnijcie im bezpieczeństwo! Wszyscy Wahpekute słuchajcie poleceń żołnierzy „Złamanej Strzały”, którzy teraz do was mówią! Kobiety, starannie przytroczone włóki psom, dobrze przywiążcie bagaże, aby nie spadały w drodze! Uważajcie na małe dzieci! Mężczyźni niech jeszcze raz sprawdzą swoją broń!

Tehawanka w myśl polecenia Czarnego Wilka znajdował się przed domem zbornym żołnierzy

„Złamanej Strzały”. Był już całkowicie przygotowany do drogi. Ubrany był w przepaskę biodrową, nogawice, mokasyny i krótką, skórzaną opończę, przewieszoną na rzemieniu przez lewe ramię. Za pasem miał zatknięty stalowy nóż zdobyty u Czipewejów, a na plecach nosił

kołczan z psiej skóry, w którym były strzały i łuk.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Niebawem Czarny Wilk wyszedł z chaty. On również uzbrojony był w łuk, maczugę i nóż, a ponadto miał tarczę i włócznię. Ujrzał Tehawanę.

- Jesteś już, to dobrze - rzekł. - Będziesz niósł moją tarczę i włócznię. Zwiadowcy wyruszą pierwsi, a my później dołączymy do nich.

Właśnie rozbrzmiały nawoływania, aby tropiciele i zwiadowcy wyznaczeni przez „Złamane Strzały” stawili się przed bramą osady. Wkrótce też gromadka uzbrojonych mężczyzn podążyła przez puszcze w kierunku zachodnim, gdzie rozciągała się preria.

Tymczasem żołnierze „Złamanej Strzały” zaczęli przygotowywać do pochodu wszystkich udających się na łowy. W owych czasach, zanim Santee Dakotowie posiadli konie, nawet niezbyt odległe wędrówki plemion nie były zbyt łatwe. Indianie opuszczając osadę na jakiś czas zmuszeni byli zabierać ze sobą cały swój dobytek. Jedynie płody rolne pozostawiali w osadzie, kryjąc je w podziemnych często maskowanych spichlerzach. Przenoszeniem dobytku przy pomocy psów zajmowały się kobiety. Toteż własność osobista rodziny musiała ograniczać się do najniezbędniejszych przedmiotów, a cel wędrówki nie mógł być zbyt odległy. Nawet przenośne tipi, w których mieszkano podczas wędrówek były wtedy znacznie mniejsze.

Przednią straż pochodu Wahpekute stanowiło kilkunastu zbrojnych wojowników. Wśród nich znajdował się sędziwy szaman, Czerwony Pies. On to miał wskazać kierunek, w którym należało poszukiwać stada bizonów. Półnaczy wojownicy nieśli tylko własną broń i zapasowe mokasyny.

W niewielkiej odległości za przednią strażą szła już główna kolumna pochodu. Tworzyły ją kobiety, dzieci, młodzież i starcy oraz psy objuczone małymi pakunkami, bądź ciągnące włóki, na których były przywiązane tobołki, a czasem i indiańskie kołyski z niemowlętami. Kobiety i dziewczęta dźwigały na plecach większe pakunki i kołyski z dziećmi, natomiast starsi chłopcy dozorowali objuczonych psów, które zawsze rwały się do pościgu na widok pomykającej bokami mniejszej, dzikiej zwierzyny. Tu i tam widać było grupki wojowników strzegących boków pochodu.

Pieśni przeznaczone na czas wędrówek, nawoływania, szczekania psów i słowa komendy rozbrzmiewały wokoło. Żołnierze „Złamanej Strzały”, z których każdy nosił laskę uderzeń, jako znak pełnienia społecznej służby, wszędzie byli widoczni. Przewodzili przedniej i tylnej straży, przebiegali wzdłuż pochodu, karcili opiesziałych, przywracali ład i porządek.

Około południa puszcza zaczęła rzednąć. Niebawem ukazała się rozległa polana faliście opadająca ku urwistemu brzegowi wartko płynącej rzeki. Tutaj żołnierze „Złamanej Strzały” zawrócili kolumnę pochodu na południe, gdzie znajdował się szeroki bród przez rzekę.

W ciągu przedpołudnia Tehawanka podążał u boku Czarnego Wilka i gorliwie wypełniał wszystkie polecenia. Był niezwykle dumny i przejęty swą funkcją. Kilkakrotnie przebiegał wzdłuż długiej kolumny wędrowców z rozkazami do oficerów „Złamanych Strzał” i wtedy zerkał ku Porannej Rosie i Mem'en gwa, które razem z żonami dziadka niosły rodzinny dobytek.

Sporo czasu upłynęło, zanim wśród falistej równiny wyłonił się wąwóz wiodący wprost do nabrzeża rzeki. Czarny Wilk, otoczony swą świtą, w której znajdował się Tehawanka, przystanął na krawędzi zbocza wąwozu, skąd można było obserwować przeprawę.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Przednia zbrojna straż znajdowała się już na przeciwległym brzegu. Teraz nadchodziła główna kolumna pochodu spowita obłokiem szarego pyłu. Idący na przedzie dotarli do rzeki, nie zatrzymując się ani na chwilę, od razu schodzili po stromym zboczu do

wody. Rzeka, tutaj dość szeroka, płynęła wartkim nurtem, ale woda w najgłębszym miejscu na środku koryta sięgała dorosłemu człowiekowi tylko do pasa.

Bród niebawem zapełnił się ludźmi, dziećmi i psami. Na środku rzeki psy traciły grunt pod łapami. Włóki obciążone pakunkami kryły się pod wodą bądź znoszone wartkim nurtem ciągnęły za sobą przeraźliwie wyjące zwierzęta. Wśród nieopisanej wrzawy i rozgardiaszu kobiety chwytaly kołyski z niemowlętami, dotąd leżące na włótkach, podtrzymywały starsze dzieci, pomagały skomlącym psom w walce z prądem i bagażem. Tu i tam ktoś padał, na chwilę znikał

pod wodą, ktoś wołał o pomoc; - Żołnierze „Złamanej Strzały” czujni i ruchliwi zjawiali się wszędzie, gdzie zagrażało komuś niebezpieczeństwo, pomagali dzieciom i starszym.

Kilkanaście hożych, młodych Indianek, z włóczniami swych mężczyzn w rękach, pobiegło obydwoma brzegami poniżej brodu i wyławiało różne sprzęty porwane przez prąd rzeki podczas przeprawy. Wreszcie wszyscy szczęśliwie przebyli rzekę i pod kierunkiem „Złamanych Strzał” rozpoczęli rozkładanie obozu.

Okolica doskonale nadawała się na miejsce wypoczynku i noclegu. Brzegi rzeki porastały kępy wierzbowych łoż oraz drzewa bawelniane, wody było pod dostatkiem. Toteż kobiety natychmiast przystąpiły do prac obozowych. Najpierw rozjuczyły psy, rozpakowały niezbędne sprzęty i odzież, potem rozpięły tipi, narąbały drzewa na opał, nanosiły wody, rozpały ogniska, a w końcu zabrały się do przyrządzenia gorącego posiłku.

Mem'en gwa krzątała się na równi z Poranną Rosą i żonami szamana. Wódz Czerwony Pies i jego najbliższa rodzina nie korzystali z żadnej obcej pomocy w codziennych pracach gospodarskich. W stosunku do całej społeczności stanowili jedną z wielu rodzin, która sama musiała troszczyć się o zaspokajanie swoich potrzeb. Wódz, indiański nie tylko nie korzystał z osobistych przywilejów, lecz ponadto sam zobowiązany był do niesienia pomocy innym.

Mem'en gwa stwierdziła, że codzienna praca kobiet Wahpekute była o wiele cięższa niż Czipewejek.

Santee Dakotowie dotąd nie zetknęli się z białymi ludźmi. Nie posiadali też jeszcze wielu europejskich przedmiotów ułatwiających życie, którymi Czipewejowie już od dawna się posługiwali. Kobiety Wahpekute nadal rozpały ogień za pomocą szybkiego pocierania dwóch kawałków twardego drewna* [przyp.: Krzemień do rozpalania ognia został przejęty przez Indian wkrótce po ich zetknięciu się z Europejczykami, lecz w głębi kontynentu Indianie długo jeszcze stosowali własny sposób i rozpalali ogień za pomocą drewnianego świdra oraz przyrządu w kształcie małego łuku. Świder opierano pionowo na kawałku płaskiego drewna, potem na górnym końcu świdra zamocowywano pętłą cięciwę łuku i wykonywano nim szybkie ruchy, przypominające rżnięcie drzewa. Rozpalanie ognia było wtedy powolną i męczącą pracą. Zapałki dotarły do rąk Indian dopiero około 1880 r.], a gotowanie było bardzo czasochłonną czynnością, możliwą do wykonania jedynie podczas dłuższego postoju. Z tego powodu gorącą strawę jedzono podczas wędrówek tylko raz dziennie.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Mem'en gwa z ciekawością obserwowała sposób gotowania

potraw przez Wahpekute. Był on bardziej skomplikowany niż u Czipewejów, którzy już posługiwali się miedzianymi kociołkami nabywanymi od białych kupców. Kobiety Wahpekute niezmiennie od stuleci gotowały strawę starym, indiańskim sposobem. Wprawdzie potrafiły wyrabiać prymitywne naczynia z gliny, ale ciężkie i łatwe do stłuczenia garnki nie nadawały się na długie, piesze wędrówki.

Żony Czerwonego Psa, dowcipkując z dziewczętami, sprawnie zabrały się do gotowania wieczery. Najpierw ostrymi patykami wykopały w ziemi okrągły dołek i wysłały go czystą, gładką skórą zwierzęcą. Brzegi skóry wokół jamy przyszpiliły do ziemi zaostrozonymi, drewnianymi kołkami, a następnie napełniły skórę wodą i włożyły do niej kilka garści pemmikanu oraz dzikiego ryżu. Z rozpalonego obok ogniska wyjmowały rozwidlonym kijem okrągłe, rozgrzane do czerwoności kamienie, które z kolei kładły do wody z jedzeniem.

Wystudzone kamienie zastępowały innymi, gorącymi, dopóki stawa całkowicie się nie ugotowała* [przyp.: Półosiadłe plemiona preriowe potrafiły wyrabiać prymitywne naczynia z gliny, które były używane do gotowania, ale lepiej smakowało im jedzenie przyrządzane starym indiańskim sposobem za pomocą rozgrzanych kamieni. Indianie preriowi prowadzący wędrowny tryb życia gotowali wyłącznie tym sposobem. Czasem zamiast wykopywania dołka, rozpinano skórę lub żołądek zwierzęcy na czterech kijach wbitych w ziemię, improwizując w ten sposób naczynie do gotowania. Indianie piekli również mięso na rożnie lub wprost na węglach, a rzepeę preriową w gorącym popiele.].

Podczas gdy kobiety były zajęte pracami gospodarskimi, a dzieci bawiły się w ich pobliżu, mężczyźni rozsiedli się przed tipi na skórkach rozestłanych na ziemi. Po całodziennej wędrówce musieli wypocząć przed trudami oczekującego ich polowania na bizony. Rozliczne prace systematycznie wykonywane przez kobiety nigdy nie były tak ciężkie, jak praca mężczyzn podczas łowów. Wtedy zdobywali się oni na największy wysiłek, często nawet ryzykując życie.

Ponadto mężczyźni musieli znajdować się w ciągłym pogotowiu bojowym, na wypadek nieoczekiwanego ataku wrogów, co szczególnie mogło zagrażać podczas wędrówki. Toteż obecnie rozsiedli się na skórkach rozestłanych dla nich przez kobiety i w różny sposób urozmaicali sobie nudę oczekiwania na wieczorny posiłek. Tu i tam przypominano niezwykle wydarzenia na łowach, gdzie indziej ojciec nucił swemu ulubionemu malcowi pieśń wojenną, który, choć jeszcze nieporadnie, już próbował tańczyć, ktoś inny dokonywał przeglądu broni, a grupka mężczyzn w pobliżu tipi rodziny Czerwonego Psa rozpoczęła grę w mokasyny* [przyp.: Indianie znali wiele gier rozrywkowych. Niektóre polegały na zręczności grających, w innych zaś odgrywał rolę ślepy traf. Uprawiali także gry sportowe, przeważnie gry w piłkę, w których brało

„udział nawet po kilkuset graczy. Gry rozrywkowe często przeradzały się w hazard. W grach zręcznościowych jeden z graczy odgadywał, w której dłoni ukrył jakiś przedmiot jego przeciwnik lub też, w którym z kilku mokasynów stojących rzędem przedmiot ten się znajduje. Wśród Indian preriowych gra „w mokasyny” była szczególnie modna u Dakotów, Omaha i Iowa, natomiast u Indian leśnych grali w nią Algonkinowie i Winnebago. Najpopularniejszą grą, w której decydował ślepy traf, była „gra w koszyczek”, przypominająca naszą grę w kości. W płaskim, okrągłym koszyczku kładziono kilka pestek ze śliwek, które na obydwóch stronach miały namalowane umowne znaki. Gracz szybkim ruchem unosił koszyczek do góry jednocześnie podrzucając pestki, aby się

przemieszały, po czym stawiał koszyczek i obliczał zdobyte punkty według znaków na pestkach. Gra ta miała wiele odmian. Wśród zbiorowych gier sportowych w piłkę najbardziej znana i zwłaszcza Popularna wśród Indian leśnych, była „lacrosse” (z francuskiego). W grze tej wrzucano piłkę do bramki przeciwnika, posługując się kijami ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> zakończonymi okrągłymi rakietskami. Na prerii grali w nią tylko Szejenowie, Santee Dakotowie, Assiniboin, Iowa i Oto.].

Wokół graczy wkrótce zebrała się spora grupa widzów. Niektórzy z nich podnieceni wysoką grą, zaczęli robić zakłady, stawiając na poszczególnych uczestników gry. Rej wśród grających wodził Długi Pazur, młody i porywczy mężczyzna. Szczęście bardzo mu sprzyjało tego wieczoru.

Właśnie na skórze rozłożonej na ziemi ustawiał rzędem siedem mokasynów, a grający przeciw niemu Zielony Liść miał odgadnąć, w którym z nich została ukryta mała, pomalowana na czerwono kostka. Gracze posługiwali się długimi pałeczkami, na których karbowali uzyskane punkty.

Długi Pazur szybko przestawiał mokasyny, aby zmylić przeciwnika oraz coraz liczniejszych kibiców. Ktoś na uboczu przygrywał na małym bębenu, a kibice obydwóch grających robili zakłady między sobą. Wielu z nich stawiało na Długoego Pazura, który już wygrał od Zielonego Liścia kilka pałeczek gęstoznaczonych karbami. Ale jak to często w grze bywa, szczęście odwróciło się i teraz zaczął wygrywać Zielony Liść. Okrzyki zawodu rozbrzmiewały coraz częściej, a różne przedmioty zmieniały właścicieli.

Gra toczyła się w sąsiedztwie tipi Czerwonego Psa. Jego obydwie żony gotujące strawę i dziewczęta wybuchały śmiechem słysząc okrzyki graczy, ale wódz - szaman, wypoczywający po trudach całodziennego wędrowki, gniewnie marszczył brwi. Wieczór poprzedzający dzień wielkich łowów nie był odpowiednią porą na tego rodzaju zabawę. Czerwony Pies pełnym potępienia wzrokiem spoglądał na hazardujących się graczy, jednak nie powiedział ani jednego słowa. Rada starszych zleciła „Złamanym Strzałom” przeprowadzenie łowów i obecnie cała władza spoczywała w ich rękach. Rozbawiona Mem'en gwa zaczęła opowiadać, jak to jeden czipewejski wojownik przegrał w mokasyny cały swój dobytek, a potem zaproponował jako stawkę samego siebie. Przegrawszy i wtedy, musiał przez długi czas posługiwać zwycięzcy. Opowieść rozweseliła zachmurzonego Czerwonego Psa, który teraz przyłączył się do pogawędki.

Tymczasem nastrój wśród grających stał się bardzo burzliwy. Zawiedzeni kibice kłócili się, wymyślali Długoemu Pazurovi za brak zręczności. Niefortunny gracz nie pozostawał im dłużny.

Zielony Liść odegrał się z dużą nawiązką i pokpiwał z rozgniewanego przeciwnika. Wreszcie przerwał grę i zażądał rozliczenia. Okazało się, że Długi Pazur przegrał do niego wszystkie swoje strzały wraz z kołczanem. Przegrana była poważna, zwłaszcza w przeddzień polowania na bizona. Zrobienie nowych strzał do łuku wymagało wiele czasu. Toteż Długi Pazur sponępniał i rzekł:

- Szczęście ci sprzyjało, wygrałeś mój kołczan ze strzałami. Nie mogę jednak teraz pozbyć się strzał. Oddam przegraną jutro po łowach.

- Nie, przegrałeś, więc dasz teraz - oburzył się Zielony Liść.

- Wiesz dobrze, że część strzał nie będzie już nadawała się do użycia po polowaniu.

- Po powrocie do osady kupię nowe takie same i dam ci je!

- Kiedy ja przegrywałem śmiałeś się, że po przegraniu strzał będę mógł zastawiać sidła na ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> preriowe pieski - odparł rozgniewany Zielony Liść. - Rób to więc teraz sam! Honorowy gracz płaci natychmiast!

Widzowie podzielili się na dwa obozy i rozpoczęli ożywiony spór, który z graczy ma rację.

Wrzawa stawała się coraz większa, ten i ów już chwycił dłonią za rękojeść noża, gdy Długi Pazur podniósł się i z rozmachem rzucił kołczanem wprost w twarz Zielonego Liścia, wołając:

- Bierz, śmierzący kojocie! Nawet takimi strzałami jak moje jutro nie trafisz do celu!

Zielony Liść uchylił się przed uderzeniem. Rozgniewany niehonorowym postępkami przeciwnika zerwał się na równe nogi i krzyknął:

- Twierdzisz, że nie trafiam do celu?! Zaraz się przekonasz! Wyrwał nóż z pochwy i poskoczył

ku przeciwnikowi. Długi Pazur zdołał uchwycić w przegubie dłoń mierzącą nożem i zaraz zwarli się w uścisku. Skłóceni kibice pospieszyli z pomocą swoim faworytom.

Na widok gromadnej bijatyki powstał krzyk kobiet i dzieci, a psy skowycząc chowały się przed rozsierdzonymi ludźmi. W tej właśnie chwili nadbiegło kilku żołnierzy „Złamanej Strzały” W

oka mgnieniu otoczyli walczących, uzbrojeni w laski uderzeń i długie rzemieńne bicz. Pierwszy Czarny Wilk z rozmachem uderzył biczem w kłębówisko ludziach ciał, po czym posypały się razy innych żołnierzy „Złamanej Strzały”. Pod potężnymi smagnięciami skóra pękała na ciałach skłóconych graczy. Ten i ów począł wymykać się z wiru walki.

- Zaprzestać bijatyki! Natychmiast uspokójcie się wszyscy! Rozkazują „Złamane Strzały”! -

rozległy się donośne wołania żołnierzy.

- Noże do pochew! - krzyknął Czarny Wilk. - „Złamane Strzały” rozsądzą spór!

Energiczne słowa poparte smagnięciami biczów szybko ochłodziły zapal w walczących. Bójka została przerwana. Wszyscy nieco zawstydzeni niepewnie spoglądali na żołnierzy „Złamanej Strzały”.

- Co się tutaj stało? Kto rozpoczął bójkę? - głośno zapytał Czarny Wilk.

Zielony Liść stanął przed przywódcą „Złamanych Strzał”. Krew płynęła po jego prawym ramieniu i miał podbite jedno oko.

- Grałem w mokasyny z Długim Pazurem - odezwał się. - Najpierw przegrywałem, potem szczęśliwy

los przechylił się na moją stronę. Długi Pazur przegrał do mnie wszystkie swoje strzały i kołczan. Najpierw nie chciał od razu dać wygranej, potem kołczan ze strzałami rzucił mi prosto w twarz, nazwał mnie śmierzącym kojotem i powiedział, że nawet jego strzałami nie trafię do celu. Musiałem pomścić zniewagę.

- Czy tak było? - zwrócił się Czarny Wilk do Długiego Pazura.

Zapytany wysunął się do przodu i zachmurzony odparł: ABC Amber LIT Converter

<http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter

<http://www.processtext.com/abclit.html>

- Zielony Liść powiedział prawdę, ale prawdą też jest, że on kiepsko strzela z łuku, więc to nie było obrażą.

- Nie będę rozsądzał, czy obydwaj zachowaliście się honorowo podczas gry. Osądzą to ci, którzy byli tu z wami. Jednak bójka w obozie myśliwskim jest poważnym wykroczeniem.

Sprawiliście zamęt w chwili, gdy zwiadowcy powrócili z wieścią, że duże stado bizonów znajduje się w pobliżu. Za narażenie dobra ogólnego każdy z was otrzyma po pięć batów.

Kłękajcie i pochylcie grzbiety!

Niespokojne szepty w kręgu zatrwożonych widzów umilkły. Kara była bardzo dotkliwa, ale żołnierze wyznaczeni przez radę starszych do służby społecznej posiadali nieograniczoną władzę.

Mogli także zniszczyć broń i cały dobytek winnego, a nawet wygnać go na zawsze z plemienia.

Teraz młodzi zapaleńcy zrozumieli, że gra w mokasyny i bójka mogły spowodować nieobliczalne następstwa dla wszystkich. Gdyby duchy bizonów wezwane przez szamana przed wyruszeniem na łowy ujrzały naruszenie powagi polowania, mogłyby je udaremnić odprowadzając w nocy stado w odległą okolicę.

Zielony Liść zawstydzony bez słowa protestu pochylił się i klęknął. Długi Pazur natomiast niepewnie spoglądał ku swym popiecznikom. Było wśród nich kilku jego braci i kuzynów nie mniej porywczych i skorych do bójki. Teraz wszakże odwracali głowy nie patrząc na niego.

Gdyby wódz plemienia okazał wobec nich tę surowość, mogliby odmówić posłuszeństwa, odwołać się do rady starszych, a nawet żądać zmiany wodza, ale wyrok wydany przez żołnierzy stowarzyszenia pełniącego służbę społeczną, stanowił dla wszystkich ostateczne prawo. Długi Pazur zrozumiał swą bezsilność. Stłumił gniew i klęknął.

Dwóch żołnierzy wyznaczonych przez Czarnego Wilka wykonało wyrok. Zielony Liść i Długi Pazur markotni zaszyli się w swoich tipi, a żołnierze „Złamanej Strzały”, jak gdyby nic nie zaszło, poszli kontynuować przerwana naradę.

Tehawanka powrócił do swoich, gdy zabierali się do spożycia posiłku. Przysiadł przy tłącym się ognisku obok Czerwonego Psa. Obydwaj mężczyźni w milczeniu spożyli wieczerzę obsługiwani

przez kobiety, które nakarmiwszy ich, same na uboczu zabrały się do jedzenia. Czerwony Pies zapalił krótką fajkę, po czym zagadnął wnuka:

- Mój synu, czy Czarny Wilk był dzisiaj zadowolony z ciebie?
- Chyba tak, ojcze, ponieważ polecił mi stawić się jutro jeszcze przed świtem.
- Takie słowa sprawiają mi radość, synu - pochwalił szaman. - Pilnie słuchaj wszelkich wskazówek Czarnego Wilka, to mądry i rozważny wojownik.
- Tak bym chciał wyróżnić się na tym polowaniu! - z zapalem powiedział młodzieniec.

Stary szaman długo spoglądał w popielejące ognisko, po czym szepnął:

- Będzie, jak los zechce, mój synu. Gdy odpoczywałem tutaj przed wieczszą, oczami ducha ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> widziałem sępy nadlatujące z południa.
- Cóż to może oznaczać, mój ojcze? - zapytał nieco zatrwożony Tehawanka.
- Sępy zawsze były dla mnie zwiastunem nieszczęścia - odparł szaman. - Bądź ostrożny i rozważny, synu.
- Dziękuję ci, ojcze! Będę miał oczy i uszy szeroko otwarte podczas łowów.
- Czy „Złamane Strzały” ułożyły już plan polowania?
- Tak, mój ojcze! Zwiadowcy i tropiciele widzieli wielkie stado bizonów na południowym zachodzie. Podobno jest w nim dużo samic, o których skóry tak nam chodzi. W niedalekiej odległości od stada znajduje się na północy pasmo wzgórz, a w nim stromy wąwóz zamknięty z trzech stron skałami. Tam właśnie mamy wagnać bizony.
- Czy „Złamane Strzały” mają zamiar posłużyć się ogniem?
- Tak, ojcze! Najpierw podpalimy prerię na południu na tyłach stada, potem ogniem odetniemy mu drogę na wschód, a gdy bizony znajdą się przed wąwozem, zapalimy prerię od strony północnej.
- To nasz stary i wypróbowany sposób* [przyp.: W kolektywnych polowaniach Indian północnoamerykańskich można odróżnić cztery sposoby: 1. myśliwi kręgiem otaczali stado ze wszystkich stron, zmuszali je do „młynkowania” i zabijali zwierzęta. Sposób ten stał się na preriach szczególnie popularny po zdobyciu koni przez Indian. 2. Stado naganiano na strome urwisko, z którego spadając bizony łamały nogi i karki, po czym z łatwością były dobijane. 3.

Myśliwi tworzyli lejowaty, podwójny szpaler, zwężający się ku ślepemu wąwozowi i wginali do niego stado. Gdy zwierzęta znalazły się w pułapce, zamykano ją i spokojnie zabijano nie mogące uciec stado. 4. Sposób podobny do poprzedniego, z tym że zwierzęta naganiano do pułapki podpalając prerię z trzech stron, zamiast używać dużej liczby ludzi do tworzenia szpaleru i nagonki.

Ten ostatni sposób, zwany preriowym, był szczególnie praktykowany przez Santee Dakotów, Miami i inne plemiona z południa Missouri.] - wtrącił szaman.

- Oby tylko wiatr był pomyślny! - z zapalem powiedział Tehawanka, zapominając o złej wróżbie.

Szaman spojrział w niebo, na którym już zaczynały świecić gwiazdy. Odetchnął głęboko i rzekł:

- Rankiem wiatr będzie wiał ze wschodu. Jeśli bizona w nocy nie odejdą zbyt daleko na północ, łowy powinny się udać. Późno już, odpocznijmy przed świtem!

Czerwony Pies wraz z żonami i Poranną Rosą udał się do tipi, Mem'en gwa natomiast przykucnęła przy Tehawance.

- Słyszałam waszą rozmowę o jutrzejszym polowaniu - powiedziała cicho. - To niebezpiecznie podpalać prerię. Widziałam już płonącego bizona. Omal wtedy nie zginęliśmy wszyscy.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter
<http://www.processtext.com/abclit.html>

- Niech Mem'en gwa się nie obawia. Preria to nie puszcza!

Sucha trawa płonie w oka mgnieniu, a jeśli ogień napotka na swej drodze drzewa, to najwyżej tylko je osmali. Już wkrótce po przejściu ognia można gołymi stopami iść po ziemi - odparł

Tehawanka.

- Czy jesteś tego pewny?

- Jestem pewny, nieraz widziałem płonąca prerię. Jeśli nawet ogień cię goni, wystarczy podpalić trawę przed sobą i będziesz bezpieczna.

- Nie obawiam się o siebie! Przecież nie jestem Wahpekute! To nie mnie zagraża niebezpieczeństwo!

- O czym ty mówisz, dziewczyno?! - zdziwił się Tehawanka.

- Co mają oznaczać te sępy, o których mówił szaman?

- A więc i to słyszałaś?!

- Słyszałam i boję się... o ciebie!

- Naprawdę?

- Tak... - szepnęła.

- Dziękuję, Mem'en gwa... Po uroczystości Tańca Słońca poproszę cię o coś... Czy domyślasz się, o co?

Uściskała jej dłoń. Oddała mu uścisk i spłoszona umknęła do tipi.

Tehawanka długo siedział przy wygasłym ognisku. Może snuł młodzieńcze marzenia o sławie, a może zanosił modły do Wielkiego Ducha, prosząc o szczęście na łowach? Z zadumy wyrwało go dopiero przeciągłe wycie psa, które wkrótce podchwytywane przez setki kundli obiegło obóz od krańca do krańca. Potem znów zapadła nocna cisza.

Łowy na bizona

Jeszcze było szaro na dworze. Żołnierze „Złamanej Strzały” już nawoływali po obozie, aby ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> wszyscy przygotowywali się do drogi. Czerwony Pies usiadł na skórze przed tipi, podczas gdy kobiety pakowały dobytek. Wciąż nie mógł zapomnieć o sępach, które oczami duszy widział

wczoraj podczas snu. Innym zawsze potrafił wytłumaczyć znaczenie sennych przeżyć, ale gdy chodziło o niego samego, ogarniała go wątpliwość. Gdy tak gubił się w domysłach, stanął przed nim Czarny Wilk, za którym jak cień postępował młody Tehawanka z tarczą i długą włócznią przywódcy.

Czerwony Pies wskazał Czarnemu Wilkowi miejsce na skórze. Ten siadł krzyżując nogi przed sobą i zgodnie z obyczajem czekał, dopóki sędziwy szaman pierwszy do niego nie przemówi. Po dłuższej chwili milczenia Czerwony Pies cicho rzekł:

- Moje oczy zawsze radują się widokiem Czarnego Wilka. Uważnie wysłucham tego, co mój brat chce mi powiedzieć.

Czarny Wilk pochylił się z szacunkiem przed szamanem i powiedział:

- Wielki ojcie, niektórzy mówią w obozie, że wczoraj zbyt surowo postąpiłem z Zielonym Liściem i Długim Pazurem. Chciałbym usłyszeć, co ty o tym myślisz?

- Czarne chmury nadciągają ze wschodu. Niebawem nadejdzie czas ciężkiej próby dla Santee Dakotów. Jeśli Wahpekute zapomną o karności, będą musieli zginąć tak, jak giną nasi bracia nad wielką wodą na wschodzie. Wódz podczas wyprawy musi mieć twardą rękę. Czarny Wilk słusznie postąpił.

- Posępne myśli masz, mój ojcie. Słowa twoje napełniają mnie troską.

- Stary już jestem - rzekł szaman. - Mój duch coraz częściej odwiedza Krainę Wiecznych Łowów, gdzie przebywają nasi sławni przodkowie. Toteż moje oczy więcej widzą niż oczy innych ludzi.

- Wszyscy szanujemy cię za wielką mądrość. Teraz również przyszedłem prosić cię o pomoc.

Tropiciele widzieli duże stado bizonów, które pasło się na południe stąd. Wąwóz, do którego chcemy je zagnać, leży dalej, na północy. Nie wiemy, czy stado nie powędrowało w nocy w inne miejsce. Czy zechciałbyś, ojcie powiedzieć, gdzie bizona przebywają teraz? Nie musiałbym po raz drugi wysłać tropicieli.

Szaman zamyślił się, przez dłuższą chwilę spoglądał na dowódcę „Złamanych Strzał”, po czym odparł:

- Pozostawiłbym tutaj jedynie ludzi przeznaczonych do podpalenia prerii. Inni powinni natychmiast iść dużym półkolem na północny zachód ku owemu wąwozowi. Ja pozostanę i wskażę tropicielom, gdzie przebywają bizona.

- Uczynię, jak mówisz, ojcie - powiedział Czarny Wilk i powstał. - Zaraz wydam odpowiednie rozkazy.

Szaman wyciągnął lewą dłoń, jakby chciał zatrzymać Czarnego Wilka i z naciskiem powiedział: ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html>

- Ubezpiecz dobrze wojownikami nasze kobiety i dzieci, pamiętaj!

Czarny Wilk obrzucił szamana badawczym spojrzeniem. Czyżby przeczuwał jakieś niebezpieczeństwo? Jednak nie zapytał go już o to, gdyż starzec przymknął oczy i opuścił głowę na piersi.

Czarny Wilk odszedł w głąb obozu, a wkrótce rozległy się nawoływania „Złamanych Strzał”:

- Kobiety! Słuchajcie! Wygaście ogniska przed odejściem! Zasypcie je ziemią! Dobrze przytroczone psom juki! Starannie przywiążcie bagaże! Wszyscy słuchajcie, co mówią „Złamane Strzały”! Uważajcie na dzieci, pilnujcie, aby nie oddalały się od was podczas drogi! Słuchajcie uważnie: wszyscy mają iść zwartym szykiem! Wojownicy niech będą w stałym pogotowiu! Tak rozkazują „Złamane Strzały”!

Czerwony Pies uważnie nasłuchiwał nawoływań żołnierzy. Roztropny Czarny Wilk nie zlekceważył rad. To trochę go uspokoiło. Głosy ludzi oraz ujadanie psów oddalały się coraz bardziej i cichły. Gdy szaman w końcu uniósł głowę i otworzył oczy, ujrzał już tylko w dali na północy ruchomą smugę pyłu, która jak długi wąż, snuła się nisko nad prerią coraz dalej i dalej.

Szaman powstał, wsparł się lewą dłonią na włóczni, po czym spojrzał ku gromadce mężczyzn stojących w milczeniu za jego plecami. Od razu spostrzegł Tehawanę u boku Czarnego Wilka.

Widok ukochanego wnuka sprawił mu radość, lecz ani jeden muskuł nie drgnął w jego twarzy.

- Czas na nas! - odezwał się. - Prowadź na zachód, Czarny Wilku! Tutaj trawa zdeptana przez ludzi i psy, nie dojrzą śladów bizonów.

Przez jakiś czas wędrowali nie rozmawiając. Wszyscy w nabożnym skupieniu spoglądali na sędziwego szamana, który szedł obok Czarnego Wilka lekkim krokiem, jakby odurzający zapach traw płynący z prerii zdjął z jego pleców ciężar lat długiego życia. Szaman wciąż rozglądał się wokoło, aż wreszcie przystanął i siadł na ziemi. Teraz znad wysokiej trawy widać było tylko jego barki i głowę. Czarny Wilk, Tehawanka i inni stanęli za nim półkolem.

Szaman uważnie rozglądał się wokół siebie, jakby czegoś szukał w trawie. Usta jego poruszały się bezgłośnie. Naraz tuż u jego skrzyżowanych nóg przysiadł olbrzymi, zielono - czarny pasikonik, którego Dakotowie w swojej mowie nazywali - „Ten, - który wskazuje bizony”.

Szaman szybko wyciągnął dłoń w kierunku owada i ostrożnie ujął go w palce. Spoglądając na niego pełnym szacunku wzrokiem, cicho zapytał:

- Powiedz mi, ojcze, w którym kierunku mam szukać bizonów?

Pasikonik, jakby zakłopotany pytaniem, niezdecydowanie odwracał swe długie, nitkowate czułki na głowie to w tę, to w inną stronę, aż w końcu wyciągnął je wprost ku zachodowi.

Sędziwy szaman pochylił się nad nim i szepnął:

- Dziękuję ci, ojcze! Ty i ja jesteśmy dziećmi tej samej matki ziemi, musimy sobie pomagać!

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Potem delikatnie położył go na listku szałwi i cofnął dłoń. Oswobodzony pasikonik wspaniałym skokiem natychmiast zaszył się w wysokiej trawie. Szaman teraz zwrócił się ku zachodowi, powolnym ruchem odchylił głowę do tyłu, twarz jego zastygła w bezruchu, szarzała... Minęła długa chwila zanim westchnął głęboko i ocknął się z odrętwienia. Ruchem dłoni przywołał

Czarnego Wilka i rzekł:

- Stado bizonów podzieliło się w nocy na dwie części. Jedna z nich pozostała nieco na południe od nas, podczas gdy druga żeruje obecnie w kierunku zachodnim, wprost przed nami. Jest tam dużo samic, ich skór wystarczy dla naszych kobiet do sporządzenia nowych tipi.

- To dobra wiadomość, ojcze! - ucieszył się Czarny Wilk.

- Odgradź ogniem obydwie części stada i wegnaj do pułapki tylko bizony znajdujące się przed nami na zachodzie - dodał Czerwony Pies. - Nie możemy zabijać więcej zwierząt, niż zdołamy unieść do domu mięsa i skór.

- Słusznie mówisz, mój ojcze, tyle też uczynimy - odparł Czarny Wilk.

Nie tracąc czasu podzielił mężczyzn na trzy grupy. Pierwsza miała przedostać się pomiędzy obydwie części stada i oddzielić je od siebie ogniem. Pożar rozniecony przez nią będzie sygnałem dla drugiej grupy, która podpalił prerię od strony wschodniej, a wtedy z kolei trzecia grupa uczyni to samo na północ od gardzieli wąwozu, W ten sposób stado otoczone ogniem z trzech stron będzie musiało wejść do wąwozu - pułapki.

Gdy pierwsza grupa gotowa już była do wyruszenia w drogę, Czarny Wilk odebrał Tehawance swoją włócznię i tarczę, mówiąc:

- Pragniesz wyróżnić się na łowach, więc chcę dać ci ku temu okazje. Ruszaj z pierwszą grupą, która

ma do wykonania najważniejsze zadanie. Gdy podpalicie prerię, odszukaj południową część stada i pokaż, co potrafisz zdziałać w pojedynkę. O moim zezwoleniu już powiadomiłem dowódcę twojej grupy.

Tehawanka z trudem powstrzymał okrzyk radości. Na kolektywnych łowach wszystkich obowiązywała niezwykle surowa dyscyplina i nikomu nie wolno było nic przedsięwziąć na własną rękę.

Czarny Wilk musiał mu bardzo sprzyjać, skoro zezwolił na samodzielne polowanie.

Dowódca „Złamanych Strzał” w rzeczywistości chciał umożliwić Tehawance spełnienie warunków, od których rada starszych uzależniła jego poddanie się próbom męstwa podczas nadchodzących uroczystości „Tańca Słońca”. Dzięki pomyślnej ucieczce z niewoli u Czipewejów oraz odzyskaniu świętości ojca, młodzieniec zdobył sobie ogólne uznanie. Powodzenie na wojennych wyprawach bez ponoszenia własnego uszczerbku było zawsze wysoko oceniane.

Samodzielne wydostanie się z grożącej życiu opresji już zapowiadało, że młody Tehawanka wkrótce może stać się kimś ważnym w społeczeństwie Wahpekute. Toteż Czarny Wilk upatrywał

w nim kandydata do stowarzyszenia żołnierski „Złamanych Strzał” i dlatego właśnie był skłonny ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> teraz nam pomóc. Czarny Wilk spostrzegł wielką radość Tehawanki i ogarnęła go obawa, czy młodzieniec docenia niebezpieczeństwa, jakie mogły mu zagrażać podczas samotnego polowania na bizona. Zaniepokojony odezwał się:

- Słuchaj uważnie, młody bracie! Zezwalam tobie zapolować na własną rękę, ponieważ ze względu na rozdzielenie się stada nie będzie to miało jakiegokolwiek wpływu na przebieg kolektywnych łowów. Osączamy jedynie północne stado. Tym niemniej południowa część również zaniepokoi się widokiem płonącej prerii. W tej sytuacji zadanie twoje nie będzie ani łatwe, ani bezpieczne. Pamiętaj, że roztropność i rozwaga są najlepszym dowożeniem dojrzałości.

- Dziękuję za przestrożę. Czarny Wilku - odrzekł Tehawanka. - Zachowam konieczną ostrożność, aby nie zawieść twego zaufania.

- Dobrze, teraz już idź!

Tehawanka pobiegł za oddalającymi się myśliwymi, było ich, oprócz niego, sześciu i szli szeregiem jeden za drugim, powodził im oficer „Złamanych Strzał” zwany Przeciętą Twarzą z powodu szerokiej blizny na prawym policzku. Tehawanka dogonił myśliwych i teraz szedł jako ostatni.

Przecięta Twarz prowadził swą grupę w kierunku zachodnim. Na dalekim horyzoncie piętrzyło się ciemne, długie pasmo wysokich wzgórz, obramowujące płaską w tych okolicach prerię.

Suchą, sypką i piaszczystą ziemię porastała jedynie rzadka, rosnącą kępami trawa, której niezbyt wysokie łodygi skręcały się na końcu w małe pierścienie. Była to tak zwana trawa bizonów, która stanowiła ulubiony pokarm wędrujących stad. Nigdzie nie było widać drzew, ani nawet karłowatych

krzewów.

Myśliwi szybko podążali bez odpoczynku. Łagodny podmuch wschodniego wiatru nieco łagodził żar lejący się z bezchmurnego nieba, lecz mimo to ciała wędrowców wilgotniały potem.

W niedalekiej odległości od łańcucha wzgórz płaska dotąd równina przekształcała się w falistą prerię. Przecięta Twarz teraz zatrzymał się i przywołał towarzyszy do siebie.

- Czas na krótki odpoczynek - rzekł. - Według zapewnień szamana bizona powinny żerować już tutaj gdzieś blisko. Niech mój brat Nom'pa apa nałoży wilczą skórę i rozejrzy się z pagórka po okolicy.

Nom'pa apa, czyli Dwa Uderzenia, wydobył z zawiniątka wyprawioną w całości skórę wilka, nakrył nią plecy oraz głowę, po czym chyłkiem podążył w kierunku wzniesienia. Podchodzenie bizonów w przebraniu w skóry wilcze było starym fortelem myśliwskim Indian prerii. Wilki oraz wiecznie nienasycone kojoty stale krążyły wokół stad bizonów, czyhając na słabe i chore lub padłe zwierzęta. Toteż widok ich nigdy nie niepokoił bizonów, tym bardziej, że tchórzliwe drapieżniki nie podchodziły zbyt blisko do zdrowych i silnych sztuk. Indianie wykorzystywali przyzwyczajenie bizonów do obecności wilków i podczas indywidualnych polowań podkradali się do stada przybrani w ich skóry.

Przecięta Twarz przykucnął obok Tehawanki.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html>

- Czarny Wilk zezwolił mojemu młodszemu bratu na odłączenie się od nas po podpaleniu prerii

- zagadnął. - Czy to będą twoje pierwsze samodzielne łowy na bizona?

- Tak, nigdy dotąd nie polowałem sam na bizona na otwartej prerii - odparł Tehawanka.

- Nasz dowódca chce zapewne przekonać się, co naprawdę jesteś wart, a to najlepiej można uczynić na wielkich łowach. Dwa Uderzenia dał memu bratu wilczą skórę. W takim przebraniu łatwiej podkradniesz się do stada. Tylko pamiętaj, trzeba podchodzić pod wiatr, żeby bizona przedwcześnie nie zwietryły zapachu ludzkiego ciała.

- Będę o tym pamiętał. Czerwony Pies uczył mnie, jak należy podchodzić do zwierzyny -

powiedział Tehawanka i po chwili nieśmiało zapytał: - Dlaczego „Złamane Strzały” tak mi sprzyjają?

Przecięta Twarz uśmiechnął się i odparł:

- Może mamy w tym swój cel?

Rozmowa urwała się, bowiem w tej chwili Szare Oczy cicho zawołał:

- Dwa Uderzenia daje znaki! Widzi bizona! Widzi bizona!

Wszyscy natychmiast spojrzeli w kierunku wzgórza, na które miał wspiąć się zwiadowca.

Właśnie powiewał w powietrzu wilczą skórą, powiadamiając w ten sposób towarzyszy, że stado znajduje się w polu jego widzenia.

Przecięta Twarz podniecony wiadomością powstał i trzykrotnie wznosił do góry swą długą włócznię, do której drzewca rzędem przymocowane były sokole pióra.

- Niech moi bracia, przygotują żagwie do podpalenia prairii i rozpalą ognisko - rozkazał.

Myśliwi rozpakowali zawiniątka, w których przynieśli spore wiązki smolnych drzazg oraz namoczone w wodzie długie rzemienie. Owe palące się wiązki przywiązane do rzemieni mieli ciągnąć za sobą biegnąc przez prairię i w ten sposób rozprzestrzenić ogień.

Zanim Szare Oczy zdołał rozpaść ognisko, nadbiegł zwiadowca.

- Wszystko jest tak, jak przepowiedział nasz wielki szaman - cicho zawołał. - Duże stado żeruje zaledwie o kilka strzelań z łuku, trochę na prawo od nas, natomiast znacznie więcej bizonów znajduje się nieco dalej na południu.

- Więc są już tak blisko? - zaniepokoił się Przecięta Twarz.

- Wiatr wieje z południowego wschodu, mogą nas zwietryć przedwcześnie!

- Mój brat dobrze mówi! - powiedział Dwa Uderzenia. - Wydawało mi się, że bizona na prawo od nas już okazują niepokój.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html>

- Są zbyt blisko, to niedobrze! - powiedział Przecięta Twarz.

- Jeśli teraz podpalimy prairię tylko od strony południowej, stado może z równym powodzeniem uciekać na wschód, zamiast na północ w kierunku wąwozu - pułapki.

- I wtedy umknie nam, zanim nasi zdążą podpaść prairię od strony wschodniej - dodał Szare Oczy.

- Musimy zmienić plan - rzekł Przecięta Twarz. - W tej sytuacji podpalimy prairię od razu z dwóch stron, od południa i wschodu. Dwa Uderzenia, Szare Oczy i Ogon Byka będą podpalali prairię stąd ku północy, a my uczynimy to samo stąd na zachód. Wiatr jest pomyślny, szybko rozprzestrzeni pożar w pożądanym przez nas kierunku. Co moi bracia sądzą o tym?

- Tak właśnie powinniśmy postąpić! - odparł Dwa Uderzenia.

- Rada dobra! - przywtórzył Szare Oczy.

- Hough!

- Hough! - potwierdzili inni.

Szare Oczy tymczasem zdołał już rozpalić chrust. Myśliwi nie tracąc czasu polali wiązki smolnych drzazg zwierzęcym tłuszczem, który w tym celu przynieśli w bizonim pęcherzu.

Zapalenie wiązek od ogniska było już dziełem krótkiej chwili, po czym zgodnie z powziętym planem myśliwi rozbiegli się na zachód i północ, ciągnąc za sobą po ziemi uwiązane na rzemieniach płonące żagwie. Ogień coraz szerszą ławą obejmował wysuszoną w słońcu, pożółkłą trawę. Wkrótce chmury czarnego dymu zaczęły wznosić się ponad prerią.

Czterej myśliwi pochyleni do przodu biegli rzędem ku łańcuchowi wzgórz, wlokąc za sobą po ziemi trzaskające ogniem żagwie. Biegli, ile tylko sił im starczyło, ponieważ ława płomieni roznoszona coraz szerzej przez wiatr wiejący im w plecy, groźnie gnała za nimi, przynaglając do wysiłku. Tehawanka znajdował się obok Przeciętej Twarzy. Na plecach miał przytroczone kołczan z łukiem i strzałami oraz zwiniętą w toboł wilczą skórę. Tak jak jego towarzysze, ciągnął

za sobą płonącą żagiew, która pożerana przez płomień coraz mniejszy stawiała opór. Wkrótce też Tehawanka poczuł, że ciągnie tylko sam rzemień, więc nie ustając w biegu, zaczął go zwijać.

Na szczęście pasmo wzgórz znajdowało się już bardzo blisko. Wszystkie żagwie spłonęły doszczętnie. Przecięta Twarz począł ręką dawać znaki, aby teraz zawrócili na południe. Zaledwie trochę odbiegli od szalejących płomieni, padli bez tchu na ziemię.

Tymczasem czarne kłęby dymu niosły się coraz dalej na północny zachód, wchłaniając chmury kurzu wzbijane w górę przez uciekające w przerażeniu stado. Tętent setek kopyt rozbrzmiewał

jak głuchy huk dalekiego grzmotu, a towarzyszyły mu potężne, basowe ryki przerażonych bizonów.

Myśliwi rozognionym wzrokiem śledzili oddalającą się pożogę. Ryki bizonów oraz tętent kopyt ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> z wolna przycichały. Stado mknęło w pożądanym przez myśliwych kierunku. Ogień niesiony podmuchami wiatru błyskawicznie wypalał suchą trawę, pozostawiając po sobie tylko poczerniałą, gołą ziemię.

Przecięta Twarz odetchnął głęboko, powstał i odezwał się:

- Zrobiliśmy swoje! Bizony biegną w kierunku pułapki. Lada chwila nasi zamkną je w wąwozie.

Teraz czeka nas dużo ciężkiej pracy. Możemy już iść. Trawa niska, to i pożar niezbyt groźny.

Ziemia tylko trochę rozgrzana. Grube podeszwy mokasynów dostatecznie ochronią nasze stopy.

Wszyscy powstali, a wtedy Przecięta Twarz zwrócił się do Tehawanki:

- Mój młody brat również może już wyruszyć na swoje łowy. Oby szczęście ci sprzyjało!

Później przyjdziemy zobaczyć, czego dokonałeś! Idziemy!

Tehawanka pozostał sam. Przez chwilę zanosił modły do boga Wi, prosząc o powodzenie na łowach, po czym ruszył w kierunku pasma wzgórz. W pobliżu ich podnóża ziemia wilgotniała, teraz Tehawanka zawrócił na południowy wschód. Wiatr powiał mu prosto w twarz. Łagodnie falista preria zawęzła widnokraj, więc co chwila wyciągał do góry głowę i głęboko wdychał

powietrze. W niedługim czasie wiatr zaczął przynosić ostry odór dzikich zwierząt.

Tehawanka pochylony ostrożnie wstępował na rozległe, łagodne wzniesienie. Zaledwie ujrzał

pierwszego bizona, natychmiast padł na ziemię. Zdjął z pleców tobolek oraz wydobyl z kołczanu łuk i kilka strzał. Starannie nałożył na siebie wilczą skórę, która wyprawiona w całości wraz z łbem, łapami i długim, puszystym ogonem, pozwalała mu dostatecznie się ukryć. Tylko jego oczy połyskiwały spod lekko rozwartego wilczego pyska.

Trzymając w lewej dłoni łuk i strzały zygzakiem podkładał się do stada. Dopóki pełznął pod wiatr, mógł nie obawiać się zwietrzenia, bowiem długie, gęste grzywy opadające bizonom na oczy znacznie ograniczały ich pole widzenia i dokładność rozpoznawania przedmiotów.

Tehawanka podchodząc na czworakach zbliżył się bez przeszkód do pierwszych zwierząt.

Przecięta Twarz słusznie przestrzegał, że zaniepokojone pożarem stado będzie miało się na ostrożności* [przyp.: Bizon amerykański (Bison bison) należy do przeżuwaczy z rodziny pasterozców i jest spokrewniony z europejskim żubrem, od którego różni się krótszymi nogami, większą przewagą przedniej części ciała nad zadnią, gęstsza sierścią i szerszą głową oraz jedną parą żeber więcej. W Ameryce Północnej żyły dwie odmiany bizona; leśna i preriowa. W

dawnych czasach milionowe stada bizonów zamieszkiwały ten kontynent od Appalachów do Gór Skalistych i od równin Kanady aż po Zatokę Meksykańską. Stada wędrowały regularnie na wiosnę w północne strony, a w późnej jesieni na cieplejsze południe. Bizony żyły w stadach; gdy zwietrzyły niebezpieczeństwo, samice otaczały kołem cielęta, podczas gdy byki tworzyły drugi, zewnętrzny pierścień ochronny. Rozjuszony stado mogło szarżować i stratować wroga. Silny instynkt gromadny doprowadzał często do zagłady całe stado, które za swymi przodownikami biegło na oślep w ruchome piaski, bagna lub spadało w przepaść. W okresie godowym byki toczyły zajadłe boje, które mogły trwać całą dobę, a nawet i dłużej. Dalsze informacje o losach bizonów będą w następnych tomach powieści.]. Dorosłe byki żerowały krążąc wokół stada, a dopiero dalej za nimi pasły się

samice, wśród których matki otaczały kołem swe cielęta, ABC Amber LIT Converter

<http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter

<http://www.processtext.com/abclit.html> osłaniając je w ten sposób własnymi ciałami. Taki właśnie szyk obronny zwykły zachowywać bizona, gdy nie czuł się zbyt bezpiecznie.

Tehawanka przyczołajony nieopodal stada roziskrzonym wzrokiem wodził po olbrzymich zwierzętach. Najbliższy z byków odwrócił ku niemu pochylony do przodu, grzywiasty, szeroki łeb, lecz widząc tylko jednego „wilka”, zaraz znów zaczął skubać trawę, zamiatając przy tym ziemię swoją długą brodą. Upał oraz natrętne owady dokuczały zwierzętom, toteż niektóre z nich przyklękały na przednie nogi, nisko pochylały łby i zakrzywionymi rogami zawzięcie ryły ziemię. Potem grzebiąc kopytami i uderzając łbem odrzucały na boki kępy murawy i grudy ziemi, dopóki nie wykopały lejowatego dołu, w którym wkrótce pojawiała się woda. Wtedy całym ciężarem potężnego cielska waliły się w kałużę i nadal grzebiąc kopytami oraz kręcąc się wkoło, coraz bardziej zapadały się w błotne legowiska. Nasyciwszy się chłodzącą kąpielą wychodziły oblepione błotem, a wtedy następne bizona zaraz zajmowały opuszczone bajora. Tu i tam widać było zwierzęta leżące w trawie i przeżuujące pokarm, niektóre zaś igrały wykonując pocieszne skoki.

Tehawanka pomny, że kobiety potrzebowały skór na zrobienie nowych tipi, spoglądał ku samicom. Właśnie spostrzegł wielkie zwierzę, które nie opadał za pierwszą linią byków spokojnie skubało trawę.

„Tego właśnie zabiję najpierw!” pomyślał.

Przedsięwzięcie było dość niebezpieczne, gdyż chcąc bliżej podejść do wybranej samicy, musiał wyminąć kilka bliżej żerujących byków. Tehawanka jednak chciał udowodnić, że potrafi upolować wybrane ze stada zwierzę, więc postanowił zaryzykować. Na czworakach, z łukiem i strzałami w dłoni, zaczął podkradać się, klucząc jak wilk zygakiem. Bizona nie zwracały na niego uwagi, lub też tylko zerkały poprzez grzywy z tępą obojętnością. Pojedynczych wilków nigdy się nie obawiały. Ośmielony tym Tehawanka pełznął coraz dalej. Wreszcie znalazł się bardzo blisko upatrzonego zwierzęcia, które teraz stało zwrócone do niego lewym bokiem.

Tehawanka, zachowując największą ostrożność, przyklęknął. Strzały pozostawił u swych kolan na ziemi, nakładając jedną na cięciwę. Wolno napinał łuk. Starannie mierzył pod lewą łopatkę.

Już miał zwolnić cięciwę, by strzałą ugodzić bizona, gdy nieoczekiwany widok wprowadził go w osłupienie.

Otóż za upatrzoną ofiarą zaczęło wynurzać się z lejowatego bajora niezwykle zwierzę. Był to biały bizon. Właśnie wstrząsnął potężnym łbem odrzucając grzywę i spojrzał czerwonymi jak krew ślepiami.

Tehawanka nie strzelił, powolnym ruchem zwolnił cięciwę, po czym trzymając w lewej dłoni łuk oraz strzałę z powrotem opadł na czworaki i skrył się pod wilczą skórą. Teraz z wielką czcią pochylił się przed bizonem - duchem, który właśnie pod taką postacią po raz pierwszy pojawił się na Ziemi dawno, dawno temu, a później co pewien czas znów powracał i ukazywał się niektórym

wybrańcom losu.

Tehawanka z niemym zachwytem i uwielbieniem wpatrywał się w bizona albinosa. Ileż to razy przy wieczornych ogniskach słuchał niezwykłych opowieści o bizonie - duchu, którego skóra stanowiła dla Indian wielką świętość, pokazywaną tylko podczas specjalnych, uroczystych ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> obrzędów! Posiadała ona potężną, czarodziejską moc zwłaszcza w leczeniu ciężkich ran.

„Prosiłem boga Wi, aby pomógł mi wyróżnić się podczas polowania i oto jego odpowiedź! -

pomyślał Tehawanka. - Będę posiadał czarodziejską skórę bizona - ducha!” Podniecony możliwością zdobycia skóry świętego zwierzęcia, uważnie rozejrzał się wokoło.

Aby nie ryzykować niepewnego strzału, musiał podkraść się jeszcze bliżej do bizona - ducha, a tymczasem zwierzęta, które wyminął dążąc do uprzednio upatrzonego celu, zaczęły okazywać duże zaniepokojenie. Powód tego Tehawanka odgadł natychmiast. Dopóki podchodził je pod wiatr, nie mogły go zwietrzyć, teraz wszakże znajdowały się już poza nim i zapach człowieka uderzał prosto w ich nozdrza. Stary byk o kilkanaście kroków za Tehawanką głośno parsknął i gniewnie bił kopytami o ziemię. Lada chwila mógł poderwać całe stado do ucieczki.

Tehawanka zrozumiał, że nie ma ani chwili do stracenia. Nie zważając na to, że może zostać stratowany, gdyby stado zaczęło uciekać, jeszcze bardziej zbliżył się do bizona albinosa.

Biały bizon akurat wyszedł z błotnistej kąpieli. Wstrząsnął łbem i krwawymi ślepiami naraz dojrzał „wilka” czającego się u jego boku. Tehawanka błyskawicznie uniósł się na kolana.

Nałożenie strzały było dziełem krótkiej chwili. Mocno naciągnął cięciwę i mierząc pod lewą łopatkę, strzelił! Strzała uderzyła z tak wielką siłą, że zagłębiła się w potężne cielsko bizona aż po pióra przytwierdzone do jej grubszego końca. Biały bizon stęknął boleśnie, wstrząsnął

ogromnym łbem, postąpił do przodu dwa lub trzy kroki, ale już następne strzały utkwily w jego lewym boku. Bizon parsknął krwawą pianą, przednie nogi ugięły się pod naporem bezwładniejącego cielska. Olbrzymie zwierzę zważyło się na ziemię, padając łbem pomiędzy rozsunięte do przodu nogi. Cielsko białego bizona nieruchomiało, tylko jedna zadnia noga nieporadnie wyciągnięta do tyłu jeszcze konwulsyjnie grzebała ziemię, jeszcze krótki ogon bił po bokach.

Tehawanka, klęcząc wciąż jeszcze z łukiem w dłoni, w niemym upojeniu spoglądał w zachodzące mgłą krwawe ślepie zwierzęcia. Donośne ryki oraz tętent zrywającego się do ucieczki stada przywróciły go do rzeczywistości. To właśnie bizona, które uprzednio okazywały niepokój wietrząc człowieka, teraz już poderwały całe stado. Tehawanka ujrzał cwałujące wprost na niego zwierzęta, więc bez namysłu wskoczył do lejącego dołu i przyłgnął do ziemi. Tętent uciekających bizonów jak grzmot przetoczył się nad nim, a potem z wolna cichnął w dali na wschodzie.

Niespodziewany napad

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Bizony były dla Indian wspaniałomyślnym darem Wielkiego Ducha. To on przecież zesłał na Ziemię pierwszego białego bizona, aby rozmnożył się w niezliczone stada, które dostarczać miały Indianom niemal wszystkiego, czego potrzebowali do życia.

Obok kukurydzy - matki mięso bizona stanowiło podstawowy pokarm Indian prerii, którzy przyrządzali je na różne sposoby, gotowali, piekli, suszyli na zapas, robili pożywny pemmikan łatwy do zabierania w drogę. Z miękko wygarbowanych skór szyli koszule, przepaski biodrowe, nogawkę, pasy, suknie dla kobiet, cholewki do mokasynów, futrzane zimowe opończe, małe woreczki, pokrycia na legowiska do spania i tipi. Natomiast z wysuszonej w słońcu, nie garbowanej skóry wytwarzali twarde podeszwy do mokasynów, duże torby na jedzenie i ubranie, sznury, kołczany, tarcze wojenne i przenośne, lekkie łodzie* [przyp.: Tak zwane po angielsku bull - boats, które służyły jedynie do przepraw przez rzeki i nie były używane do dłuższych podróży po wodzie. Łódź składała się z ramy wykonanej z wierzbowych prętów pokrytych skórą bizona. Wyglądała jak rozpięty, odwrócony, duży parasol bez rączki. Pływanie nią wymagało zręczności i doświadczenia, lecz lekkość pozwalała na przenoszenie z miejsca na miejsce.

Mandanowie z grupy językowej Sju byli pierwszymi budowniczymi „bull boats”]. Z łopatek bizona robili motyki, z żeber przyrządzali do prostowania strzał do łuku, noże, skrobaczki do skór, z innych kości szydła do szycia, a z rogów łyżki i groty do strzał. Z kopyt i rogów wytwarzali klej, a z mózgu i wątroby, gotowanych z domieszką tłuszczu, otrzymywali rodzaj pasty do garbowania skór. Wreszcie na bezdrzewnych preriach odchody bizonie służyły im za opał.

Indianin nie marnował ani jednej części ciała tak użytecznego zwierzęcia.

Bizon był dla Indian prerii prawdziwym darem bogów. Toteż Tehawanka zaledwie opuścił swą kryjówkę, najpierw obszedł dookoła niezwykłą zdobycz myśliwską, a potem przyklęknął przed potężnym, przekrzywionym, kudłatym łbem. Z wielką czcią spoglądał w szkliste, krwawe ślepia.

Ogarnęły go wielka radość i duma. Oto samodzielnie upolował białego bizona, który był

wiernym odtworzeniem pierwszego bizona - ducha na Ziemi! Człowiek posiadający czarodziejską skórę świętego zwierzęcia sam stawał się jakąś częścią tej świętości.

„Dzięki ci, Wielki Wi, za wysłuchanie moich prośb o powodzenie na polowaniu! - szeptał

Tehawanka w uniesieniu. - W zamian ślubuję ci, że podczas uroczystości „Tańca Słońca” odbędę w podzięce ofiarny taniec...”

Po modlitwie dziękczynnej Tehawanka zwrócił się do leżącego przed nim zwierzęcia:

„Wybacz mi, bizonie - duchu! To wielki Wi zesłał ciebie tutaj, abym mógł wkrótce stać się mężczyzną i wojownikiem. Nie zabiłem cię z próżnej chciwości ani dla zaspokojenia własnego głodu. Nie tknę ani odrobiny twego mięsa, wszystko oddam wdowom, biednym i starcom, dla siebie zachowam jedynie twoją świętą skórę, jako dar Wielkiego Wi. Ja i wszyscy Wahpekute będziemy oddawali jej należną cześć, aby leczyła skutecznie nasze rany. Duch twój powie o tym innym

bizonom i gdy znów powróci na Ziemię, sprowadzi nam wielkie stado, które zaspokoi nasz głód i wszystkie nasze potrzeby!”

Tehawanka powstał teraz i jeszcze raz obszedł bizona albinosa dookoła. Został on celnie ugodzony strzałami w chwili, gdy wyskakiwał z bajora i padł na ziemię brzuchem. Potężny łeb spoczywał pomiędzy wyciągniętymi do przodu i szeroko rozłożonymi, przednimi nogami, podczas gdy jedna z zadnich podwinęła się pod niego, a druga podkurczona, pozostała ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> nieporadnie za nim. Dzięki takiemu ułożeniu nóg bizon nie mógł przewrócić się na bok i leżał w pozycji, w jakiej zawsze kładą go myśliwi przystępując do ściągania skóry. Ten szczęśliwy traf Tehawanka przypisał sprzyjaniu mu nadprzyrodzonych sił. Przecież był sam i nieprędko mógł

spodziewać się przybycia pomocy. Własnymi siłami nie mógłby odpowiednio ułożyć ciężkiego bizona.

Rozbiórka na części zabitego bizona wymagała umiejętności, uwagi i zręczności, których, tak kobiety, jak i mężczyźni, uczyli się od najmłodszych lat. Tehawanka nie tracąc czasu od razu przystąpił do ciężkiej pracy.

Ściągnięcie w całości wielkiej i ciężkiej skóry było niezwykle trudnym zadaniem, toteż Indianie przeważnie przecinali ją na dwie połowy, które po odpowiednim spreparowaniu z powrotem zszywali. Tehawanka również postanowił postąpić w ten sposób. Wydobył stalowy nóż zdobyty u Czipewejów i poprzecznym, głębokim cięciem przez kark odsłonił garb. Potem przeciął skórę wzdłuż grzbietu, od łba aż do ogona i dopiero wtedy zaczął oddzielać ją od boków, pozostawiając tylko przy kości mostkowej.

Słońce już zaczęło chylić się ku zachodowi. Tehawanka właśnie ukończył ściąganie obydwóch połówek skóry i rozścielał je na ziemi, aby mógł na nich składać poszczególne części mięsa bizona, gdy usłyszał nawoływania. Natychmiast przerwał pracę i pobiegł na pobliskie wzniesienie. Nadchodzili - Poranna Rosa, Mem'en gwa, Czarny Wilk i Sha'pa. Oni również od razu go wypatrzyli i przyspieszyli kroku. Tehawanka poprowadził ich ku swej niezwyklej zdobyczy.

Czarny Wilk zaledwie ujrzał biały, kudłaty łeb i czerwone oczy bizona, zdumiony i pełen niedowierzania spojrzął na Tehawanke.

- Upolowałeś bizona - ducha - powiedział z przejęciem. - Jak pamiętam, Wahpekute po raz pierwszy posiadał tak wielką świętość! Wielki Duch bardzo ci sprzyja! Czy podziękowałeś mu należycie za tak wielki dar?

- Tak, Czarny Wilku, ślubowałem odbyć ofiarny taniec podczas uroczystości „Tańca Słońca” -

odparł Tehawanka. - Zachowam także tylko czarodziejską skórę bizona - ducha, a resztę rozdram wdowom, starcom i biednym. Ozór bizona - ducha pragnę ofiarować dowódcy „Złamanych Strzał”. Proszę cię. Czarny Wilku, przyjmij to ode mnie!

Czarny Wilk poważnie skinął głową. Przychylnym wzrokiem obrzucił Tehawanę, który, jak nakazywał obyczaj, okazał skromność, brak chciwości oraz troskę o najbardziej potrzebujących pomocy. Młodzieniec, który po raz pierwszy samodzielnie upolował bizona, nie powinien zjeść ani kawałka mięsa ze swej zdobyczy i wspaniałomyślnie rozdać wszystko innym, bacząc uważnie, aby nie obdarować nikogo ze swoich krewnych* [przyp.: Zwyczaj, zwany po angielsku to give away (rozdawanie swej własności innym), był szeroko praktykowany wśród Indian prerii.

Miał on na celu uczenie młodych wspaniałomyślności i życzliwości dla wszystkich członków plemienia i pomagania tym, którym gorzej się powodziło. Człowiek w młodości szczodry dla innych mógł być pewny, że gdy zestarzeje się, inni również o nim nie zapomną. Rozdawanie własności często urządzano po pogrzebie, przed wyruszeniem na wojenną wyprawę, po pierwszym polowaniu chłopca, z okazji urodzin, niezwykłych wydarzeń i uroczystości, a ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> szczególnie w czasie „Tańca Słońca”. Uczty wyprawiane w celu rozdawania swej własności przypominały nasze przyjęcia urodzinowe z tym, że wydający ucztę, zamiast przyjmować podarunki od zaproszonych gości, sam je im rozdawał.]

Czarny Wilk pochylił się przed bizonem albinosem i głosem pełnym szacunku odezwał się:

- Dziękuję ci, bizonie - duchu, że raczyłeś przybyć na Ziemię, aby pozostać wśród twoich braci Wahpekute. Wszyscy okazemy ci należną cześć i powitamy „Tańcem Bizona”. Pozwoliłeś zabić się szlachetnemu i odważnemu młodzieńcowi, który już wkrótce zostanie wojownikiem.

Niezwykłe to ważny i obiecujący znak dla niego!

Poranna Rosa i Mem'en gwa uradowane zerkały na Tehawanę, a Sha'pa położył dłoń na jego ramieniu i szepnął:

- Jedyne Wahpekute posiadający czarodziejską skórę bizona - ducha wkrótce zyska sławę...

- Wielki i ważny to dzień, mój młodszy bracie, dla ciebie oraz dla nas - odezwał się Czarny Wilk. - Teraz pomożemy ci w pracy, a nazajutrz sprowadzimy psy z włókami i przeniesiemy twój łup do naszego obozu. Kobiety niech najpierw nazbierają odchodów bizonich na opał, będziemy musieli przenocować tutaj. Sha'pa, ruszaj zaraz do naszych i powiadom ich o niezwykłym wydarzeniu. O świcie weź psy i powróć do nas.

Sha'pa zdążył tylko szepnąć przyjacielowi, że zabił cztery bizona w wąwozie - pułapce i bez zwłoki wyruszył w drogę, aby znaleźć się w obozie jeszcze przed zapadnięciem wieczoru.

Dziewczęta również rozbiegły się po prerii i zbierały bizonie odchody, które pod wpływem gorącego słońca wyglądały jak okrągłe, wysuszone placki.

Czarny Wilk tymczasem przystąpił z Tehawaną do rozbiórki na części mięsa zabitego bizona.

Najpierw wycięli łopatki, potem wzdłuż grzbietu połędwice, a żebra obrosłe tłuszczem odrabiali toporem. Z kolei wydobyli jelita, żołądek i wątrobę, ponieważ każda część ciała bizona miała swoje

przeznaczenie. Wreszcie wyjęli mózg, wycięli ożór i odrąbali łeb, który zamierzali w całości zabrać do obozu. Wszystko zostało porządnie ułożone na obydwóch połówkach skóry i zawinięte.

W czasie pracy Czarny Wilk opowiedział Tehawance o przebiegu łowów w ślepych wąwozie.

Wahpekute zabili około czterystu bizonów i obecnie wszyscy byli pochłonięci zdejmowaniem skór, garbowaniem oraz przygotowaniem, mięsiwa do suszenia. Przez najbliższe dni czekała Wahpekute ciężka i odpowiedzialna praca. Musieli przygotować znaczne zapasy suszonego mięsa i pemmikanu na czas uroczystości „Tańca Słońca”.

Dopiero gdy gwiazdy rozblęsnęły na niebie, Czarny Wilk i Tehawanką zaczęli zmywać z siebie krew w bajorze wykopanym przez bizony. Utrudzeni zasiedli potem przy ognisku. Ze względu na ślubowanie złożone przez Tehawankę, ani on, ani jego rodzina nie mogli jeść mięsa z zabitego przez niego bizona. Jednak Poranna Rosa przyniosła do obozu kawał świeżej polędwicy, którą teraz pocięła na cienkie paski i wszyscy opiekali je nad ogniem, zatknięte na długie, wierzbowe patyki. Niebawem też zaspokoili pierwszy głód.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Czarny Wilk żartował z dziewczętami. Właśnie przygotowywały posłania z trawy w pobliżu ogniska. Poranna Rosa wciąż zerknęła na brata wodzącego wzrokiem za Mem'en gwa.

Rozweselona jego zakłopotaniem zaczęła opowiadać o jakimś mężczyźnie, który mimo odwagi w boju był bardzo nieporadny wobec ukochanej dziewczyny. Tehawanką zaczerwienił się, a Czarny Wilk rzekł:

- Zakochani bywają nieśmiali wobec swych wybranek, ale są gotowi do wszelkich poświęceń dla nich. Słyszałem o jednym Miniconjou* [przyp.: Miniconjou - jedno z plemion Teton Dakotów.], który tak bardzo kochał swoją żonę, że...

- Że wziął sobie drugą młodszą, aby pomagała starszej - wtrąciła Poranna Rosa i roześmiała się wesoło.

- Poranna Rosa myli się - zaprzeczył Czarny Wilk. - On dobrowolnie poszedł za nią do Krainy Wiecznych Łowów, gdy zachorowała i umarła.

- Czy Czarny Wilk przypadkiem nie zmyśla? - zawołała Poranna Rosa.

- Nie, to prawdziwa historia.

- Niech Czarny Wilk opowie ją nam - odezwała się Mem'en gwa.

- Ja również chętnie posłucham tej niezwykłej historii - dodała Poranna Rosa.

- Pokpiwasz z zakochanych mężczyzn, ale chętnie słuchasz opowiadań o nich - zauważył

Czarny Wilk.

- Może żartowałam tylko, żeby kogoś trochę ośmielić - szepnęła Poranna Rosa i zerknęła na brata.

- Niech Czarny Wilk opowie o tym Miniconjou, bo dziewczęta pochorują się z ciekawości - powiedział Tehawanka.

- Był to Hai wah ze chah, wódz Miniconjou - zaczął Czarny Wilk. - Słynął on jako doskonały biegacz. Mógł nawet dogonić uciekającego bizona. Hai wah ze chah bardzo kochał swoją żonę.

Gdy zachorowała i umarła nie mógł ukoić swojego żalu po niej. Pewnego dnia oświadczył publicznie, że dobrowolnie pójdzie za swoją żoną do Krainy Wiecznych Łowów. Miniconjou zaczęli go pilnować, ale udało mu się zmylić ich czujność i umknął. Znaleźli go potem martwego na prerii. Okazało się, że tylko z nożem w dłoni zaatakował bizona i został przebity rogami przez niego i stratowany* [przyp.: Wydarzenie to miało miejsce około 1834 r. w okolicach nad Little Missouri.]. Dokonał tego, co wszystkim zapowiedział. Teraz zapewne towarzyszy swej żonie w Krainie Wiecznych Łowów.

- Musiał naprawdę bardzo ją kochać... - cicho powiedziała Mem'en gwa.

- Na pewno tak było, skoro zginął dla niej - dodała Poranna Rosa.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Czarny Wilk uśmiechnął się i rzekł:

- Teraz powinniśmy odpocząć. Jutro czeka nas wiele pracy w obozie. Niech mój młodszy brat czuwa pierwszy i zbudzi mnie w połowie nocy. Wy, dziewczęta, też kładźcie się spać. Jesteście zmęczone.

Czarny Wilk legł na posłaniu odwrócony plecami do ogniska. Poranna Rosa również skuliła się pod wilczą skórą, Mem'en gwa natomiast przysiadła przy Tehawance. W milczeniu spoglądała w niebo iskrzące się gwiazdami.

- O czym tak Mem'en gwa rozmyśla? - zagadnął Tehawanka po chwili.

- Spójrz, jak teraz nisko jest księżyc nad ziemią! - szepnęła dziewczyna. - Gwiazd również tu więcej niż nad obozami Czipewejów. A może są to ogniska palone przez duchy zmarłych Indian w Krainie Wiecznych Łowów? Może przy jednym z nich siedzi szlachetny wódz Miniconjou ze swoją ukochaną żoną?

- Któż to wie? Może i tak jest, jak mówi Mem'en gwa - odparł Tehawanka również patrząc w niebo. - Ja także lubię spoglądać ku gwiazdom. Więcej ich tutaj widać niż w puszczy, gdzie zasłaniają je korony drzew.

Naraz w pobliżu rozbrzmiało przeciągłe, ponure wycie.

- Wilki zwietrzyły naszego bizona - szepnął Tehawanka. Ponure głosy odezwały się teraz z kilku miejsc naraz. Mem'en gwa przysunęła się bliżej do Tehawanki.

- Nie lękaj się, są zbyt tchórzliwe, aby napadać na ludzi - uspokoił ją młodzieniec. - Będziemy palili ognisko aż do świtu. Prześpij się teraz, już późno.

Mem'en gwa uściśnęła mu dłoń i położyła się na legowisku obok Porannej Rosy. Tehawanka co pewien czas dorzucał opału do ogniska. U jego boku leżał łuk gotowy do strzału. Ciemne sylwetki wilków przemykały tu i tam, czasem drapieznik przystawał blisko i wyciągał swój wydłużony pysk w kierunku ludzi. Wilki wciąż nawoływały się przeciągłym, ponurym skowytom.

Tehawanka uważnie wsłuchiwał się w odgłosy płynące z prerii. Naraz odczuł niepokój. Ktoś skradał się za jego plecami. Odwrócił się i ujrzał przyczajonego białego wilka. Białe wilki stale włóczyły się za stadami bizonów, stąd też nawet zwano je często bizonimi wilkami. Zwierzę przywarowało tak blisko, że dokładnie było widać jego spiczaste, nastawione uszy i lekko rozwartą pysk.

„Podszedł mnie pod wiatr” - pomyślał Tehawanka, wyciągnął rękę po łuk.

Wilk natychmiast zniknął w trawie. Po chwili rozbrzmiało przeciągłe wycie.

Tehawanka powstał z bronią w ręku. Szerokim kołem obszedł śpiących towarzyszy, a potem znów usiadł przy ognisku i czuwał. Drapiezniki wciąż snuły się w pobliżu.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Tehawanka wreszcie zbudził Czarnego Wilka i sam legł na posłaniu.

Przeraźliwe, wibrujące okrzyki wojenne i głuchy tętent kopyt wyrwały Tehawanke ze snu.

Zerwał, się na równe nogi, chwytając jednocześnie łuk i strzały.

Już świtało. Z porannej mgły wyłoniło się kilku jeźdźców. Nisko pochyleni na końskie karki gnali wprost na ledwo tłące się ognisko. Ich przeraźliwe okrzyki wojenne nie milkły ani na chwilę. Zanim Tehawanka zdążył nałożyć strzałę na cięciwę łuku, Czarny Wilk już ugodził

włócznią jednego z napastników i zwałił go z wierzchowca.

- Hokka - hey! Na nich, na śmierć! - krzyknął i pobiegł ku drugiemu jeźdźcowi.

Ten również natarł na niego zamierzając się maczugą, ale Czarny Wilk uskoczył na bok i wbił

głęboko swą włócznię w pierś konia, który rżąc i kwicząc najpierw stanął dęba, a potem runął na ziemię. Włócznia wyszarpięta z rąk Czarnego Wilka złamała się pod ciężarem padającego wierzchowca. Jeździec zręcznie zsunął się z konia. Czarny Wilk wyszarpiął zza pasa maczugę i rzucił się na niego.

Tehawanka tymczasem z łukiem zwrócił się ku innemu napastnikowi, który także z łukiem gotowym do strzału i osłaniając się tarczą, w galopie zataczał coraz mniejsze koła wokół niego.

Twarz i piersi jeźdźca pokrywały jaskrawe czerwone i żółte pasy. Jeździec nagle pochylił się na kark

konia i strzelił - z łuku. Strzała niemal otarła się o lewe ramię Tehawanki, który teraz również szybko napiął cięciwę i wypuścił strzałę. Trafił! Wprawdzie w pośpiechu wypuszczona strzała tylko rozorała policzek napastnikowi, ale to ostudziło jego bitewny zapał. Prawie w miejscu zawrócił konia i zaczął ścigać Poranną Rosę. W chwili nieoczekiwanego napadu dziewczęta wyrwane ze snu rozbiegły się w przeciwne strony, aby utrudnić wrogom ewentualne porwanie. Teraz, gdy zraniony napastnik zaczął ścigać jego siostrę, Tehawanka natychmiast pospieszył dziewczętom z pomocą.

- Hokka - hey! Śmierć Paunisom* [przyp.: Paunisi byli głównym plemieniem należącym do grupy Kaddo. We wczesnych czasach historycznych stanowili konfederację utworzoną przez cztery plemiona: Chaui lub Grand Pawnee, Kitkehahki lub Republican Pawnee, Pitahauerat lub Tapage Pawnee oraz Skidi lub Skiri Pawnee. Te cztery plemiona około 1600 r. zostały nazwane przez białych ogólną nazwą „Paunisi”, co mogło wywodzić się od słowa „pariki”, czyli „róg”; symbolizujący ich sposób noszenia loku skalpowego, lub też od „parisu”, co znaczyło

„myśliwy”. Paunisi należeli do tych Indian prerii, którzy nawet po przejściu koni nadal wiedli półosiadły tryb życia. Hiszpanie pod dowództwem Coronado pierwsi natknęli się na Paunisów około 1641 r., potem dopiero na początku XVIII w. usłyszeli o nich Francuzi i zaczęli wysyłać kupców do ich osiedli. Paunisi prowadzili ciągłe walki z sąsiednimi plemionami, szczególnie z Dakotami i Szejenami. Z początku napadali także na białych kupców, traperów i karawany osadników, lecz mimo to utrzymywali dość przyjazne stosunki z rządem USA i dostarczali zwiadowców armiom rządowym. Później próbowali przyswoić sobie sposób życia narzucany przez białych. Traktatami z 1833, 1848, 1867 i 1876 r. Zrzekli się swych ziem w Nebrasce i osiedli w Oklahomie. W przeciwieństwie do plemion, które stawiały zacięty opór białym, współpraca Paunisów z rządem USA nie uratowała ich od zagłady. W 1780 r. było Paunisów około 10000, w 1849 znaleli do 4600, w 1906 liczyli już tylko 649 osób, a w 1940 r. - 687.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Epidemie ospy pochłonęły u nich około 5000 osób, epidemia cholery około 3000, a trudy związane z przesiedleniem na Terytorium Indiańskie - 1500 osób.]- krzyknął Czarny Wilk.

Maczugą strzaskał ramię swemu przeciwnikowi i zwarł się z nim w uścisku.

- Hokka - hey! - powtórzył Tehawanka bojowy okrzyk.

Mem'en gwa sprytnie uciekała przed goniącym ją Paunisem. Kluczyła to w lewo, to w prawo, zawracała, a jeździec zmuszony do ciągłego manewrowania koniem nie mógł jej schwycić.

Dziewczyna widziała nadbiegającego Tehawankę i każdym zręcznym manewrem sama również zbliżała się do niego. Jednak Paunis w końcu pierwszy jej dopadł. W galopie pochylił się nisko z konia, schwycił ją w pół i rzucił przed siebie na grzbiet wierzchowca. Dzielną dziewczyną nie straciła przytomności umysłu. Widząc, że pomoc jest już tuż tuż, mocno ugryzła Paunisa w udo.

Ten syknął z bólu i bezwiednie szarpnął arkanem przywiązany do dolnej szczęki wierzchowca.

Koń na chwilę zwolnił biegu. Tehawanka przyskoczył do niego i chwycił jeźdźca za prawą stopę.

Jednym szarpnięciem ściągnął na ziemię Paunisa, który padł na brzuch. Tehawanka natychmiast znalazł się na nim. Obydwie dłonie zacisnął na gardle wroga. Paunis oszołomiony upadkiem próbował powstać, ale kleszczowy uścisk zapierał mu oddech. Żyły nabrzmiwały na rękach Tehawanki, oczy podeszły krwią. Ciało Paunisa wiotczało, aż wreszcie legło nieruchomo.

- Hokka - hey! - zdławionym głosem krzyknął Tehawanka.

Mem'en gwa jeszcze siedziała na ziemi. Wyczerpana ucieczką ciężko oddychała. Tehawanka widząc, że nic się jej nie stało, spojrzął na pole walki. Ogarnęły go przerażenie i gniew. Zraniony przez niego Paunis umykał na koniu trzymając przed sobą leżącą bezwładnie Poranną Rosę.

Drugi uprowadzał dwa wierzchowce poległych towarzyszy, a trzeci właśnie mierzył ze strzelby do atakującego Czarnego Wilka.

- Hokka - hey! - krzyknął Tehawanka. - Śmierć Paunisom!

Jak szalony pobiegł na pomoc Czarnemu Wilkowi. Paunis mierzący do Czarnego Wilka ujrzał

Tehawankę. Ręka drgnęła mu, gdy naciskał spust. Strzelił, ale chybił. Kula tylko otarła się o ucho Czarnego Wilka, zawrócił więc szybko wierzchowca i zaczął umykać za swymi dwoma towarzyszami. Indianie zwykle napadali, gdy mieli liczebną przewagę. Równowaga sił

powstrzymywała ich od walki. Z sześciu napastników pozostało już tylko trzech. Dalsza walka stawała się dla nich zbyt ryzykowna.

- Te zdradzieckie psy uprowadziły Poranną Rosę! - zawołał Tehawanka.

- Nie mogłem im przeszkodzić. Miałem pięciu Paunisów przeciwko sobie - odparł Czarny Wilk.

- Myśleli, że jeden z nich wystarczy na takiego młodzieńca, jak ty. Na szczęście dzielnie się spisałeś. Widziałem, jak ocalałeś Mem'en gwa.

- Musimy natychmiast rozpocząć pościg! - porywczo zawołał Tehawanka.

- Uciekają na sunka wakan, pieszo ich nie dogonimy - odparł Czarny Wilk, śledząc ponurym wzrokiem szybko oddalających się wrogów.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html>

- Musimy odbić Poranną Rosę. Paunisi na pewno dopiero co ukończyli wiosenne siewy kukurydzy... - powiedział Tehawanka drżącym ze wzruszenia głosem.

Czarny Wilk nachmurzony milczał przez chwilę, a potem powiedział:

- Było ich sześciu, gdyby razem rzucili się na nas dwóch, wygraliby walkę. Oni jednak przede wszystkim mieli na oku dziewczęta.

- Oznacza to, że przybyli tutaj po młodą dziewczynę z obcego plemienia, aby złożyć ją w ofierze Gwieździe Porannej. Ofiarę tę składają zawsze po wiosennych siewach, aby zapewnić sobie obfite plony* [przyp.: Obrzędy religijne Paunisów wiązały się z kultem ciał niebieskich i wykazywały wpływ kultur budowniczych świątyn - kopców z południowego wschodu oraz z Ameryki Środkowej (Azteków). Najwyższym bóstwem był Tirawa ze swą małżonką Atirą. On wydawał polecenia innym bogom za pośrednictwem Gwiazdy Wieczornej, matki wszechrzeczy.

Gwiazda Wieczorna tworzyła parę z Gwiazdą Poranną, Słońce z Księżycem itd. Gwiazda Wieczorna ustaliła obrzędy związane z ceremonialnymi zawiniątkami ze świętymi przedmiotami, które zostały podarowane Paunisom przez gwiazdy. Szamani Paunisów tworzyli odrębny, wpływowy stan kapłański i byli na Ziemi pośrednikami Tirawy. Organizowali ważne ceremonie oraz strzegli zawiniątek ze świętymi przedmiotami niezemskiego pochodzenia. Raz do roku, podczas obrzędów na cześć Gwiazdy Porannej, Paunisi składali ludzką, krwawą ofiarę, którą zazwyczaj była branka z obcego plemienia. Dziewczynę zabijano w ustalony przez kapłanów sposób, wyjmowano jej serce z piersi, a ciało pokrajane na kawałki zanoszono w koszykach na świeżo zasiane pola kukurydzy, co miało zapewniać obfite plony. Skidi Paunisi po raz ostatni dopełnili tego obrzędu 22 kwietnia 1838 r. Obrzęd ten jest najlepiej znanym indiańskim ceremoniałem.] - dodał Tehawanka.

- Na pewno o to im chodziło - przywodził Czarny Wilk. - Nawet nie próbowali zabrać swoich poległych z pola walki, co przecież oni i my zawsze czynimy. Patrz, ten Paunis jeszcze ma na swoim ciele ślady białej gliny! Oni malują się na biało, aby lepiej udawać wilka. No tak, biały ogon wilczej skóry wystaje spod jego sunka wakan.

- Biały wilk podkradał się tutaj w nocy - powiedział Tehawanka. - Był bardzo blisko. Już nawet chciałem strzelić do niego z łuku, ale on zaraz skrył się w trawie. Wtedy obszedłem obóz, jednak nie zauważyłem nic podejrzanego. Za dnia na pewno odkryłbym ślady tego „wilka”!

Uniknęlibyśmy nieszczęścia. Cóż teraz pocniemy?

- Musicie bez zwłoki odbić Poranną Rosę! - wtrąciła się Mem'en gwa, która już ochłoneła po napadzie i przysłuchiwała się naradzie mężczyzn. - Skidi Paunisi torturują ofiarę, zanim ją zabiją w okrutny sposób. Ten, który był moim ojcem, mówił mi o tym. Musicie wykraść Poranną Rosę z osady Paunisów. Ona sama nie będzie mogła uciec z niewoli, jak to niedawno uczynił jej brat.

- Hough! Mem'en gwa dobrze mówi - cicho przywodził Tehawanka.

- Dojście pieszo do osad Skidi Paunisów zajęłoby wiele wieczorów, a my tymczasem przeprowadzamy plemienne łowy na bizona, daleko od swoich domostw - odezwał się Czarny Wilk. - Od wyniku łowów zależy los wszystkich Wahpekute. Mamy dowód, że Skidi Paunisi włóczą się w okolicy. Kto wie, czy wszystkim naszym dzieciom, kobietom i starcom również nie ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> zagraża niebezpieczeństwo? Szaman Czerwony Pies przeczuwał coś złego. Przede wszystkim musimy doprowadzić łowy do końca. Gdy nasi już znajdują się w osadzie, „Złamane Strzały” będą zwolnione z poruczonych im zadań na rzecz ogółu. Wtedy ogłoszę wyprawę wojenną przeciwko Paunisom.

- Wtedy będzie już za późno na ratunek dla Porannej Rosy - smutno rzekła Mem'en gwa.

Tehawanka milczał. Wreszcie wolno uniósł głowę i zaczął spoglądać w niebo. Jego twarz szarzała, zastygała w bezruchu. Czarny Wilk od razu to zauważył i zdumiał się niepomiernie.

Twarz Tehawanki nabierała takiego wyrazu jak twarz szamana Czerwonego Psa, gdy miał

rozmawiać z duchami. Czarny Wilk ręką dał znak, aby Mem'en gwa nie przerywała ciszy i głową wskazał młodzieńca. Ten zaś patrzył w niebo, przywołując swego Ducha Opiekuńczego. Prosił, aby wskazał mu sposób ratunku dla ukochanej siostry. Gdy żarliwie przyzywał Ducha Opiekuńczego ujrzał wysoko w górze orła majestatycznie frunącego na południe. Ptak miał

szeroko rozpostarte skrzydła, niemal nie poruszał nimi, a jednak wciąż leciał na południe... Dech zamarł w piersiach Tehawanki. To musiał być znak!

„Dzięki ci, mój Duchu Opiekuńczy - szeptał Tehawanka. - Jeśli ocaleę Poranną Rosę i szczęśliwie powrócę z wyprawy przeciwko Paunisom, to podczas uroczystości „Tańca Słońca” złożę ci w ofierze skórę bizona - ducha”.

Orzeł w powietrzu poruszył ogromnymi skrzydłami i śmiało poszybował dalej na południe.

Tehawanka odetchnął głęboko jak pływak wynurzający się z głębiny. Po chwili już przytomnym wzrokiem spojrzał na przywódcę „Złamanych Strzał”.

Powziął decyzję.

- Sprawy i bezpieczeństwo ogółu są ważniejsze od losu jednej, młodej dziewczyny - odezwał

się. - Czarny Wilk i inni muszą przede wszystkim pomyślnie zakończyć łowy. Na zemstę będziemy mieli czas później. Teraz natomiast chodzi o uratowanie życia Porannej Rosy. Jeden Wahpekute mógłby zapewne wkraść się do osady Skidi Paunisów i uwolnić brankę. Proszę cię, dowódco „Złamanych Strzał”, pozwól mi pójść zaraz na tę wyprawę.

Czarny Wilk milczał zaskoczony prośbą młodzieńca. Nieobecność jednego młodego mężczyzny na łowach nie miała jakiegokolwiek znaczenia. Tehawanka okazał już wiele śmiałości i roztropności uciekając z niewoli u Czipewejów. Przyproceedził nawet brankę. Odzyskał świętości swojego ojca, a teraz bizon - duch pozwolił mu się zabić. Również pokonał Paunisa, a potem zupełnie jawnie rozmawiał z duchami, które musiały mu doradzić wyruszenie na niebezpieczną wyprawę. Czy mógł sprzeciwić się woli sił nadnaturalnych? Cóż jednak powie na to Czerwony Pies?

- Zgódź się, Czarny Wilku! - ponaglił Tehawanka. - Czerwony Pies nigdy by nie zapomniał, że pozostawiłem siostrę własnemu, okrutnemu losowi!

„Odgaduje moje myśli jak szaman, jego dziadek! - pomyślał zalękniony przywódca „Złamanych Strzał”. - On na pewno kiedyś zostanie wielkim szamanem! Nie mogę opierać się woli duchów!”

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter

<http://www.processtext.com/abclit.html>

- Naprawdę odważysz się na tę wyprawę? - jeszcze zapytał niepewnie. - A jeśli i ty zginiesz?

- Będę rozważny, nie zginę, Czarny Wilku! - zapewnił Tehawanka.

- Dobrze, idź więc i wykonaj swój obowiązek - zdecydował Czarny Wilk. - Usprawiedliwię cię przed radą starszych.

Na pobliskim pagórku rozległo się szczekanie psów. To Sha'pa i dwie żony szamana wraz z psami ciągnącymi włóki przybywali po niezwykle trofeum myśliwskie. Na widok pobojuwiska i usłyszawszy o porwaniu Porannej Rosy, żony szamana zaczęły lamentować i rwać włosy z głów.

Starsza z nich podbiegła do Paunisa pokonanego przez Tehawanke i dobywszy noża, zdarła skalp z jego ciemienia.

- Włosami tego zdradzieckiego Paunisa ozdobię szwy twoich nogawic, aby jego duch służył ci jak pies i sławił twoje zwycięstwo! - rozsierdzona wołała do Tehawanki. - Idź do ich osad, synu!

Idź i przynieś więcej skalpów, niech ich widok ukoi nasz ból!

Pomścij siostrę! Zdobyłeś skórę świętego bizona - ducha, wkrótce staniesz się sławnym wojownikiem, wrogowie będą drżeli słysząc twoje imię!

Potem obydwie żony szamana razem z Mem'en gwa obrzucały zabitych wrogów wyzwiskami, na przemian głośno lamentowały i opłakiwały porwanie Porannej Rosy.

Czarny Wilk i Tehawanka tymczasem opowiedzieli Sha'pa o przebiegu napadu. Ten zaś, gdy usłyszał o zamierzonej samotnej wojennej wyprawie przyjaciela, począł zaraz prosić Czarnego Wilka, aby pozwolił mu pójść z Tehawanką.

- Dwóm łatwiej szukać porwanej niż jednemu - mówił. - Na pewno trzeba będzie wkradać się do wielu wrogich osiedli. Paunisami przecież zwiemy Skidi, Chaui, Kitkehahki jak i Pitahauerat, skąd więc pewność, że to właśnie Skidi dokonali napadu?

- Gdybym nie miał pewności, że to byli oni, nie zezwoliłbym na pościg. Rozpoznałem tych Skidi, ponieważ już stykałem się z nimi i kilkakrotnie urządzałem wyprawy przeciwko nim.

Byłem nawet w ich osadzie - odparł Czarny Wilk. - Przeszukanie kraju zajmowanego przez wszystkich Paunisów* [przyp.: W czasie pierwszego zetknięcia się z białymi Paunisi zamieszkiwali obecne stany: Kansas, Nebraska i Oklahoma. Paunisi wędrując z południa w górę rzeki Kansas rozdzielili się na dwie grupy. Jedna z nich osiadła na równinach południowo -

zachodniej Nebraski i później stała się znana jako Paunisi Chaui, Pitahauerat i Kitkehahki, druga zaś grupa, Skidi Paunisi, osiedliła się we wschodniej Nebrasce wzdłuż rzeki Niobara oraz na wspomnianym przez Czarnego Wilka odcinku wschodniego brzegu Missouri w zachodniej części stanu Iowa. Tak wschodnia grupa, jak i zachodnia mieszkały w stałych osiedlach, hodowały rośliny domowe i polowały, z tym że Paunisi zachodni w dużej mierze opierali swą egzystencję na polowaniu na bizona, a Paunisi wschodni uprawiali na większą skalę rybołówstwo. Autorzy podają

w niniejszej powieści nazwy rzek i miejscowości w obecnym brzmieniu, a nie w indiańskim, w celu umożliwienia Czytelnikom odszukania ich na współczesnych mapach.]

byłoby może zbyt trudnym zadaniem nawet dla całego plemienia Santee Dakotów.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter
<http://www.processtext.com/abclit.html>

- Więc Czarny Wilk wie, gdzie zamieszkuje każde z czterech plemion Paunisów? - zapytał

Tehawanka.

Wojownik skinął głową i wyjaśnił:

- Daleko na południu mieszkają Pitahauerat. Ich osiedla znajdują się nad rzeką Kansas i w okolicach rzeki Smoky Hill. Kitkehahki przebywają na brzegach rzeki Republican, a Chaui wdarli się z południa do kraju Skidi i budują swe osiedla w widłach utworzonych przez Południową i Północną Platte. Najbliżej nas mieszkają Skidi. Ich osiedla leżą wzdłuż wschodnich brzegów Missouri, to jest od miejsca, gdzie łączy z nią swe wody rzeka Big Sioux aż do ujścia rzeki Platte. Skidi również przebywają na zachodzie nad rzeką Niobara, ale to już znacznie dalej od nas.

- Którzy Skidi porwali moją siostrę? Ci znad Niobary, czy też ci znad Missouri? - znów zapytał

Tehawanka.

- To byli Skidi znad wschodniego brzegu Missouri - odpowiedział Czarny Wilk. - Ich osada znajduje się o jeden wieczór drogi od miejsca, w którym rzeka Big Sioux łączy swe wody z Missouri.

- Czarny Wilku, w jaki sposób tak dokładnie rozpoznałeś napastników? - niedowierzająco zapytał Sha'pa.

- Zabity przeze mnie Paunis ma na szyi grzechotkę w kształcie pierścienia - wyjaśnił Czarny Wilk. - Takie odznaki noszą jedynie członkowie wojennego stowarzyszenia Szalonych Psów, a to stowarzyszenie istnieje tylko u Skidi Paunisów, których osada posiada zawiniątko ze świętymi przedmiotami, oznaczone symbolem słońca i trzema gwiazdami. Każda osada Paunisów ma własne zawiniątko ze świętymi przedmiotami, a znak na tym zawiniątku jest znakiem osady.

- A więc grzechotka umożliwiła Czarnemu Wilkowi rozpoznanie tych Paunisów?! - zdumiał się Sha'pa.

- Tak się właśnie stało. Gdybyście uważnie przyjrzelili się zabitym wrogom, sami odgadlibyście, kim oni są. Przecież Skidi byli już w naszej osadzie, gdy prosili o pomoc przeciwko Chaui. Czy zapomnieliście o nich?

- Hough! - zawołał Tehawanka.

- Hough! - zawtórował zawstydzony Sha'pa.

- Teraz przypominam sobie posłów Skidi, którzy próbowali namówić nas do wojny z Chaui*

[przyp.: Chociaż cztery grupy Paunisów stanowiły jedno plemię rzadko występowały razem jako plemienna jednostka. Chaui, Kitkehahki i Pitahauerat mówili tym samym narzeczem i byli bardziej powiązani ze sobą niż ze Skidi, którzy w myśl legend mieli być niegdyś odrębnym ludem podbitym później przez Paunisów. Na wojennych ścieżkach cztery grupy Paunisów również nie wykazywały plemiennego jedności. Na przykład Chaui nie pomogli Skidi napadniętym ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> przez Ponca i również nie poparli Kitkehahki, gdy Blackbird, wódz Omaha, mszcząc się za znieważenie jego wojowników, zniszczył większość ich domów i zabił około stu osób. Skidi czuli się bliżsi Indianom Arikara niż innym Paunisom i nieraz jawnie współdziałali z Dakotami na drodze pokojowej bądź w najazdach.] - rzekł Tehawanka. - Jeden z nich miał taką grzechotkę!

- Gniew przyćmił jasność umysłu moim młodszym braciom - powiedział Czarny Wilk. - To źle!

Wojownik zawsze powinien być spokojny i rozważny. Ten Skidi nie został tutaj przysłany przez Szalone Psy, dlatego też nie przybrał wojennego stroju ani nie miał lancy, którą oni zawsze noszą na wojennych wyprawach.

- Hough! Hough! - zawołali obydwaj młodzieńcy.

Czarny Wilk uśmiechnął się wyrozumiale i rzekł:

- Tehawanko, porywacz Porannej Rosy strzelił do ciebie z łuku i chybił. Odszukaj jego strzałę, a dowiemy się, jakiego używa znaku!

Tehawanka wykonał polecenie. Na drzewcu strzały wryta była złamana lanca.

- Wiesz już także, który Skidi uprowadził Poranną Rosę - odezwał się Czarny Wilk. - Szukaj w osadzie Skidi znaku złamanej lancy, on doprowadzi cię do siostry. Teraz udzielę wam kilku dalszych wskazówek, a wy tymczasem szykujcie się do drogi.

- Dziękuję, Czarny Wilku! - zawołał Sha'pa.

Wyprawa przeciwko Paunisom

Rzeka Big Sioux brała początek na wyżynie Coteau des Prairies w północno - wschodniej Dakocie Południowej. Stamtąd, poprzez liczne progi, płynęła pomiędzy pasmami wzgórz na południowy wschód ku falistej, bezkresnej prerii, zbliżając się stopniowo do granic obecnego stanu Minnesota. Dalej, w dolnym biegu, rozgraniczała stany - Dakotę Południową i Iowa, łącząc potem swe wody z potężną rzeką Missouri, zwaną przez Indian „Mini - Sose”. Rzeka Big Sioux w tej właśnie okolicy przecinała falistą prerię. Nurt jej był porywisty, bowiem niedaleko stąd już wpadała do Missouri.

Środkiem rzeki płynęła duża, stara wierzba wyrwana z ziemi razem z korzeniami. Nie był to widok niezwykły. Na wiosnę woda zawsze wzbierała, toteż rzeka często samorzutnie spławiała pnie drzew, które rosły na nadbrzeżnych skarpach podmywanych przez porywisty prąd, waliły ABC Amber LIT

<http://www.processtext.com/abclit.html> się do wody. Jednak stara wierzba mogłaby wzbudzić podejrzenia bacznego zwiadowcy. Płynęła niezmiennie środkiem rzeki zwrócona korzeniami do przodu, szczęśliwie omijała zdradliwe wiry i skały, jak gdyby kierowała nią wprawna dłoń sternika.

Tak też było w rzeczywistości. Wśród zielonych gałęzi drzewa wystających z wody kryło się dwóch młodych Dakotów. Twarze ich pomalowane na czerwone pasy wskazywały, że znajdowali się na wojennej wyprawie. Byli to Tehawanka i Sha'pa, którzy już od dziesięciu dni niezmordowanie podążali ku osadzie Skidi Paunisów.

Obydwaj młodzieńcy wyruszyli w pościg wkrótce po uprowadzeniu Porannej Rosy. Czekala ich niebezpieczna, daleka droga do osady Skidi, ponieważ idąc pieszo nie mogli doścignąć porywaczy umykających na koniach. Żony Czerwonego Psa zaopatrzyły ich na drogę w skromny zapas gotowanej, tartej kukurydzy i pemmikanu, które przyniosły z głównego obozu w wąwozie, a Czarny Wilk dał dwie pary nowych mokasynów oraz ścięga zwierzęce i kościane szydło do reperowania obuwia.

Młodzieńcy za radą Czarnego Wilka zabrali dwa ubrania zabitych Skidi Paunisów, a więc: przepaski biodrowe ze skóry zwierzęcej pozbawionej włosia, obcisłe nogawice z jeleniej skóry zdobione na szwach frędzlami z ludzkich włosów, wilczą i bizonią skórę do nakrywania ramion i pleców, mokasyny oraz naszyjnik z kawałków kości, pazurów niedźwiedzich i suszonych nasion roślin, które grzechotały przy potrząsaniu. Wzięli także woreczek z farbami oraz łuki i kołczany ze strzałami. Przebranie się w odpowiednim czasie w strój Skidi mogło ułatwić poszukiwania we wrogiej osadzie, a dźwięki wydawane przez potrząsany naszyjnik uspokajały psy, których zazwyczaj było mnóstwo w obozie Indian. Ponadto zabrali również skórę białego wilka wyprawioną w całości, w której Tehawanka niedawno podkładał się do stada bizonów podczas polowania.

Tehawanka i Sha'pa przez pewien czas podążali za porywaczami po śladach kopyt, pozostawianych przez konie na rozmięklej o tej porze roku prerii. Często także odnajdywali miejsca nocnych biwaków uciekinierów. Widać było, że Skidi nie obawiali się ani bezpośredniego pościgu, ani jakiegoś przypadkowego spotkania z Santee Dakotami. Wiedzieli, że ci nie posiadając koni nie byli dla nich groźni na otwartej prerii.

Wkrótce też Tehawanka i Sha'pa nabrali pewności, że Czarny Wilk trafnie rozpoznał

porywaczy, którzy obecnie uciekali wprost na południe ku rzece Missouri. Toteż nie przejęli się zbyt, gdy po kilku dniach Skidi zaczęli zbaczać na bardziej kamieniste szlaki, gdzie kopyta końskie nie pozostawiały śladów. Niebawem też całkowicie zgubili trop uciekających. Teraz Tehawanka i Sha'pa również zaczęli zachowywać większą ostrożność. Szli nocami orientując się w kierunku według gwiazd, natomiast część dnia poświęcali na krótkie wypoczynki, zaszywając się w rozpadlinach falistej prerii. Ostrożność umykających Skidi oraz ścigających ich Wahpekute była uzasadniona. Obecnie znajdowali się już w kraju zamieszkiwanym przez plemiona Ponca i Omaha* [przyp.: Ponca i Omaha mówili tym samym narzeczem i razem z Osagami, Kansa i Quapaw tworzyli grupę językową Dhegiha, należącą do rodziny języków Sju. Plemiona te mieszkały niegdyś nad rzekami Ohio i Wabash, potem jednak Quapaw poszli w dół Missisipi, Osagowie pozostali nad Osage River (Rzeka Osagów), Kansa ruszyli w górę Missouri, a Omaha i Ponca powędrowali w

okolice kamieniołomu Pipestone w Minnesocie, skąd z kolei wypierani przez Dakotów wywędrowali do Dakoty Południowej. Tutaj rozdzielili się: Omaha osiedli na ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> zachód od Missouri pomiędzy rzekami Platte i Niobara, natomiast Ponca udali się w Góry Czarne. W późniejszych latach Ponca znów połączyli się z Omaha oraz z Iowa i razem ruszyli w dół Missouri. Ponca zatrzymali się u ujścia Niobary, a Omaha osiedli nad Bow Creek. W 1854 r.

Omaha sprzedali białym wszystkie swe ziemie z wyjątkiem części przeznaczonej na rezerwat dla nich. W 1882 r. dzięki usilnym staraniom i poparciu filantropki Alice C. Fletcher, prowadzącej badania antropologiczne w dolinie środkowej Missouri, plemię Omaha otrzymało tytuł własności do swego rezerwatu, a później prawo do obywatelstwa USA.], z którymi tak Paunisi, jak i Santee Dakotowie nie żyli w przyjaźni.

Pod koniec dziewiątego dnia pościgu Wahpekute dotarli wreszcie do rzeki Big Sioux. Już niedaleko stąd wpływała ona do Missouri. Nieco powyżej koryto rzeki przegradzał zdradliwy skalny próg najezony ostrymi głazami. Spieniona woda z hukiem przewalała się przez naturalną zapórę.

Młodzieńcy przystanęli na brzegu rzeki w pobliżu dużej, starej wierzby, która razem z podmytą przez nurt skarpą runęła do wody. Jeszcze tylko jeden gruby korzeń wrośnięty głębiej w ziemię przytrzymał ją przy brzegu. Pień drzewa był do połowy zanurzony w wodzie.

Tehawanka i Sha'pa jednocześnie ogarnięci tą samą myślą uśmiechnęli się do siebie. Santee Dakotowie dotąd jeszcze mieszkali na pograniczu krainy pierwotnych puszczy i prerii, gdzie znajdowało się wiele strumieni, rzek i jezior. Byli więc dobrymi pływakami i wiosłarzami.

Posługiwali się lekkimi, brzołowymi kanu oraz dłubankami tak do podróżowania, jak do łowienia ryb i zbierania dzikiego wodnego ryżu. Stara, zwalona do wody wierzba mogła obecnie zastąpić im łódź. Ukryci w jej gałęziach mogliby szybciej przybliżyć się do osady Skidi Paunisów, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Wahpekute natychmiast przygotowali dwa długie kije mające zastąpić im wiosła, umocowali wśród gałęzi wierzby tobołek z ubraniami i resztką żywności, po czym nożami przecięli korzeń jeszcze wrośnięty w ziemię. Pospiesznie wskoczyli na chybotliwy pień. Stara wierzba, jak łódź zwolniona z uwięzi, drgnęła i zaczęła wolno odpływać od brzegu. Porywisty prąd wody zakołował pniem, ale młodzi wiosłarze wkrótce opanowali sytuację. Wierzba odwrócona korzeniami do przodu popłynęła w dół rzeki.

Słońce na bezchmurnym niebie chyliło się ku zachodowi. Cienie nadbrzeżnych drzew coraz bardziej się wydłużały. Ptaki powracały do gniazd na nocny wypoczynek. Naraz wzmógł się ptasi krzyk, trzepocząc gwałtownie skrzydłami rozlatywały się w panice na wszystkie strony. W górze nad nimi szybował duży sęp. Gdy przelatywał nad wierzbą płynącą środkiem rzeki, jego szeroko rozpostarte, czarne skrzydła przysłoniły na chwilę ciemny błękit nieba.

Tehawanka odchylił do tyłu głowę obserwując polowanie sępa. Sha'pa tymczasem za pomocą grubej gałęzi nadawał płynącemu drzewu właściwy kierunek. Obydwaj młodzieńcy sterowali na zmianę. Po wielodniowej, uciążliwej pieszej wędrówce płynięcie rzeką na pniu drzewa stanowiło dla nich odpoczynek. Ukryci wśród gałęzi nie musieli się obawiać, że zostaną zauważeni przez kogoś z

brzegu.

- Zapowiada się widna noc - odezwał się Tehawanka. - Jeżeli nie zatrzymamy się na nocleg, to o świcie już powinniśmy ujrzeć Missouri. Prąd stale przybiera na sile, to niezawodny znak, że już niedaleko.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter
<http://www.processtext.com/abclit.html>

- Hough! Płynmy, ale musimy przybliżyć się do brzegu - odparł Sha'pa. - Jeśli w nocy na środku rzeki natrafimy na skalne drogi, potoniemy!

- Również myślałem o tym - przywtórzył Tehawanka. - Przybliżmy się do wschodniego brzegu, zanim noc zapadnie. Widziałem zwierzęta u wieczornych wodopojów, a więc w najbliższej okolicy nie ma ludzi.

Purpurowe odbłaski zachodzącego słońca z wolna rozpląwały się w przedwieczornym zmroku.

Krzyk ptaków zamierał i już słyhać było tylko groźny szum rzeki. Drzewa na stromych, wysokich brzegach ztracały kształty i tworzyły ciemne pasma, rysujące się poszarpaną linią na tle jaśniejszego horyzontu.

Tehawanka i Sha'pa płynęli nieopodal wschodniego brzegu rzeki. Nurt tutaj był nieco słabszy, ale sterowanie pniem wierzby wymagało większej uwagi i ostrożności. Toteż młodzieńcy pilnie nasłuchiwali wszelkich odgłosów i wzrokiem usiłovali przenikać otaczające ich ciemności. Co chwila wyczekująco spoglądali w niebo. Wreszcie gwiazdy poczęły migotać, a w końcu srebrzysta, zimna poświata księżycowa wpełzła w mrok nocy. Na brzegu rozbrzmiały posępne głosy wilków i kojotów.

Tehawanka i Sha'pa drżeli zziębnięci. Noce na preriach były chłodne nawet w pełni lata, a na domiar złego, żeglarze chcąc utrzymać równowagę, musieli siedzieć okrakiem na pniu, z nogami zanurzonymi do kolan w lodowatej wodzie. Nie mogli nawet okryć się ciepłymi skórami, które mieli schowane w tobole umocowanym na rozwidlonej gałęzi, sterczącej ponad wodą. W

przypadku konieczności nagłego opuszczenia chybotliwego pnia wierzby i płynięcia wplaw do brzegu, musieliby porzucić opończe, by unieść ze sobą zawiniątko z ubraniami Paunisów.

Utracenie czegokolwiek z niezbędnych rzeczy zabranych na daleką, wojenną wyprawę mogło spowodować nieobliczalne następstwa. Z tego też względu kołczany z łukami oraz strzałami starannie przytroczyli do pleców, a noże mocno zatknęli za rzemieniami opasującymi biodra. W

myśl zwyczaju Indian na wyprawę przywdziali jedynie przepaski biodrowe, nogawice i mokasyny. Tak więc przygotowani na najgorsze, dalej płynęli w dół rzeki zziębnięci i głodni.

Obawiali się nawet rozmawiać, bowiem głos niósł się po wodzie daleko. Noc zdawała się dłużyć w nieskończoność.

Tehawanka skulony siedział właśnie tuż przy korzeniach wierzby, w których umocował grubą gałąź, pomagając Sha'pa w utrzymaniu pnia drzewa we właściwym kierunku. Obawa o siostrę nie dawała mu spokoju. Gubił się w domysłach, czy ją odnajdą, czy zdołają pomóc?

Zamyślenie Tehawanki przerwał ostrzegawczy okrzyk Sha'pa. Zanim jednak zdołał cokolwiek uczynić, nagłe szarpnięcie potężnie wstrząsnęło pniem wierzby. Jakaś nieznana moc wyrwała z dłoni Tehawanki gałąź, którą sterował, po czym razem z przodem pnia gwałtownie pograżył się w głębinie. Podczas gdy ukorzeniony dół wierzby zniknął pod wodą, korona jej wzniosła się do góry, a potem runęła w bok ku środkowi rzeki.

Tehawanka zaledwie znalazł się pod wodą, natychmiast podkurczył nogi i odepchnął się od drzewa. Porwał go ostry nurt, rzucił plecami na oślizły głaz, przetoczył po nim. Dotkliwy ból przeszył pierś Tehawanki; na pół zamoczony został wyniesiony na powierzchnię. Zachłysnął się wodą i nurt pociągnął go do dna. Gdy znów wypłynął, ręce jego natrafiły na gałęzie, chwycił się ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ich kurczowo. Dopiero po długiej chwili zdał sobie sprawę, że była to stara wierzba. Teraz leżała na wodzie zwrócona wierchołkiem do przodu, podczas gdy jej korzenie nieruchomo spoczywały wśród wielkich głazów. Tehawanka z trudem wspiął się na pień drzewa.

- Sha'pa! Sha'pa! - zawołał w mrok nocy.

Nie było odpowiedzi.

Przerażenie ogarnęło Tehawanke.

- Sha'pa, Sha'pa! - znów zawołał.

Począł pełzać po pniu wierzby, przeszukiwał konary, ale nigdzie nie znalazł przyjaciela.

Zawiniątko umieszczone w rozwidlonej gałęzi również przepadło. Zrozpaczony przykucnął na pniu drzewa. Musiał czekać do świtu. Sha'pa zapewne utonął. A może nieprzytomny leży gdzieś na skałach?

Posępne myśli ogarnęły Tehawanke.

Od wczesnego dzieciństwa wpajano w niego przekonanie, że jedynie odwaga i powodzenie otwierały mężczyźnie drogę do wyróżnień oraz zaszczytów. Mężni, sławna wojownicy cieszyli się powszechnym szacunkiem, przewodzili na wojennych wyprawach, zdobywali łupy, nadawali dzieciom imiona w zamian za cenne podarunki, stawali się zamożni... Przywódca, który nie tracił

nikogo z wojowników towarzyszących mu na wyprawach zyskiwał najwyższe uznanie. Wszyscy chcieli przyłączać się do niego.

Tehawanka tymczasem podczas swej pierwszej samodzielnej wyprawy utracił przyjaciela.

Zaprzepaścił nawet ubrania Skidi i żywność, co w dużej mierze udaremniało dalszy pościg.

Pozostała mu tylko broń, którą w chwili wypadku miał przy sobie. Jednak nie przyszła mu do głowy myśl, że wobec tak niepomysłnych, a nawet tragicznych okoliczności, mógłby teraz zawrócić z wyprawy. Zbyt kochał nieszczęsną siostrę i własną sławę wojenną, o której marzył od lat chłopięcych! Któż zechciałby później towarzyszyć mu na wojenne wyprawy, skoro podczas pierwszej okryłby się taką niesławą?! Zdesperowany pomyślał więc, że śmierć w młodym wieku na polu bitwy była wysoko cenionym, chwalebny czynem. Odszuka siostrę i zginie razem z nią.

Wolał śmierć od przegranej. Mimo woli począł szeptać modlitwę:

„Wi, potrzebuję pomocy! Pomóż mi odszukać Poranną Rosę i oswobodzić ją lub pomścić!

Obiecałem złożyć ci w ofierze skórę świętego bizona - ducha podczas uroczystości „Tańca Słońca”! Jeśli pomożesz mi teraz, również rozdám biednym wszystko, co posiadam!” Pokrzepiony modlitwą spojrzął w niebo. Już świtało. Nareszcie skończyła się koszmarna noc.

Teraz mógł lepiej rozejrzeć się w sytuacji. Stara wierzba leżała na głazach trochę wzniesiona do góry wierzchołkiem. Tuż przed wystającymi skałami porywisty prąd wody zapewne wyźłobił

głęboki dół. Wierzba płynęła zwrócona korzeniami do przodu, one to zaplątały się między głazami i spowodowały fatalny wypadek.

Tehawanka stanął na pniu drzewa. Głazy skalne znajdowały się w pobliżu brzegu, w środku ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> zakola wezbranej rzeki i silny prąd zniósł na nie wierzbę. Gdyby nie płynęli tak blisko brzegu, nie doszłoby do katastrofy. Tehawanka rozglądał się wokoło. Nigdzie nie wypatrzył przyjaciela.

Może nurt rzeki wepchnął go pod głazy? Oznaczałoby to śmierć...

Westchnął ciężko. Zaczął czołgać się ku wierzchołkowi wierzby zwisającemu już poza skalną zaporą. Zsunął się do wody. Przejmujący chłód przeniknął go na wskroś. Płynął wolno pokonując, ból i odrętwienie ciała. Wschodni brzeg był już blisko, wkrótce poczuł grunt pod stopami. Chciał stanąć, lecz ostry nurt przewrócił go i wepchnął pod wodę. Zaraz jednak wypłynął na powierzchnię. Przytrzymał się gałęzi krzewu do połowy zanurzonego w wodzie.

Powoli wydostał się na brzeg, który w tym miejscu tworzył głęboką rozpadlinę. Już nie miał siły wspiąć się dalej. Wyczerpany padł na ziemię i niemal zaraz zasnął.

Sporo czasu upłynęło zanim utrudzony Tehawanka zaczął się budzić. Zanim otworzył oczy poczuł, że błogie ciepło przenika jego ciało. Dłoń dotknęła futra, wyraźnie słyszał trzask płonącego ogniska. Cóż to miało znaczyć? Prawą dłonią nieznacznie począł szukać rękojeści czipewejskiego noża. Tkwiła za rzemiennym pasem. Nagłym skokiem porwał się z ziemi, odrzucając okrywającą go skórę. Oniemiał.

Przy ognisku siedział Sha'pa i piekł rybę zatkniętą na patyku.

- Sha'pa, żyjesz?! - zawołał Tehawanka nie dowierzając własnym oczom. - Wołałem cię, szukałem!

Myślałem, że utonąłeś!

- Hough! Mieliśmy dużo szczęścia, że nie potopiliśmy się w nocy - odparł Sha'pa. - Gdy uderzyliśmy o skały, upadłem na gałąź, na której umocowaliśmy nasze rzeczy. Chwyciłem tobół.

Wtedy właśnie drzewo wzniosło się do góry i spadłem do wody. Na szczęście rzemienie ześliznęły się z gałęzi i tobół pozostał w moich rękach. Nie wiem, w jaki sposób przepłynąłem pomiędzy skałami. Byłem oszołomiony, prąd szybko mnie znosił. Dopłynąłem do brzegu daleko stąd. O świcie natychmiast ruszyłem w górę rzeki. Odnalazłem cię tutaj. Leżałeś bezwładny, posiniaczony. Upewniłem się, że żyjesz. Okryłem skórą, które zawinięte w tobole prawie nie zamokły. Wśród naszych rzeczy natrafiłem na woreczek z krzesiwem i hubką, dzięki czemu mogłem rozpalic ogień.

- Hough! To jedynie Mem'en gwa mogła wsunąć pomiędzy nasze rzeczy swoje magiczne krzesanie iskier. Zapewne chciała ułatwić nam wyprawę wojenną! - powiedział Tehawanka.

- To naprawdę dobra dziewczyna, choć Czipewejka! - rzekł Sha'pa. - Z tej rozpadliny dym z ogniska nie będzie widoczny daleko. Na kamieniach znalazłem rybę wyrzuconą przez wodę.

Posilimy się i możemy ruszać w drogę.

- Dzielnie się spisałeś! - pochwalił Tehawanka. - Dopłynąłeś bez szwanku do brzegu i jeszcze ocaliłeś przebrania, które mogą ułatwić nam wślizgnięcie się do osady Skidi!

- Nie moja to zasługa - skromnie odpowiedział Sha'pa. - To tobie sprzyjają dobre duchy!

Tehawanka usiadł w pobliżu ogniska. Milcząc spoglądał na rzekę. Olbrzymia, stara wierzba sterczała unieruchomiona wśród skalnych głazów. W dwóch nie mogli pokusić się o zepchnięcie ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> jej z powrotem na wodę. Teraz musieli dalej iść pieszo. W porannym rozgwarze ptactwa nadpływał z południa potężny szum rzeki. To Big Sioux już łączyła swe wody z Missouri.

- Jedz! - odezwał się Sha'pa podsuwając przyjacielowi połowę pieczonej ryby. - Nie możemy zbyt długo palić ognia. Musimy być ostrożni.

- Słusznie! - przytaknął Tehawanka. - Paunisi mogą włóczyć się po okolicy. To już ich kraj.

- Nie wolno nam zapominać o przestroгах Czarnego Wilka. Czy pamiętasz, co mówił o losie jeńców branych do niewoli przez Paunisów? - ciągnął Sha'pa. - Może rada starszych Skidi zaproponowałaby nam przystąpienie do ich plemienia, ale na pewno żaden z nas nie zechciałby stać się Paunisem!

- Nigdy! Śmierć Paunisom! - zawzięcie potaknął Tehawanka.

- Gdybyśmy więc popadli w niewolę - mówił dalej Sha'pa - rada starszych Skidi oddałaby nas w ręce Stowarzyszenia Samotnych Kobiet i Wdów* [przyp.: Indianie preriowi, w przeciwieństwie do krajowców Australii czy Melanzji, nie przestrzegali tak rygorystycznie zakazu uczestniczenia kobiet

w różnych stowarzyszeniach. Kobiety czasem pełniły pomocnicze funkcje nawet w stowarzyszeniach wojskowych, a ponadto posiadały własne, kobiece stowarzyszenia. Zwłaszcza plemiona z nad górnej Missouri, prowadzące osiadły tryb życia, miały kobiece stowarzyszenia odgrywające bardzo ważną rolę. Najważniejszymi z nich były: Stowarzyszenie Gęsi, którego członkinie odprawiały ceremonie mające zapewnić urodzaj kukurydzy i dla przywabienia stad bizonów Stowarzyszenie Białej Krowy Bizona - członkinie podczas obrzędów zakładały czapy (podobne do huzarskich) ze skóry białego bizona przybrane piórami; Indianki Kłowa miały Stowarzyszenie Starych Kobiet, które modliły się o powodzenie dla wojownika na wyprawie wojennej, ten zaś po szczęśliwym powrocie wyprawiał dla nich ucztę; Oglala Dakotowie posiadali Stowarzyszenie Wytwórczyń Pokryć na Tipi; natomiast u Paunisów istniało specyficzne Stowarzyszenie Samotnych Kobiet i Wdów, którego jedynym celem było lżenie, dręczenie, torturowanie i zabijanie jeńców wojennych. Członkinie stowarzyszenia używały upokarzających dla torturowanego jeńca rekwizytów, jak pióropuszy wojennych z liści kukurydzy, łuków z kijów i lanc z trzciny. Torturowanie trwało cztery dni, po czym jeńca zabijano.]. Już widzę torturujące nas mściwe Pauniski przybrane w nędzne, wojenne pióropusze z liści kukurydzy oraz uzbrojone w trzcinowe lance i łuki zrobione z kijów!

- Przestań, Sha'pa! - przerwał mu Tehawanka. - Doskonale zapamiętałem wszystkie przestrogi Czarnego Wilka. Wiem, że musimy być rozważni. Już jesteśmy w kraju Paunisów. Roztropnie postąpimy przebierając się od razu w ich stroje. W razie przypadkowego spotkania, mogą w pierwszej chwili wziąć nas za swoich. Tutaj pod skarpą możemy ukryć nasze rzeczy. Nie traćmy czasu!

Wygasili ognisko i starannie zatarli ślady obozowania. Teraz pomagali sobie wzajemnie w malowaniu swych ciał. Ulubionymi kolorami Paunisów były czerwony, żółty i biały - czerni używali na wojennych ścieżkach. Tak więc młodzi Wahpekute natarli twarze czerwoną farbą, a piersi i ramiona pomalowali w czerwone i żółte pasy. Następnie zajęli się odpowiednim uczesaniem włosów. Wojownicy Skidi przeważnie wygalali głowy, pozostawiając jedynie na ciemieniu podłużne, usztywnione za pomocą tłuszczu pasmo z łokiem skalpowym, ale inni ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> mężczyźni rzadziej to czynili. Toteż Tehawanka i Sha'pa tylko rozpletli swe warkocze i rozczesali włosy, które teraz swobodnie opadały im na ramiona i plecy. Gdy wreszcie włożyli zdobyte na Paunisach przepaski biodrowe, nogawice zdobione na szwach frędzlami z włosów, mokasyny, i naszyjniki, a wreszcie nakryli ramiona skórą, uśmiechnęli się do siebie.

- Wyglądasz jak prawdziwy Paunis! - odezwał się Sha'pa.

- Patrząc na ciebie z trudem powstrzymuję się, by nie dobyć noża! - odparł Tehawanka.

Jeszcze raz krytycznym wzrokiem spojrzeli po sobie, po czym uzbroili się w zdobyte na Skidi kołczany z łukami oraz strzałami. Użycie tej broni mogło również ułatwić podszywanie się pod Paunisów, bowiem tylko oni na preriach wytwarzali strzały o krzemienym grocie, a ponadto wzmacniali łuki od wewnętrznej strony żyłami i używali żylastych cięciw. Tehawanka zarzucił

na plecy zwiniętą wilczą skórę, której używał do podchodów, a Sha'pa wziął zawiniątko z resztką żywności i ruszyli w drogę.

Zwyczajem indiańskim szli gęsiego jeden za drugim, aby pozostawiać jak najmniej śladów.

Przez jakiś czas wędrowali po wyżynnej prerii, stopniowo obniżającej się ku wschodowi.

Dopiero około południa monotony, równinny krajobraz począł ulegać wyraźnej zmianie. Preria stawała się bardziej falista, pagórkowata. Coraz częściej natrafiali na wyżłobione przez wodę urodzajne doliny, bujnie porośnięte krzewami i drzewami, wśród których szumiały wartko płynące, głębokie strumienie.

Młodzieńcy uważnie obserwowali zmiany w krajobrazie. Porównywali je ze wskazówkami Czarnego Wilka, który odbywał wiele wypraw w te okolice. Teraz nabrali pewności, że wrogowie mogą już znajdować się w pobliżu.

Nie mylili się, już niedaleko w tych stronach rzeka Missouri rozgraniczała obecne trzy stany: Południową Dakotę, Nebraskę i Iowa. Poszukiwane przez nich osiedle Skidi Paunisów znajdowało się na wschodnim brzegu Missouri, na pograniczu Południowej Dakoty i Iowa. Tutaj właśnie wschodnie prerie przechodziły w Wielkie Równiny Wewnętrzne. Okolice dobrze nawadniana przez Missouri i jej liczne dopływy, sprzyjała powstawaniu urodzajnych dolin z obfitym drzewostanem. Był to więc kraj odpowiedni dla Skidi Paunisów, opierających swą egzystencję w znacznej mierze na uprawie ziemi. Właśnie Paunisi należeli do tych plemion indiańskich z pogranicza prerii i Wielkich Równin Wewnętrznych, które nawet po przejściu koni, jako zwierząt domowych, nadal zajmowały się uprawą ziemi i prowadziły dawny, półosiadły tryb życia. Zdobycie koni tylko wzmogło ich ruchliwość, zwiększyło zasięg polowań i wypraw wojennych, lecz nie zmieniło dawnego sposobu bytowania* [przyp.: Paunisi szczególnie należeli do tych Indian, którym się nie powiodło w życiu. Chociaż stosunkowo dość wcześnie posiadli konie i broń palną, nie potrafili dostosować się do gwałtownych przemian socjalno -

politycznych, jakie nastąpiły w ich naturalnym otoczeniu po zetknięciu się z europejskimi przybyszami.].

Tehawanka i Sha'pa ostrożnie zbliżali się ku brzegowi Missouri. Według ich rozeznania lada chwila mogli natrafić na ślady osiedla Skidi. Podążali właśnie w kierunku nadbrzeżnego rumowiska skalnego, w którego cieniu mieli zamiar odpocząć, ponieważ słońce w zenicie mocno już przypiekało. Byli zaledwie o kilkadziesiąt kroków od głazów, gdy naraz usłyszeli monotony ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> śpiew. Natychmiast przypadli do ziemi, kryjąc się pomiędzy niskimi zaroślami szałwiowymi.

Przez dłuższą chwilę w milczeniu nasłuchiwali. Ktoś ukryty wśród głazów śpiewał. Nie mogli zrozumieć słów pieśni wyrażanych w obcym dla nich języku, lecz wydawało im się, że śpiew brzmiał jak prośba czy skarga. Tehawanka przysunął się do przyjaciela i posługując się mową znaków bezgłośnie rzekł:

- To na pewno Paunis!

- Jest sam - również mową znaków odparł Sha'pa.

- Czekaj tutaj na mnie! - polecił Tehawanka, po czym położył na ziemi wilczą skórę, opończę oraz kołczan z łukiem i strzałami. Uzbrojony tylko w czipewejski, stalowy nóż począł czołgać się ku skałom.

Tehawanka jak wąż pełzał od krzewu do krzewu, aż wreszcie wśliznął się pomiędzy głazy.

Teraz na usianej zwirem i kamieniami ziemi jeszcze ostrożniej posuwał się do przodu. Wreszcie znalazł się na krawędzi rumowiska, które niezbyt dużą stromizną opadało tutaj ku rzece.

Zaledwie wychylił głowę zza kamienia, ujrzał młodego Skidi. Dłoń Tehawanki natychmiast schwyciła za rękojeść noża i tak zamarła w bezruchu.

Skidi klęczał na podwiniętych pod siebie, skrzyżowanych nogach zwrócony twarzą ku wschodowi. Zamglonymi oczami spoglądał w niebo, kołysząc ciałem na przemian do przodu i tyłu, nucił monotonną pieśń. Był nagi, jedynie na szyi miał naszyjnik z pazurów niedźwiedzi.

W myśl zwyczaju wielu plemion indiańskich ciało jego pozbawione było wszelkiego owłosienia*

[przyp.: Usuwanie włosów z okolic podbrzusza i innych miejsc było praktykowane przez mężczyzn i kobiety, a mężczyźni ponadto wyrwali zarost na twarzy. Wyrwane owłosienie, jako

„nieczyste” wolno było jedynie zakopać w ziemi, nie mogło być spalone, ponieważ palenie czegokolwiek symbolizowało ofiarę dla sił nadnaturalnych. Pogardliwymi indiańskimi nazwami dla białych ludzi były między innymi „owłosione piersi” i „zarośnięte usta”, co wyrażało ich wstręt do zarostu na twarzy i owłosienia ciała.], tylko na głowie miał wąskie, szczeciniaste pasmo włosów z lokiem skalpowym.

Tehawanka z uwagą przyglądał się młodemu mężczyźnie. Ten wojownik musiał być kimś znaczniejszym wśród Skidi, skoro w loku skalpowym miał zatknięte orle pióro, a twarz, pokrytą czerwoną farbą, zdobił niebieskim pasem pomalowanym od ucha aż wysoko na czoło.

Wskazywało na to również jego odzienie leżące w pobliżu na głazie. Na miękko wyprawionej skórzanej opończy wymalowane były symbole gwiazd, słońca i kilka scen bitewnych, a frędzle z ludzkich skalpów i orle pióra zdobiły szwy nogawic.

Dłoń Tehawanki mocniej zacisnęła się na rękojeści noża. Skalp tak znamienitego wroga przysporzyłby mu wojennej sławy i byłby wspaniałą zemstą za uprowadzenie Porannej Rosy.

Tehawanka jednak zaraz zawstydził się swych myśli i zdjął dłoń z twardej rękojeści noża. Skidi nagi klęczał w południowym, palącym słońcu. Po jego miedzianokórym ciele spływały strugi potu zmieszane z krwią. Na ramionach i udach krwawiły świeże nacięcia, a nóż leżał obok niego na ziemi. Samotny wojownik modlił się żarliwie, w uniesieniu dokonywał samotortury. Nie słyszał, ani nie widział, co się wokół niego działo, duch jego błędził w zaświatach. Zapewne ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> przyzywał swego Ducha Opiekuńczego, a obcując z mocami nadnaturalnymi, sam stawał się w pojęciu Indian jakąś ich częścią. Był nietykalny.

Tehawanka pochylił głowę, bowiem nie wypadało podpatrywać kogoś obcującego z duchami.

Powoli zaczął się wycofywać.

Przeszpiegi w osadzie wroga

Tehawanka i Sha'pa ukryci w zaroślach obserwowali dolinę rozpościerającą się u ich stóp.

Przed nimi znajdowały się ogrodowe poletka Skidi Paunisów, obsiane kukurydzą, fasolą, słonecznikami i dyniami. Niektóre ogródki były otoczone płotkami z gałęzi, inne rozdzielone tylko ubitymi ścieżkami. Niewielka grupa kobiet i dziewczyn, zapewne ich córek, pracowała na poletkach, a wśród nich uwijała się dzieciarnia - mali, nadzy chłopcy oraz dziewczynki odziane w luźne koszulki.

Niektóre kobiety nosiły jednoczęściowe, skórzane suknie, tak jak to było w zwyczaju u Dakotów, inne natomiast ubrane były odmiennie. Miały owiniętą wokół bioder spódnicę opadającą poniżej kolan oraz skórzaną przewiązkę wokół piersi, przytrzymywaną na ramiączkach. Stroju ich dopełniały mokasyny i sztylpy okrywające nogi od kostek do kolan.

Pauniski czesały włosy tak jak Dakotyjki - przedzielały je na środku głowy i spletały w dwa warkocze, zwisające z boków za uszami.

U wylotu doliny na prerii pasł się tabun koni i mułów. Kilku wyrostków czuwało, aby pojedyncze zwierzęta nie oddalały się zbyt od stada.

- Nikt nie pilnuje kobiet, a jedynie chłopcy dozorują sunka wakan - szepnął Sha'pa.

- Widocznie są pewni bezpieczeństwa, albo też zajęci czymś innym - również szeptem odparł

Tehawanka, uważnie rozglądając się wokoło.

- Może właśnie odprawiają obrzędy? Kobiety na poletkach są bardzo ożywione, stale o czymś rozprawiają.

Tehawanka zasepił się i rzekł:

- Kukurydza już zasadzona. Nie wolno mam tracić czasu. Gdy tylko się ściemni, pójdę na zwiady.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter
<http://www.processtext.com/abclit.html>

- Sam chcesz iść?

- Tak, przebiorę się za wilka, pełno ich włóczy się w pobliżu osad i nikt nie zwraca na nie uwagi. Nawet sunka wakan nie okazują strachu na widok wilka.

- A co ja mam robić?

- Poczekasz na mnie przy skałach nad rzeką, gdzie napotkaliśmy Skidi rozmawiającego z duchami. Tam będzie nasz punkt zborny.

- Dobrze, to niedaleko stąd. Skąd oni mają tyle sunka wakan?

- Na obrzęd ku czci Gwiazdy Porannej mogłoby się tutaj zgromadzić więcej Skidi z kilku osad - szepnął Tehawanka i dodał:

- Czarny Wilk mówił, że Paunisi kradną konie Komanczom* [przyp.: Komancze (po angielsku Comanche), zwani przez Paunisów „La - ru’hta”, a przez Teton Dakotów „Cintualuha”, należeli do szoszońskiej rodziny językowej, odnogi Uto - Aztecan. Zamieszkiwali północno - zachodni Teksas, aż do Rzeki Arkansas. Prawdopodobnie byli odłamem Szoszonów, ponieważ mówili prawie identycznym językiem. Ze względu na liczebność, dużą wojowniczość i niezwykle opanowanie sztuki jeździeckiej stali się na południu Wielkich Równin jednym z najślawniejszych plemion. Komancze byli niezrównanymi jeźdźcami, to właśnie oni pierwsi potrafili w pełnym pędzie konia kryć się za jego bokiem. Aby dokonać takiej sztuki Komancz zsuwał się na bok wierzchowca, zaczepiając się tylko jedną nogą o jego grzbiet. Ukryty w ten sposób za bokiem konia i niewidoczny dla wroga, zwisał w pozycji poziomej i z łatwością strzelał z łuku, wychylając się spod szyi zwierzęcia. Powrót do normalnej pozycji jeździeckiej lub przerzucenie się na drugi bok konia dokonywane były w mgnieniu oka. Komancze odegrali także dużą rolę we wprowadzeniu i rozpowszechnieniu koni wśród Indian na północy Wielkich Równin. Walczyli zaciekle z Hiszpanami, Apaczami, a później z białymi Amerykanami w Teksasie z takim sukcesem, że przeciwko nim były organizowane osławione konne oddziały strażników teksaskich (Texas Rangers). Według luźnych danych w latach 1690 było około 7000

Komanczów, natomiast w 1937 r. liczba ich wynosiła około 2200.] na południowym zachodzie.

- Mógłbym spróbować uprowadzić kilka sunka wakan. Łatwiej moglibyśmy uciekać w przypadku odbicia Porannej Rosy.

- Nie myśl o tym teraz - zganił go Tehawanka. - Żaden z nas nie dosiadał nigdy sunka wakan i nie umiemy obchodzić się z nimi. Uprowadzenie sunka wakan mogłoby się nie udać, a alarm podniesiony przez strażników ostrzegłby Skidi, że wrogowie czają się w pobliżu osady. To udaremniłoby główny cel wyprawy.

- Tak, tak, słusznie mówisz, nie pomyślałem o tym - pospiesznie odparł Sha’pa. - Jeśli jednak uda nam się uwolnić Poranną Rosę i ująć z nią szczęśliwie, to możemy urządzić drugą wyprawę po sunka wakan. Czas już, żeby Wahpekute również mieli konie.

- Pomyślimy o tym później - zakończył rozmowę Tehawanka. Jak urzeczeni spoglądali ku tabunowi koni. Czerwony Pies i inni Wahpekute często opowiadali o pobratymcach, Teton ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Dakotach, którzy porzucili osiadły tryb życia, przenieśli się na Wielkie Równiny i posiadli konie, a teraz wędrowali za stadami bizonów, główną podstawą ich życia. Tehawanka i Sha’pa od dawna marzyli o zdobyciu koni, dzięki którym mogliby wyruszać na

dalekie łowy i wyprawy wojenne, zdobywać sławę, znaczenie.

- Spójrz! Kobiety już odchodzą do domów - przerwał milczenie Tehawanka.

Kobiety na poletkach właśnie zbierały narzędzia - kije i motyki, nawoływały dziatwę. Słońce też mocno już chyliło się ku zachodowi.

- Idź do umówionej kryjówki i tam czekaj na mnie - polecił Tehawanka. - Gdybym nie wrócił do świtu, postąpisz, jak będziesz uważał.

- Bądź rozważny - upomniał Sha'pa. - Jeżeli nie ujrzę cię o świcie, spróbuję wkraść się do osady. Możesz na mnie liczyć!

Tehawanka pozostał sam. Mrok z wolna gęstniał, szara mgła rozsnuwała się nad doliną.

Tehawanka schodził ukosem w dół zbocza ku opustoszałym poletkom. Ostrożnie wybierał

oparcie dla swych stóp na ziemi, aby przypadkowym szelestem lub trzaskiem łamanej gałęzi nie ostrzec wrogów. Przecież któraś z kobiet mogła w nocy czuwać na poletkach, aby żerujące nieopodal konie nie wchodziły w szkodę.

Tehawanka zamierzał prześliznąć się pomiędzy ogródkowymi poletkami i tabunem koni, ponieważ w tamtym kierunku oddaliły się kobiety. Zaledwie znalazł się w pobliżu poletek, zaraz przypadł do ziemi. Przez pewien czas obserwował młodych strażników tabunu. Widział ich teraz jak na dłoni. Właśnie rozpalili ognisko i spożywali wieczorny posiłek. Obok nich uwijała się gromada wiecznie zgłodniałych kundli.

Czas był sposobny do przemknięcia się pomiędzy ogródkami i tabunem. Tehawanka starannie okrył swe ciało skórą białego wilka wyprawioną w całości, po czym naśladowując jego chód, rozpoczął podchody.

Był to szeroko znany zwyczaj Paunisów na wojennych ścieżkach. Traktowali oni wojnę jako przyjemne zajęcie, które przynosiło im szacunek, sławę oraz bogactwo. Byli też doskonałymi wojownikami, zwiadowcami i rabusiami koni, które przeważnie zdobywali na Komanczach.

Paunisi sprytnie potrafili dostosowywać się do warunków naturalnych. Wilki włączyły się po preriach wokół stad bizonów, antylop i koni, a często nawet wchodziły do obozów. Toteż widok pojedynczych wilków nie płoszył innych zwierząt i nie budził podejrzeń u ludzi. Paunisi świadomi tego obrali sobie wilka za patrona wojny. Gdy grupa wojowników wyruszała na wojenną ścieżkę, zakładała czasowy Związek Wilka, a zawiniątko ze świętymi przedmiotami zabierane na wyprawę, okrywała wilczą skórą. Podczas wyprawy wojownicy stosowali także zwyczaje wilków. W ciągu dnia zapadali gdzieś wśród pagórków, a jeden z nich, pomalowany na biało i okryty skórą białego wilka, penetrował okolicę nie budząc niczyich podejrzeń bądź też pod osłoną nocy wkradał się wprost do nieprzyjacielskiego obozu. Z powodu tych zwyczajów Indianie z południa nazywali ich „Wilkami”.

<http://www.processtext.com/abclit.html> Tehawanka obecnie naśladował zwyczaje wrogów. Czołgając się na czworakach w wysokiej trawie unosił do góry głowę i spod „wilczego łba” obserwował strażników oraz zwierzęta.

Indianie zazwyczaj trzymali swoje konie na pastwiskach w pobliżu domostw. Toteż gdy Tehawanka minął stado i wzniesienie obramowujące dolinę, ujrzał osadę leżącą zaledwie na kilka strzelań z łuku.

Serce zaczęło szybciej bić w jego piersi. Spojrzał w niebo. Gwiazdy już migotały, księżyc wschodził. Podchody zajęły mu cały wieczór, teraz nadchodziła noc. Nie miał czasu do stracenia, jeżeli chciał powrócić przed świtem do Sha'pa. Powstał na nogi, wilczą skórę odwróconą futrem do wewnątrz narzucił na ramiona i odważnie podążył w kierunku wrogiej osady. Wkrótce znalazł się w pobliżu pierwszych domostw.

Tehawanka wiedział od Czarnego Wilka, że krańce osady Skidi zamieszkiwały samotne, starsze kobiety, przeważnie wdowy oraz przestępcy, którzy naruszyli zwyczaje plemienne. Z tego względu mniejszą tam zwracano uwagę, kto i kiedy do kogo przychodził. Tehawanka pamiętając o tym śmiało wszedł pomiędzy zabudowania. Gromada psów rzuciła się na niego warcząc i szczerząc kły, ale Tehawanka potrząsnął naszyjnikiem Skidi, a najbardziej napastliwego kundla odtrącił energicznym kopnięciem. Psy uspokoiły się i cicho skomlać zniknęły w ciemności.

Tehawanka ruszył dalej, skrętnie notując w pamięci rozkład osady.

Domy o tunelowych wejściach rozrzucone były w osadzie bez jakiejś przemyślanej regularności. Były to solidnie zbudowane, okrągłe ziemianki. Budowano je w ten sposób, że rusztowanie z grubych bali pokrywano trawą i grubą warstwą ziemi. We wnętrzu cztery centralne słupy podtrzymywały strop, w którego środku pozostawiano okrągły otwór dla ujścia dymu z ogniska. Ziemianki miały różne rozmiary, w zależności od tego, czy mieszkała w nich jedna bądź

kilka rodzin.

Na krańcach osady grupowała się biedota, toteż ziemianki były tu mniejsze i nie tak starannie budowane. Tu i tam z wnętrza domostw dochodziły przytłumione śmiechy mężczyzn i kobiet.

Nieliczni napotykanie przechodnie przemykali chyłkiem i prawie nie zwracali uwagi na Tehawanke. Raz tylko przed jedną z ziemianek pojawiła się kobieta i zagadnęła o coś Tehawanke, który, nie rozumiejąc języka Skidi, tylko machnął ręką i szybko poszedł dalej.

Tehawanka wciąż głowił się, dlaczego Skidi nie rozstawili straży wokół osady? Wkrótce zrozumiał powód braku przezorności. Po prostu czuli się pewni siebie i bezpieczni, ponieważ gościli wielu Paunisów z innych osad. Na wolnych przestrzeniach pomiędzy ziemiankami licznie obozowali mężczyźni, kobiety i dzieci. Większość z nich już ułożyła się do snu, tylko gdzieś tam grupki mężczyzn jeszcze siedziały przy ogniskach. Skidi w upalne lato także sypiali poza ziemiankami w przewiewnych altankach z gałęzi, ale tej nocy wszędzie było widać ludzi obozujących wprost pod gołym niebem.

Niepokój Tehawanki o los siostry wzrósł niepomiernie. Może Skidi odprawiali właśnie obrzędy na cześć Porannej Gwiazdy? Obecność w osadzie tyłu przybyszów niepokoiła Tehawankę, ale jednocześnie ułatwiała mu przeszpiegi. Przebrany w strój pauniski nie zwracał na siebie uwagi w gromadzie obcych, nawet psy zachowywały się już spokojnie na jego widok. Gdyby znał język Paunisów, mógłby czuć się zupełnie bezpieczny. Teraz tylko mową mógłby się zdradzić. Toteż starannie unikał ludzi, stronił od ognisk wciąż niecierpliwie wypatrując znaku złamanej lancy.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Nie miał łatwego zadania, osada była bardzo rozległa. Przed obszernymi, wielorodzinnymi ziemiankami znajdowały się małe zagrody dla koni i mułów. Przed domami wojowników stały, uwiązane do palików wbitych w ziemię, wspaniałe wierzchowce, trzymane w pogotowiu na wypadek nagłej potrzeby. W centralnej części osiedla; gdzie mieszkali najznamienitsi i najmożniejsi* [przyp.: Społeczeństwo Paunisów dzieliło się na trzy klasy społeczne: najwyższą tworzyli wodzowie i wojownicy, których zadaniem było bronienie osady przed wrogami; drugą stanowili kapłani, zajmujący się sprawami religijnymi i ochranianiem osady przed chorobami i głodem; trzecia klasa obejmowała biedotę bez wpływów i autorytetu. Stanowiła ona przeważnie połowę społeczeństwa i wysługiwała się zamożnym, często stając się ich domownikami.], przed każdą ziemianką widniał wysoki, drewniany trójnóg, z zawieszoną na nim wojenną tarczą gospodarza i torbą z zapasami na wyprawę. Sławni wojownicy trzymali przed swym domem po kilka doskonałych, ściągłych wierzchowców, których szczególnie strzegli. Na dachach wielu domów stały krótkie pale obwieszane skalpami.

Czas szybko mijał, a Tehawanka wciąż bezskutecznie błdził wśród ziemianek. Osada była duża i rozległa, wiele domostw pogrążonych w mroku nocy. Tehawanka z obawą coraz częściej spoglądał w niebo. Zapewne już niewiele pozostało do świtu...

Właśnie przystanął przed okazałym domem, zbudowanym w środku osady. Obok tunelowego wejścia, zrobionego jak we wszystkich domach Skidi po wschodniej stronie, stały dwa duże trójnogi. Na jednym z nich wisiała wojenna tarcza pokryta symbolami gwiazd i słońca.

Tehawanka natychmiast przypomniał sobie, że takie właśnie symbole nosił na swej opończy Skidi, który rankiem wśród nadrzecznych skał rozmawiał z duchami. Tehawanka spojrzął na dach ziemianki. Stał na nim pal z wieloma skalpami, a obok niego leżały czaszki końskie i bizonie. Tu zapewne mieszkał wódz Skidi.

Naraz skórzana zasłona zawieszona w wejściu do ziemianki uchyliła się, jakiś mężczyzna stanął na progu. Tehawanka błyskawicznie przyłgnął do ściany tunelowego wyjścia, wstrzymał oddech, by nie zdradzić swej obecności Wojownik Skidi tymczasem z powrotem opuścił zasłonę i stał przed ziemianką. Spojrzął w niebo, ciężkie westchnienie wyrwało się z jego ust.

Tehawanka z zapartym tchem spoglądał na Skidi. Znajdowali się tak blisko siebie, że mógłby dłonią schwycić go za lok skalpowy zdobiony orlim piórem. Pomalowaną na czerwono twarz Skidi przecinał niebieski pas, przeciągnięty od ucha na czoło. Ubrany był tylko w przepaskę biodrową i nogawkę obramowane na szwach frędzlami włosów i piórami. Na szyi nosił duży naszyjnik z

niedźwiedzich pazurów, który opadał na pierś pokrytą symbolami gwiazd i słońca.

Tehawanka nie miał wątpliwości. To był ten sam Paunis, którego już widział modlącego się tego ranka. Na jego ramionach widać było świeże rany po samotorturze.

Tehawance zaczynało brakować tchu w piersiach, ale na szczęście Skidi jeszcze raz tylko spojrzał w niebo, po czym zdecydowanie ruszył w głąb osady. Tehawanka instynktownie poszedł

za nim, kryjąc się za ścianami domostw. W ten sposób Skidi doprowadził go do dużej ziemianki, przed której wejściem pełniło straż dwóch uzbrojonych mężczyzn. Skidi ruchem ręki rozkazał, aby go przepuścili i bez słowa wszedł do domu.

Tehawanka przyczał się w pobliżu. Gdy tylko Skidi zniknął w ziemiance, strażnicy z powrotem ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> zajęli swe stanowiska.

Tehawanka zastanawiał się, kim mógł być młody wojownik Skidi, skoro jego rozkaz został wykonany bez najmniejszego sprzeciwu?

„Wyszedł z domu wodza, sądząc po znakach na tarczach, lecz na wodza stanowczo za młody - rozmyślał. - Może jest jego synem?”

Snując domysły rozglądał się wokoło. W tej chwili wzrok jego prześliznął się po trójnogu stojącym przed ziemianką. Poświata księżycowa padała wprost na wojenną tarczę. Tehawanka omal nie krzyknął z radości. Na tarczy widniał znak złamanej lancy. Tak więc młody wojownik Skidi doprowadził go przypadkiem do porywacza Porannej Rosy!

Myśli jak błyskawice przemykały mu przez głowę. Straż stała przed ziemianką porywacza, więc tutaj niezawodnie więziono branekę. W jakim, celu Skidi przyszedł do niej? Czy jego poranna rozmowa z duchami mogła mieć jakiś związek z tym, co działo się obecnie?

Tak rozmyślając wzrokiem obrzucał ziemiankę. Gdyby wszedł na jej dach, mógłby zajrzeć do środka przez otwór dymny. Zaledwie błysnęła mu ta myśl, od razu począł ukradkiem okrążyć chatę. Poza dwoma strażnikami przed wejściem, nikogo więcej nie zauważył. Bez namysłu wspiał się na owalny dach, wykorzystując zagłębienia w ziemi nakrywającej całą, obszerną budowlę. Był pewny, że sklepienie ziemianki wytrzyma ciężar jego ciała. Podczas uroczystości religijnych, zawodów sportowych i zbiorowych gier, nieraz dziesiątki widzów obserwowało ich przebieg z dachów ziemianek.

Tehawanka z ostrożnością pełzał po dachu ku otworowi. Wkrótce był już przy nim. Powoli wsunął głowę. Pod wpływem silnego wzruszenia łzy napłynęły mu do oczu. Przy żarze ogniska siedziała jego siostra, Poranna Rosa. Przez dłuższą chwilę, tylko jak przez mgłę, widział jej smutną, pełną lęku twarz. Dopiero gdy minęło pierwsze wzruszenie ujrzał również wojownika Skidi. Przyklęknął na jednym kolanie przed Poranną Rosą i, z niepokojeni rozglądając się wokoło, przemawiał do niej mową znaków.

Tehawanka jeszcze głębiej wsunął głowę w otwór, niemal zasłonił go swym ciałem. Dym unoszący się z ogniska zmusił go do zmruczenia oczu i wstrzymania oddechu, ale nie zważał na to. Szybkim spojrzeniem obrzucił wnętrze ziemianki. Zamieszkiwało ją więcej osób, a może też kilka rodzin. Wskazywały na to zasłony rozdzielające wiele legowisk. Przy zachodniej ścianie stał domowy ołtarzyk, na którym bielila się potężna czaszka bizona. Obok niej leżało zawiniątko ze świętymi przedmiotami, szczelnie obwiązane szerniąłą ze starości skórą. Tehawanka nie był

pewny, czy inni ludzie znajdowali się obecnie w domu, ponieważ zasłony rozdzielające miejsca do spania były opuszczone. Wojownik Skidi zachowywał ostrożność i stale spoglądał ku wejściu i zasłoniętym legowiskom.

Tehawanka skupił całą uwagę na siostrze i wojowniku, którzy porozumiewali się za pomocą mowy znaków. Wkrótce powody niezwyklej ostrożności Skidi stały się dla Tehawanki zupełnie zrozumiałe. To, co wyrażał, byłoby dla niego wyrokiem śmierci, gdyby ktoś mógł go podpatrzeć.

Tehawanka wprost nie dowierzał własnym oczom.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter
<http://www.processtext.com/abclit.html>

„Stanie się to jutro przed zmierzchem - mówił Skidi. - Lecz nie obawiaj się, na pewno cię ocalę”.

Poranna Rosa zrozpaczona załamała dłonie. Skidi jeszcze bardziej pochylił się ku niej i mówił dalej:

„Kocham cię, dam tego dowód! Wystąpię przeciwko swoim, naruszę nasze obrzędy, by cię ocalić. Mój ojciec jest potężnym wodzem! On także jest przeciwny składaniu krwawych ofiar Gwieździe Porannej. Na pewno w skrytości ducha będzie nam sprzyjał!”

„A jeśli tobie się nie powiedzie?” z lękiem pytała Poranna Rosa.

„Zaufaj mi! Przyjdę w krytycznej chwili i ocalę cię lub zginiemy razem - odpowiedział Skidi. -

Teraz muszę odejść, jeżeli przedwcześnie nie chcemy wzbudzić podejrzeń”.

Uścisnął jej drżące dłonie i zniknął w wyjściu.

Miłosne wyznanie Skidi oraz zapewnienie, że ocali Poranną Rosę całkowicie oszołomiły, zaskoczyły i uradowały Tehawankę. Pojął już dawno, że własnymi siłami nie zdoła uwolnić swej ukochanej siostry. Nawet gdyby udało mu się wśliznąć przez otwór dymny do ziemianki, strażnicy pilnujący wejścia udaremniliby ucieczkę. Mógł tylko zginąć razem z Poranną Rosą, lecz nie był w stanie jej pomóc. Tylko zakochany, szlachetny wojownik Skidi miał szansę na jakiś rozpaczliwy protest i obronę. Nikła to była nadzieja, ale jedyna, jaka jeszcze pozostała. Na snucie innych pomysłów w celu uwolnienia Porannej Rosy nie miał Tehawanka czasu. Gwiazdy już bładły na niebie.

Jeszcze raz spojrzął na wystraszoną, zapłakaną siostrę. Z cichym westchnieniem rozpoczął

odwrot. Ostrożnie zszedł z dachu na ziemię, po czym ruszył ku skrajowi osady. Z początku nie napotykał przeszkód. Goście Paunisów obojujący pod gołym niebem jeszcze pogrążeni byli we śnie. Tylko gdzieniegdzie ktoś unosił głowę zbudzony szelestem kroków o tak wczesnej porze, ale na widok samotnego młodzieńca z powrotem układał się do snu.

Wreszcie Tehawanka doszedł na kraniec osady. Poczłł się pewniej i przyspieszył kroku. Nędzne ziemianki były tu rzadziej rozrzucone. Teraz zbliżał się do jednej z nich. Jakiś kundel wyskoczył

mu na spotkanie. Tehawanka potrząsnął naszyjnikami. Kundel przestał szczyryć kły, ale biegł za nim. Oglądając się na psa Tehawanka zbyt późno spostrzegł trzech mężczyzn, którzy nieoczekiwanie wychynęli przed nim z mroku.

W pierwszym odruchu chciał szybko zawrócić, ale zaraz pojął, że ucieczka nie zdałaby się na nic. Trzej Skidi znajdowali się tylko o kilkadziesiąt kroków od niego.

Byli to rośli mężczyźni. Szli szeregiem jak na paradzie. Na głowach nosili czapy nastroszone puszystymi piórami, z których tyłu sterczały półkoliste grzebienie z orlich piór, opadające aż na plecy. Dłgie frędzle włosów na szwach nogawic zwisały na ziemię i wlokły się za nimi. Sznury naszyjników chrzęściły na ich piersiach, gdy tak szli wolnym, miarowym krokiem. W dłoniach trzymali długie lance zdobione na końcu pióropusami.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Tehawanka od razu rozpoznał ich po tak charakterystycznych strojach. Byli to wojownicy ze Stowarzyszenia Szalonych Psów. Rada starszych Skidi zapewne wyznaczyła ich do pełnienia społecznej funkcji policji na czas trwania uroczystości. Było to zrozumiałe z powodu licznego napływu Paunisów, z innych osad.

Trzej policjanci całkowicie tarasowali wąską, twardo ubitą ścieżkę. Tehawanka był pewny, że już go dostrzegli, a na dobitkę kundel wciąż dreptał za nim. Czy uda mu się wyminąć policjantów? Nawet jeśli nie wzbudzi ich podejrzeń, mogą sami odezwać się do nocnego przechodnia.

Gorączkowo szukał wyjścia z groźnej sytuacji. Naraz wzrok jego padł na ziemiankę stojącą nieco z boku między nim i Szalonymi Psami. Zdecydował się natychmiast. Nie przyspieszając kroku zboczył w kierunku domostwa. Zanim odchylił zasłonę wiszącą w wejściu, podniesieniem dłoni pozdrowił Szalonych Psów, po czym wszedł do tunelowego korytarza. Kundel na szczęście pobiegł teraz ku nadchodzącym.

Tehawanka przyłgnął do ściany korytarza tuż przy zasłonie. Z głębi ziemianki dochodziły ciężkie oddechy śpiących. Tehawanka wydobyl z pochwy czipewejski nóż. Kroki Szalonych Psów były coraz bliższe. Naraz ucichły przed ziemianką. Któryś z policjantów powiedział coś półgłosem, po czym roześmiali się wszyscy i spokojnie ruszyli w dalszy obchód.

Tehawanka ciężko oddychał. Pot zrosił jego czoło. Domyślił się powodu wesołości Szalonych Psów. Przypuszczali, że przyszedł w późne odwiedziny do frywolnych mieszkańek przedmieścia.

Schowwał nóż do pochwy. Gdy tylko kroki policjantów ucichły, wysunął się z ziemianki. Droga była wolna. Wkrótce był już poza osadą. Szybko przemknął się pomiędzy ogródkowymi poletkami i tabunem koni. Już świtało. Tehawanka biegł, ile tylko starczyło mu sił. Obawiał się, że Sha'pa może o świcie sam wyruszyć na poszukiwania do osiedla.

Wreszcie ujrzał rumowisko skalne na brzegu rzeki. Na głazach stał jego przyjaciel.

- Jesteś, nareszcie jesteś! - zawołał Sha'pa.

- Tak bałem się, czy jeszcze zastanę cię tutaj! - rwącym się głosem krzyknął Tehawanka.

- Już zamierzałem iść na poszukiwania - powiedział Sha'pa.

- Muszę odpocząć, przynoszę niezwykle nowiny, zaraz opowiem ci wszystko - jednym tchem wyrzucił z siebie Tehawanka.

Krwawa ofiara

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Obydwaj przyjaciele jeszcze przed zapadnięciem zmroku przekradli się do osady wrogów.

Niebezpieczne przedsięwzięcie okazało się nawet łatwiejsze do wykonania za dnia, niż poprzedniej nocy. Paunisi ufni w swe bezpieczeństwo już od czterech dni obchodzili uroczystości ku czci Gwiazdy Porannej. Teraz nadszedł ostatni, najważniejszy dzień obrzędów, w którym dopełniano krwawej ofiary. Toteż kobiety, chcąc uczestniczyć w zakończeniu uroczystej ceremonii, przerwały prace w ogródkach; nawet przy stadzie koni i mułów było mniej strażników. Peryferie osady opustoszały. Wszyscy Skidi gromadzili się na głównym placu w pobliżu domu wodza.

Tehawanka i Sha'pa, ostrożnie lawirując między przyjezdnymi Paunisami, przedostali się na plac obrzędów. Nie musieli nawet ukrywać swych kołczanów, bowiem tego dnia większość mężczyzn była uzbrojona, a nawet chłopcy posiadali małe łuki i strzały zrobione z łądy specjalnego gatunku trawy.

Główny plac był zapełniony uczestnikami uroczystości. Gromady kobiet, mężczyzn i dzieci zalegały dachy okolicznych ziemianek, okrążały ofiarny ołtarz. Wszyscy byli podnieceni, a zarazem poważni i skupieni. Tak wiele przecież zależało od pomyślnego przebiegu składania krwawej ofiary. Gdyby branka poświęcona Gwieździe Porannej zechciała dobrowolnie wspiąć się na ofiarny ołtarz, byłoby to niezwykle pomyślnym omenem.

Tehawanka i Sha'pa wmieszani w tłum Paunisów nawet nie mogli już porozumiewać się ze sobą. Dręczyła ich obawa o Poranną Rosę. Wkrótce miał dopełnić się jej okrutny los. Tehawanka wciąż rzucał wokół ukradkowe spojrzenia, szukał wojownika Skidi, który przyrzekł pomoc jego siostrze. Niestety nigdzie nie mógł go wypatrzeć. Nie było go także w ścisłej grupie wodzów i znamienitych wojowników otaczających wodza Skidi.

Wódz znajdował się w środku półkola widzów, nieco wysunięty ze swą świtą do przodu w kierunku

ofiarnego ołtarza. Siedział na skórach bizonich ze skrzyżowanymi nogami. W sztucznie wydłużonym końskim włosiem loku skalpowym miał wpięte trzy wspaniałe orle pióra, a na twarzy jego widniała szeroka, pomalowana od ucha aż na wysoko sklepienie czoło, niebieska linia, symbolizująca konstelację gwiazdną. Miętko wyprawiona skóra bizona z wymalowanymi symbolami gwiazd i słońca okrywała ramiona wodza. Na szyi nosił naszyjniki z pazurów, kłów niedźwiedzi i kawałków kości. W obydwóch rękach wspartych na kolanach trzymał długą fajkę pokoju, zdobioną przy główce barwnymi piórami ptaków.

Tehawanka naraz poszarzał na twarzy. Przed ołtarzem pojawił się kapłan niosący w rękach zawiniątko ze świętymi przedmiotami, pochodzącymi wprost od Gwiazdy Porannej. To on właśnie, jako strażnik tego zawiniątka, miał przewodzić obrzędowi składania krwawej ofiary.

Tehawanka z zapartym tchem spojrzął na ołtarz. Było to raczej rusztowanie zbudowane z dwóch słupów wbitych prostopadle w ziemię w niewielkiej odległości od siebie, połączonych poziomo czterema poprzecznymi palami dolnymi i dwoma w górze. Dwa centralne, pionowe słupy miały symbolizować dzień i noc, natomiast cztery dolne - cztery strony świata, a dwa górne - niebo.

Uroczysty, niesamowity obrzęd już się rozpoczynał. Kapłan powolnym ruchem uniósł do góry zawiniątko ze świętościami Gwiazdy Porannej. Na ten znak czterech innych księży wprowadziło ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> na plac brankę przeznaczoną na ofiarę.

Tehawanka w bezsilnym gniewie zacisnął zęby. Nieznacznym ruchem przesunął przed siebie kołczan zawieszony na lewym ramieniu. Sha'pa uczynił to samo. Dłonie mu trochę drżały, bowiem czuł, że śmierć już wyciąga ku nim swe ramiona.

Tymczasem kapłani zaczęli zdejmować szaty z nieszczęsnej branki. Gdy była już naga, połowę jej ciała, od głowy do stóp, pomalowali na czerwono, a drugą połowę na czarno. Potem podprowadzili ją do ofiarnego ołtarza. Poranna Rosa nagle odepchnęła od siebie oprawców i sama szybko wspięła się na rusztowanie.

Okrzyki radości i zachwytu szeroko rozniosły się wśród zgromadzonych Paunisów. Branka samowolnie weszła na ołtarz. Była piękna, więc tym większą moc nadnaturalną zawierała krwawa ofiara składana Gwieździe Porannej. Stanowiło to niezwykle pomyślną wróżbę.

Wśród ogólnej radości kapłani przywiązali ręce ofiary do górnego, poprzecznego pala, a stopy do najwyższego z niższych. Młodzi mężczyźni oraz chłopcy wystąpili z tłumu. W rękach trzymali łuki i krótkie strzały, sporządzone z łodyg wysokiej trawy rosnącej na prerii. Oni pierwsi mieli rozpocząć torturę. Ich strzały mogły jedynie lekko zagłębiać się w ciało ofiary, nie zagrażając życiu. W myśl obrzędów śmiertelny strzał prosto w serce należał do porywacza branki. Porywacz także wystąpił obecnie z grona widzów. Swoją łuk i jedną wojenną strzałę trzymał w lewej dłoni. Tehawanka od razu poznał porywacza. Miał on szeroką bliznę na policzku. To był ślad po strzale, którą ugodził go Tehawanka podczas napadu na prerii, gdy Paunis gonił dziewczęta.

Tehawanka na jego widok zapomniał o ostrożności, pochylił się do przyjaciela i szepnął:

- To ten Paunis porwał Poranną Rosę. Gdy złoży się do strzału, zabiję go.

- Dobrze, ja wezmę na cel kapłana! - również szeptem odparł Sha'pa.

Kapłan tymczasem nieświadom niebezpieczeństwa znów podniósł do góry zawiniątko ze świętymi przedmiotami, a potem położył je na ziemi. Paunisi rozpoczęli chóralnie pieśń o poszukiwaniach Gwiazdy Wieczornej przez Gwiazdę Poranną. Po każdej zakończonej zwrotce kapłan przewodzący ceremonii wyjmował z zawiniątka ze świętościami jedną pałeczkę i odkładał

ją na bok, co miało symbolizować odchodzenie z ziemskiego świata do świata duchów branki składanej w ofierze.

Pieśń wreszcie ucichła. Po wschodniej stronie placu ukazało się dwóch kapłanów z płonącymi pochodniami. Zgodnie z ceremoniałem mieli oni osmalić ogniem pochodni pachy i pachwinę branki przywiązanej do ołtarza, podczas gdy czterej inni przykładali maczugi do jej ciała. Miał to być znak do rozpoczęcia strzelania z łuków przez młodych mężczyzn i chłopców, po czym porywacz musiał jednym strzałem prosto w serce szybko zakończyć torturę.

Pierwsi strzelcy już przygotowywali się do strzelania. Porywacz także postąpił kilka kroków do przodu. Kapłan przewodzący obrzędowi wy dobył rytualny, krzemienisty nóż, którym rozciął nieżyjącej już ofierze pierś i wyrwał serce.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Tragiczna chwila zbliżała się nieubłaganie. Łzy żalu i bezsilnego gniewu napłynęły do oczu Tehawanki. Nie zważając już na nic, prawą dłonią wy dobył z kołczanu łuk i strzały. Był gotów zginąć razem ze swą ukochaną siostrą.

W ogólnym podniosłym nastroju nikt nie zwracał uwagi na Tehawanke. Mężczyźni z pochodniami właśnie podchodzili już do środka placu. W tej chwili rozbrzmiał gwałtowny tętent końskich kopyt. Samotny jeździec galopem przedarł się przez krąg zdumionych Paunisów, wpadł

na plac i ostro osadził rumaka tuż przed ofiarnym ołtarzem. Przecięcie więzów krępujących brankę było kwestią chwili. Zanim ktokolwiek zdołał ochłonąć z wrażenia, jeździec usadowił

brankę przed sobą na koniu, po czym smagnięciem arkanu od razu poderwał go do galopu..

Paunisi zdumieni i oszołomieni niezwykłą śmiałością czynu młodego wojownika, rozstąpili się przed rumakiem. Jeździec, jak huragan, pognął w kierunku przedmieścia. Tylko porywacz, przygotowany do oddania śmiertelnego strzału, nie stracił przytomności umysłu. Bez jednego słowa począł biec na przelaj ku peryferiom osady, chcąc zastąpić drogę uciekinierom.

Paunisi zaskoczeni tak niezwykłym przerwaniem uroczystej ceremonii wciąż jeszcze stali oszołomieni. Od razu rozpoznali junaka, który po raz pierwszy i jedyny w dziejach Paunisów odważył się naruszyć święte obrzędy. Teraz byli nawet pełni podziwu dla jego odwagi i śmiałości. Naraz wszyscy zwrócili głowy ku wodzowi. Tym odważnym junakiem był jego młodszy syn. „Petalesharo! Petalesharo!”* [przyp.: W rzeczywistości w roku 1817 syn wodza Skidi Paunisów,

Petalesharo, zakochał się w brance z plemienia Komanczów, która miała być złożona na ofiarę Gwieździe Porannej. Gdy Komanczka została już przywiązana do ofiarnego rusztowania, Petalesharo nieoczekiwanie podjechał do niej na koniu, uwolnił z więzów i korzystając z zaskoczenia zebranych na uroczystych obrzędach, wywiózł z osady. Potem podarował jej konia, aby mogła bezpiecznie uciec do swego plemienia. Gdy Petalesharo powrócił

do osady Skidi, wszyscy podziwiali jego śmiałość i odwagę. Dzięki swemu wysokiemu stanowisku oraz poparciu ojca, który nie pochwalał składania krwawych ofiar, szczęśliwie uniknął kary za naruszenie świętego obrzędu. W 1822 roku Petalesharo z grupą Paunisów oraz z wodzami innych plemion przybył do Waszyngtonu na zaproszenie rządu USA. Przy tej okazji dziewczęta z Seminarium Miss White ofiarowały mu srebrny medal dla upamiętnienia jego szlachetnego i odważnego ocalenia Komanczki. Na jednej stronie medalu wyryte było rusztowanie oraz zdumieni przywódcy ceremonii, a na drugiej Petalesharo uprowadzający branke. W 1841 roku Petalesharo umarł i medal ów pochowano razem z nim. Jednak w 1844

roku medal wyjęto z mogiły i obecnie prawdopodobnie znajduje się on w The American Numismatic Society w Nowym Jorku.] rozbrzmiały wołania.

Wódz siedział nieruchomy, jak posąg wykuty z brązu. Wszyscy patrzyli na niego, wywołując imię jego syna. Wódz spoglądał w niebo. Wreszcie majestatycznym ruchem podniósł do góry dłonie, w których dzierżył fajkę pokoju.

Tehawanka nie mógł już słyszeć imienia szlachetnego wybawcy Porannej Rosy wywoływanego przez zdumionych Paunisów. Właśnie nakładał strzałę na cięciwę łuku, by ugodzić porywacza, przygotowanego do zadania śmiertelnego ciosu Porannej Rosie, gdy Petalesharo zatrzymał swego rumaka przed ofiarnym ołtarzem. Tehawanka nie mniej zaskoczony od Paunisów niezwykle śmiałym czynem, oniemiał na chwilę. Petalesharo tymczasem już uwoził oswobodzoną z więzów ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> branke. Tehawanka nie odrywał wzroku od porywacza, chcąc uprzedzić jego strzał, toteż natychmiast spostrzegł rozpoczęcie przez niego pościgu. Bez namysłu pobiegł za nim i obydwaj zniknęli w wieczornym mroku. Osłupieni Paunisi nawet nie zwrócili uwagi na porywacza, ani na Tehawanke.

Tehawanka pragnął za wszelką cenę ocalić ukochaną siostrę. Pędził za porywaczem na oślep, nie oglądając się za siebie. Zdawało mu się, że Sha'pa podąża za nim. Myśl, że nikczemny Skidi zamierzał teraz udaremnić ucieczkę Porannej Rosie i jej szlachetnemu wybawcy, dodawała mu siłę. Toteż wkrótce zaczął doganiać porywacza.

Już wbiegali na peryferie osady. Porywacz wciąż biegł ukosem w kierunku głównej drogi.

Tamtędy przecież umykał młody Skidi uwożący Poranną Rosę. Już było słyszeć głuchy tętent cwałującego konia. Po chwili jeździec wyłonił się zza domów. W poświęcie księżycowej dobrze rysowały się sylwetki dosiadających wierzchowca.

Porywacz zorientował się, że nie zdąży zastąpić im drogi. Przystanął i uniósł łuk. Zanim jednak zdołał zwolnić cięciwę, Tehawanka z rozmachem wpadł na niego. Obydwaj runęli na twardo ubitą

ziemię.

Skidi był zdezorientowany. Słyszał wyraźnie tupot nóg za sobą, lecz przypuszczał, że to któryś z Paunisów razem z nim ściga uciekinierów. Nie spodziewał się ataku. Tehawanka wykorzystał chwilę zaskoczenia. Pierwszy poderwał się z ziemi i pięścią uderzył w kark powstającego wroga.

Ten zamroczony opadł na kolana, a wtedy Tehawanka dłonią schwycił go za lok skalpowy.

Silnym szarpnięciem odchylił głowę Paunisa do tyłu i z rozmachem wbił nóż aż po rękojeść w jego nagą pierś. Zdobył swój pierwszy skalp! Cichy wojenny okrzyk triumfu rozbrzmiał w mroku nocy.

Gwałtowna walka trwała tak krótko, że nadbiegający z pomocą Sha'pa już zastał przyjaciela ze skalpem w dłoni.

- Zabiłeś go! - jednym tchem zawołał.

- Czy ścigają nas? - krótko zapytał Tehawanka ciężko oddychając.

- Nawet nie spostrzegli naszego odejścia - uspokoił go Sha'pa.

- Skidi zaskoczył ich śmiałością.

- To dobrze, ukryjmy tego parszywego psa w ziemiance. Nim go znajdą, zyskamy na czasie.

Wspólnymi siłami przenieśli trupa do najbliższego domu. Wnętrze jeszcze opustoszałej ziemianki tonęło w mroku. Tylko przez otwór dymny przesączała się mdła poświata księżycowa i rozjaśniała skrawek klepiska pomiędzy czterema centralnymi słupami podtrzymującymi strop.

Tehawanka i Sha'pa po omacku odszukali przegrodę przeznaczoną na różne sprzęty i tam ukryli zabitego Skidi.

- Uciekajmy już! - szepnął Tehawanka.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter
<http://www.processtext.com/abclit.html>

- Wyjdź i pilnuj! - szeptem odparł Sha'pa. - Poszukam czegoś do jedzenia!

Tehawanka uchylił zasłony. Wokół było pusto. Tylko z dali dochodził przytłumiony gwar podnieconych głosów. Czerwonawe odbłaski migotały nad głównym placem. Paunisi zapewne rozpalili ogniska i przygotowywali pościg.

Sha'pa wkrótce wychylił się z ziemianki, niosąc skórzany zasobnik.

- Chodźmy, chodźmy już! - ponaglił Tehawanka.

Bez przeszkód wydostali się z wrogiej osady. Zaledwie świt zaróżowił się na niebie, natrafili na ślady pozostawione przez uciekinierów. Wiodły one wprost na północ. Tehawanka i Sha'pa podążyli za nimi. Co pewien czas przystawali na jakimś wzgórzu i spoglądali za siebie.

Postanowili powstrzymać pogoń. Spodziewali się ujrzeć ją lada chwila. Jednak południe już nadchodziło, a Paunisi nie nadjeżdżali.

Skidi uwożący brankę nawet nie zacierał śladów za sobą. Widocznie zaufał ręczości swego wierzchowca. Przez cały dzień gnał w kierunku północnym, gdzie leżała osada Wahpekute Dakotów. Przed zmierzchem Tehawanka i jego przyjaciel nabrali przekonania, że Paunisi poniechali pościgu, ponieważ, mając konie, dawno już powinni ich dogonić.

Gdy mrok zaległ nad prerią, po raz pierwszy tego dnia zatrzymali się na wypoczynek. Byli bardzo zmęczeni i głodni. W zasobniku zabranym Paunisom znaleźli suszone mięso zmieszane z prażoną kukurydzą. Posilili się i odpoczywali, dopóki gwiazdy nie rozbłysły na niebie. Wtedy natychmiast ruszyli w drogę.

Tak mijał im dzień za dniem... Szli wciąż na północ, tak w dzień, jak i w nocy. Nie zważali na nabrzmiałe, krwawiące stopy. Mokasyny ich były już w strzępach i nie chroniły przed skamieniałą ziemią oraz suchymi, ostrymi trawami. Wychudli z wysiłku i głodu. Zapas żywności zabrany Paunisom dawno się skończył. Teraz musieli polować na preriowe kury. W marszu żuli ich surowe mięso. Czasem udało się im natrafić gdzieś na brzegu rzeki na mysie nory, które rozgrzebywali, szukając w nich dzikiego grochu* [przyp.: Dzikie groch (Palcata comosa) był

najsmaczniejszą jarzyną dziko rosnącą na brzegach rzek na preriach. Indianie gotowali go razem z tłustym mięsem jako pożywną zupę. Zbieranie grochu odbywało się w bardzo oryginalny sposób: aby nie trudzić się znużającym wyszukiwaniem roślin, po prostu rozkopywali nory polnych myszy, zwanych w mowie Dakotów „pies pies a na” i rabowali im skrzętnie zgromadzone zapasy. W jednej norze zapobiegliwe zwierzątka potrafiły zebrać około 10 - 15 kg grochu.], gromadzonego przez zapobiegliwe zwierzątka. Zgłodniali jedli korzonki roślin, a nawet i korę drzew.

Po wielu dniach wreszcie szczęśliwym trafem napotkali Poranną Rosę i jej wybawcę. Stało się to o świcie. Gdyby nie ostrzegawcze, ciche rzenie wierzchowca, ominęliby mały, zaciszny wąwóz przysłonięty poranną mgłą, w którym uciekinierzy zatrzymali się na nocny wypoczynek.

Radość rodzeństwa nie miała granic.

Teraz już wszyscy razem podążyli dalej ku osadzie Wahpekute.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Taniec Słońca

W osadzie Wahpekute panował nieopisany rozgardiasz jak to, zwykle bywało przed zbiorowym wyruszeniem w drogę. Kobiety przygotowywały juki, pakowały dobytek, a wszystko, co nie mogło być zabrane, skrzętnie kryły w różnych zakamarkach i schowkach. Dziewczynki pomagały matkom, chłopcy zaś urządzali zabawy w wyprawy wojenne i polowali na kundły, umykające przed nimi.

Mężczyźni sprawdzali broń, omawiali ostatnie, niezwykle wydarzenia i odpoczywali przed trudami wędrówki. Ogólny nastrój był radosny i podniosły, ponieważ Wahpekute wybierali się na coroczne obrzędy Tańca Słońca, by podziękować mocom nadnaturalnym za doznane łaski, prosić o dalszą pomyślność i dopełnić dziękczynnych ślubowań.

Kulminacyjnym punktem wielodniowych uroczystości miały być próby męstwa, którym poddawali się młodzieńcy w celu zdobycia rangi wojownika. Obrzędy „Tańca Słońca” stanowiły ponadto doskonałą okazję do zobaczenia krewnych, a zarazem do Odnowienia starych i zawierania nowych przyjaźni, gdyż na uroczystości zbierało się w jednym miejscu całe plemię Santee Dakotów. Podczas zimy Santee Dakotowie, rozbici na małe grupy, polowali z dala od siebie. Wszyscy cieszyli się z góry na to spotkanie.

Wahpekute z zapałem szykowali się do drogi. Chcieli jak najprędzej pochwalić się niezwykłymi wydarzeniami. Szczególnym powodem do dumy był wnuk wodza i szamana, Czerwonego Psa. O

przeżyciach i czynach Tehawanki snuto opowieści przy wieczornych ogniskach. To on uciekając z niewoli u Czipewejów przyprowadził brankę i pokonał ich sławnego wojownika. Dwukrotnie wkraadał się do osady potężnych Skidi Paunisów w celu uwolnienia uprowadzonej siostry, zabił

porywacza i zdobył jego skalp, mszcząc zniewagę wyrządzoną wszystkim Wahpekute. Dobre duchy musiały sprzyjać młodemu Tehawance, skoro nie tylko powrócił z siostrą, ale ponadto przyprowadził syna wodza Skidi Paunisów, który wyraził chęć przystąpienia do Wahpekute.

Chwalono Sha'pa, który razem z Tehawanką odbywał wyprawę przeciwko Paunisom, rozprawiano o szlachetności Petalesharo, który z miłości do Porannej Rosy naruszył święte obrzędy i porzucił swoich.

Wieści o niezwykłych czynach Tehawanki już rozniosły się szeroko. Toteż Santee Dakotowie tym razem powierzyli szamanowi i wodzowi, Czerwonemu Psu, przewodniczenie obrzędom Tańca Słońca. Stanowiło to zaszczytne wyróżnienie, ponieważ na czas uroczystości stawał się on wodzem wszystkich Santee Dakotów. On wybierał miejsce i ustalał czas obrzędów, w jego rękach spoczywała nieograniczona władza.

Miejsce obrzędów wybrane przez Czerwonego Psa znajdowało się o pięć dni marszu od osady ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Wahpekute. Malownicza dolina zieleniła się łąkami, na których można było rozbić wielki obóz.

Bogaty drzewostan zabezpieczał opał na ogniska, wody było pod dostatkiem, myśliwi mieli gdzie polować. Czerwony Pies już porozsyłał gońców do wszystkich grup Santee Dakotów, aby powiadomić ich o miejscu i terminie uroczystości.

Wahpekute zamierzali jeszcze przed świtem wyruszyć na miejsce spotkania całego plemienia.

Obecnie było wczesne popołudnie. Czerwony Pies z radą starszych przebywał w swoim domu.

Wszyscy domyślali się, że stary szaman prosi o przyjęcie Petalesharo do plemienia Wahpekute.

Wkrótce też dowódca „Złamanych Strzał” otrzymał polecenie, aby Paunis stawił się przed radą starszych. Wojskowe stowarzyszenie „Złamanych Strzał” znów pełniło funkcję policji na czas wędrówki i uroczystości „Tańca Słońca”. Czarny Wilk podprowadził Petalesharo pod dom wodza.

„Wejdz, rada starszych chce z tobą rozmawiać” - powiedział mową znaków.

Członkowie rady przez długą chwilę przyglądali się młodzieńcowi. W niejednym z nich widok Paunisa wywoływał mieszane uczucia. Wojenne ścieżki dzieliły Dakotów i Paunisów. Nikt jednak zewnątrznie nie okazał niechęci. Ten młody Skidi naraził własne życie w obronie Wahpekute, porzucił swoje plemię. Wiadome było, że chce pojąć za żonę Poranną Rosę. Miał do tego prawo, ocalił ją od śmierci.

Pierwszy przerwał milczenie Czerwony Pies. Mową znaków, powiedział:

„Od niepamiętnych czasów Dakotowie i Paunisi wykopali topór wojenny. Skidi w podstępny sposób porwali naszą kobietę. Chcieli ją torturować i pozbawić życia. Ty ją ocaliłeś i razem z nią przybyłeś do nas jako przyjaciel. Okazałeś wielką odwagę, zimną krew i szlachetność. Oceniamy to bardzo wysoko i dumni będziemy, jeżeli staniesz się jednym z nas. Teraz odpowiedz, czy chcesz stać się Wahpekute?”

„Tak” - padła odpowiedź. Czerwony Pies klasnął w dłonie. W progu stanął Czarny Wilk. - Rada starszych wyraziła zgodę na przyjęcie Skidi do naszego plemienia - rzekł Szaman. - Niech mój brat przewodzi obrzędowi.

Czarny Wilk poprowadził Petalesharo na brzeg jeziora, gdzie już zgromadzili się mieszkańcy osady. Członkowie rady starszych pod przewodnictwem szamana również stanęli w pobliżu.

Czarny Wilk polecił Petalesharo usiąść na zwalonym pniu drzewa, po czym natarł palce popiołem podsuniętym mu na kawałku kory. Teraz zaczął wrywać włosy z głowy Petalesharo.

Co chwila zanurzał palce w popiele, aby nie były śliskie. Dokonując tego obrzędu, mówił:

- Dakotowie nie noszą loków skalpowych. To zwyczaj naszych wrogów. Chcąc być jednym z nas, musisz mieć długie włosy, jak my.

Słowa Czarnego Wilka były tłumaczone Petalesharo mową znaków. Skidi bez słowa sprzeciwu poddawał się nieprzyjemnemu zabiegowi. Gdy wszystkie włosy zostały już usunięte, Czarny Wilk przywołał trzy kobiety. One szybko rozebrały Petalesharo, pozostawiając na nim jedynie przepaskę biodrową, po czym wprowadziły go do jeziora. Przystanęły dopiero, gdy woda sięgała im do pasa. Teraz powiedziały, aby sam zanurzył się całkowicie, a gdy nie zrozumiał, czego ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> chcą, chwyciły go za ramiona i siłą wepchnęły pod wodę.

Zebrani na brzegu Wahpekute wybuchnęli śmiechem. Kobiety tymczasem energicznie myły Petalesharo, używając do tego piasku. Pod wpływem tych zabiegów ciało młodzieńca zaczerwieniło

się, wtedy wyprowadzono go z kąpieli. Kobiety podały mu nową przepaskę biodrową, nogawice i mokasy oraz kurtkę zdobioną kolcami jeżozwierzka. Wymytego i ubranego zaprowadzono do domu wodza.

Członkowie rady starszych przybrani w uroczyste stroje, wypalili fajkę pokoju, którą na końcu podano Petalesharo. Gdy obrzęd palenia fajki został dopełniony, Czerwony Pies powstał i mową znaków rzekł:

„Mój synu! Teraz jesteś tej samej krwi co my. Dzięki obrzędowi odprawionemu dzisiaj, każda kropla krwi pauniskiej została wymyta z twoich żył. Teraz jesteś Wahpekute. Zostałeś przyjęty do wielkiej rodziny i zajmujesz należne ci miejsce pomiędzy nami. Po dzisiejszym obrzędzie jesteś jednym z nas na podstawie starego prawa i zwyczaju. Synu mój! Nie musisz niczego się obawiać, podlegasz tym samym prawom co my. Jesteśmy wszyscy zobowiązani kochać ciebie, pomagać ci i bronić cię tak samo, jak każdego członka naszego plemienia”* [przyp.: Obrzęd adopcji zaczerpnięty ze zwyczajów plemienia Caughnewaga, należącego do algonkińskiej grupy językowej].

Tego wieczoru Czerwony Pies wyprawił ucztę na cześć Petalesharo.

Nim nastał świt żołnierze „Złamanej Strzały” rozpoczęli służbę. Ich nawoływania poderwały wszystkich z legowisk. Kobiety objuczały psy, rozdzielały między siebie pakunki, przygotowywały dzieci do drogi. Wciąż rozbrzmiewały nawoływania:

- Kobiety, słuchajcie! Opuszczając chaty nie zapomnijcie wygasić ognisk! Przysypcie je popiołem! Zwracajcie uwagę na małe dzieci, zapewnijcie im bezpieczeństwo! Wahpekute!

Wszyscy słuchajcie poleceń żołnierzy „Złamanej Strzały”, którzy teraz mówią do was! Kobiety, dobrze objuczcie psy, aby bagaże nie spadały w drodze! Uważajcie na małe dzieci!” Wahpekute pierwsi stawili się w dolinie wyznaczonej na obrzędy „Tańca Słońca”. Czerwony Pies przy pomocy żołnierzy „Złamanej Strzały” powytoczył miejsca pod tipi dla każdej grupy Santee Dakotów. W zwykłych obozach, w codziennym życiu, Dakotowie ustawiali tipi w równoległych szeregach, z wejściami do namiotu skierowanymi na wschód. Natomiast podczas uroczystości „Tańca Słońca” wszystkie tipi tworzyły wielkie koło, do którego środka zwrócone były otwory wejściowe. W samym środku koła obozu budowano wspólny dom na obrzędy.

Przez cztery dni i noce przybywały poszczególne grupy Santee Dakotów. Wokół obozu nie rozstawiano straży, ani nie wysyłano zwiadowców. Nikt też nie wyruszał na wojenne wyprawy.

Według powszechnego zwyczaju obóz założony na obrzędy „Tańca Słońca” nie był nigdy atakowany nawet przez wrogie plemiona. Wszyscy czuli się wtedy całkowicie bezpieczni. Był to czas powszechnego zawieszenia broni:

Rozpoczęły się czterodniowe przygotowania do obrzędów. Najważniejszą, pierwszą czynnością było wybranie i ścięcie świętego drzewa, które miało być wkopane w samym środku obozu. Pień ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> tego drzewa był centralnym słupem dla okrągłego domu obrzędów, budowanego z pali osłoniętych ścianami z wierzbowych gałęzi.

Wyboru i ścięcia świętego drzewa mogła dokonać tylko kobieta. Wierzono, że samo ścinanie stanowiło tak wielką świętość, że była ona wprost niebezpieczna. Dlatego zadanie to powierzano przeważnie brance z obcego plemienia, aby nie narażać na niebezpieczeństwo własnych kobiet.

Tym razem Wahpekute obdarzyli tą czynnością Mem'en gwa. Udział w tej ceremonii, poza Mem'en gwa brali jedynie mężczyźni.

Następnego dnia mężczyźni ścinali mniejsze pale na okrągły szkielet budowli, a w trzecim dniu wszyscy Santee Dakotowie zbierali wierzbowe gałęzie, z których pleciono ściany i dach. W

czwartym dniu Czerwony Pies pierwszy wkroczył do domu obrzędów. Rozpoczęły się właściwe uroczystości.

Przez cztery dni i noce trwały ofiarne tańce. Nikt z tancerzy nie mógł w tym czasie opuszczać domu obrzędów. Taniec ten był modlitwą, podzięką za doznane dobrodziejstwa lub prośbą o nie.

Święty taniec często stanowił wypełnienie ślubowań, zbliżał człowieka do wszechobecnej natury, łączył go z nią w nierozzerwalną całość. Udział w obrzędzie „Tańca Słońca” mogli brać tylko mężczyźni. Jeśli kobieta prosząc bóstwa o jakąś łaskę ślubowała odbycie tańca dziękczynnego, tańczył za nią jej mąż lub brat.

Serce mocno biło w piersiach Tehawanki, gdy wchodził do domu obrzędów. Towarzyszył mu starzec, który miał być jego przewodnikiem i nauczycielem podczas całej ceremonii. Tehawanka od razu ujrzał Czerwonego Psa. Jako przewodniczący obrzędowi siedział w liściastej altance, ustawionej przy zachodniej ścianie budowli. Za nim wisiała drewniana kukła wyobrażająca potęgę Słońca.

Na polecenie przewodnika Tehawanka zdjął ubranie, pozostawiając na sobie tylko przepaskę biodrową i mokasyny. Teraz przewodnik pomalował jego ciało niebieską, żółtą i zieloną farbą, a świeże wierzbowe gałązki przywiązał do przegubów rąk i kostek u nóg. Potem wręczył mu świstawkę ze skrzydła orła.

Zagrały bębny, rozbrzmiał śpiew. Tancerze stali w miejscu, tylko kolejno unosząc nogi w takt pieśni. Po zakończeniu każdej czwartej pieśni tancerze obiegali cztery razy izbę. Monotonny, czterodniowy taniec oszałamiał tancerzy, którym podczas obrzędu nie wolno było jeść ani pić.

Od czasu do czasu któryś z nich siadał pod ścianą na krótki odpoczynek, a nawet drzemkę, lecz potem zaraz znów włączał się do tańca.

Tehawanka chcąc wykonać ślubowanie, złożył na centralnym, ofiarnym słupie swoją skórę białego bizona. Był to wspaniały dar, bowiem pochodził od świętego zwierzęcia, które, jako pierwszy bizon pojawiło się na prerii.

Mijał już trzeci dzień. Tehawanka coraz częściej popadał w stan odrętwienia. Tancerze zdawali się przybierać dziwne kształty, znikali w mgielnym тумanie. Chwilami nie słyszał nawet monotonnej gry bębnów, ani śpiewów. Powieki ciążyły mu coraz bardziej, żyły nabrzmiały na skroniach. Nie wiedział nawet, kiedy osunął się na kolana, a potem całym ciałem padł na ziemię.

Teraz widział tylko wielkiego, złocistego orła, który majestatycznie krążył w powietrzu wokół

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> niego. To był jego Duch Opiekuńczy! Dziękczynne westchnienie wyrwało się z sinych warg Tehawanki. Duch Opiekuńczy był przy nim! Czuł łagodny powiew wiatru, gdy orzeł poruszał

wielkimi skrzydłami.

Tehawanka westchnął ciężko i otworzył oczy. Jego przewodnik - nauczyciel pochylał się nad nim i ptasim piórem wachlował jego twarz. Tehawanka ociężale dźwignął się z ziemi. Włączył

się w krąg tancerzy. Teraz już nie bał się prób męstwa. Był pewny, że Duch Opiekuńczy łaskawie przyjął jego modlitwy.

Przed zmierzchem czwartego dnia zakończył się obrzęd „Tańca Słońca”. Tehawanka na pół

przytomny wyszedł przed dom. Tutaj już czekał na niego Czarny Wilk w towarzystwie Przeciętej Twarzy.

- Zaraz rozpoczną się próby męstwa - zagadnął Czarny Wilk. - Czy jesteś gotów?

W pierwszej chwili Tehawanka nawet nie usłyszał zapytania. Stał nieruchomo i ciężko oddychał. Dopiero świeży powiew wiatru przywrócił mu przytomność. Teraz rozpoznał

Czarnego Wilka i jego towarzysza. Rozejrzał się już pewniejszym wzrokiem. Na placu stał wbity w ziemię wielki słup, obwieszony ludzkimi i bizonimi czaszkami. Tam miały odbyć się próby męstwa. Nadeszła decydująca chwila w jego życiu.

- Zaraz rozpoczną się próby męstwa, czy jesteś gotów? - powtórzył pytanie Czarny Wilk.

- Tak, Czarny Wilku! - nadspodziewanie silnym głosem odparł Tehawanka. Już nie bał się tortur, przecież jego Duch Opiekuńczy był przy nim!

- Chodź! - rzekł Czarny Wilk i razem z Przeciętą Twarzą poprowadzili młodzieńca.

Santee Dakotowie kołem obstąpili ofiarny słup. Cicho zagrały bębny. Wszyscy pełni życzliwej ciekawości spoglądali na młodego Tehawankę. Słyszeli już o jego czynach, życzyli mu powodzenia w ciężkich chwilach próby.

Tehawanka natomiast nie widział nikogo. Żarliwie modlił się, przyzywał Ducha Opiekuńczego.

Tymczasem Przecięta Twarz przyniósł pęk mocnych długich rzemieni i drewniane kołki. Czarny Wilk położył swą twardą, męską dłoń na ramieniu Tehawanki i powiedział:

- Połóż się twarzą do ziemi, mój młodszy bracie!

Tehawanka wciąż modląc się, klęknął, po czym padł na ziemię z rozkrzyżowanymi ramionami.

Drgnął całym ciałem, gdy Czarny Wilk dłonią schwycił go za skórę na plecach, szybko zagłębił w niej nóż, przepchnął na wylot. Potem przez nacięcie przesunął koniec długiego rzemienia.

Tehawanka zacisnął zęby. Pot spływał mu po czole, lecz świadomość, że jeszcze tego dnia będzie wojownikiem nappełniała go radością i dumą. Wszyscy Santee Dakotowie teraz spoglądali na niego. Stali w pełnym napięcia milczeniu i pilnie nasłuchiwali. Tehawanka postanowił, że nie sprawi im zawodu. Nie usłyszą okrzyku bólu, ani jęku. Gdy Czarny Wilk schwycił go za mięsień na drugiej łopacie, począł nucić pieśń śmierci. Nie przerwał pieśni, gdy nóż wbijał się w jego ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ciało po raz drugi ani gdy przez głębokie nacięcie przepychano rzemień.

Pochwalny szmer uznania rozległ się w kręgu widzów. W oczach Czerwonego Psa szklily się łzy radości i dumy. To był jego wnuk!

Czarny Wilk i Przecięta Twarz zdumieni i ujęci wytrzymałością oraz odwagą młodzieńca, szybko przywiązali kołki do rzemieni przełożonych przez nacięcia. Następnie owinęli wokół

swych dłoni drugie końce rzemieni i zaczęli ostrożnie wlec Tehawanę po ziemi. Potem biegli coraz prędzej i prędzej naokoło ofiarnego słupa. Młodzieniec wciąż nucił swoją pieśń śmierci.

Kołki wreszcie przerwały skórę. Po plecach nieruchomo leżącego Tehawanki spływały strugi krwi. Pieśń śmierci umilkła. Tehawanka zemdłał.

Czarny Wilk i Przecięta Twarz odrzucili rzemień. Dźwignęli junaka z ziemi i ostrożnie ponieśli na własnych rękach do tipi Czerwonego Psa. Sami obmyli go ciepłą wodą z kurzu i ziemi, po czym kojącymi maściami pokryli rany na plecach.

Tehawanka teraz uśmiechał się do przyjaciół.

- Już jesteś wojownikiem - odezwał się Czarny Wilk. - Odwagą zdobyłeś ogólne uznanie.

Myślę, że niedługo znajdziesz się wśród żołnierzy „Złamanej Strzały”.

Jeszcze tego samego wieczoru Czerwony Pies urządził wielką ucztę, którą obwieścił przez wynajętych obwoływaczy. Nikt nie odchodził z jego tipi bez poczęstunku, ani bez podarunku.

Nim minął wieczór, Czerwony Pies rozdał wszystkie posiadane skóry zwierzęce, ubrania, bransolety, naszyjniki i broń, pilnie bacząc, aby nie obdarowywać nikogo należącego do rodziny.

Biedniejszym dawał najkosztowniejsze podarunki. Tehawanka pomny swego ślubowania podczas wyprawy na Paunisów, również rozdał wszystko, co posiadał. Pozostawił sobie tylko czipewejski, stalowy nóż.

Wszyscy rozumieli, że wielkoduszność i szczodroblwość sędziwego szamana były aktem dziękczynnym za spełnienie jego najskrytszych pragnień. Jego wnuk, Tehawanka, był wojownikiem.

Następnego ranka wielu Santee Dakotów zaczęło odwiedzać Czerwonego Psa. Niemal każdy z gości pozostawiał jakiś podarunek. Około południa tipi wypełnione było różnymi darami. Wśród nich znajdowały się doskonale wyprawione skóry bizonów, futrzane narzuty, ubrania letnie i zimowe, karple, uprząż dla psów, wszelkiego rodzaju broń i ozdoby, zasobniki z żywnością. Pod wieczór szaman i jego wnuk posiadali znacznie więcej, niż sami rozdali dnia poprzedniego.

Rada starszych Wahpekute oficjalnie uznała Tehawanke za wojownika. Oznajmiła mu jednocześnie, że po powrocie do osady rozważy jego dotychczasowe bohaterskie czyny zasługujące na odznaczenie. Była to zapowiedź, że wkrótce otrzyma prawo do noszenia swych pierwszych orlich piór.

* * *

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html> Chmury pyłu i kurzu spowijały kolumnę ludzi wędrujących przez spaloną słońcem prerię. Na przedzie kroczyła grupa zbrojnych wojowników. W pewnej odległości za nimi szły kobiety, dzieci i starcy, prowadząc psy objuczone pakunkami, bądź ciągnące włóki. Kobiety, oprócz dobytku, niosły niemowlęta w indiańskich kołyskach. Po obydwóch bokach kolumny czuwali żołnierze „Złamanej Strzały”. Tu i tam nucono pieśni podrózne. To Wahpekute powracali do swej osady po obrzędach Tańca Słońca.

Na samym końcu szedł szaman Czerwony Pies ze swoją rodziną. Jego żony ugiwały się pod ciężkimi tobołami. Poranna Rosa i Mem'en gwa dozorowały psy ciągnące włóki. Obok dziewcząt podążał Petalesharo prowadząc swego wierzchowca, który niósł na grzbiecie część dobytku szamana. Dziewczęta co chwila zerkały ku młodzieńcowi, który także spoglądał ku nim.

Tehawanka znajdował się w tylnej straży kolumny. Rany na jego plecach jeszcze nie zdążyły się zasklepić. Ból przenikał jego - piersi, ale nie zważał na to. Wracał do osady jako wojownik.

Droga do szczęścia i sławy stała przed nim otworem.

ABC Amber LIT Converter <http://www.processtext.com/abclit.html>